

Ponad milion sprzedanych egzemplarzy

Anne B. Ragde

Na pastwiska zielone



smak

słowa

Anne B. Ragde

Na pastwiska zielone

przekład z języka norweskiego

Ewa M. Bilińska

Witold Biliński

smak  słowa

Sopot 2012



PROLOG

Stała pośrodku podwórka, kiedy przyjechał. Tkwiąc w miejscu ze zwisającymi bezwładnie ramionami, zobaczyła, jak parkuje tam gdzie zawsze, pomiędzy stodołą a drewnią. Wyskakując z samochodu, zawołał: – *Sorry* za małe spóźnienie! I dzięki za wczorajszy miły wieczór.

Słuchała jego słów, w brudnoszarym świetle poranka widziała kontur jego ciała, ruchy, Ale przede wszystkim widziała, jak do niej podchodzi, a musiał to zrobić, zanim upadnie, liczyły się sekundy.

– Kaj...

– Idę! – krzyknął.

– Kaj Roger.

Nagle usłyszał coś w jej głosie, może szloch, coś w oddechu, sam nie wiedział, ale jego ciało błyskawicznie zeszytniało na chwilę przed tym, jak do niej dotarł jednym skokiem.

– Co się stało?

– Ojciec. On... Udało mi się go wyciągnąć na korytarz i zamknąć w boksie, z dala od Siri.

– Ale co on...

– Sam sobie to zrobił. Leżała tam fiolka z jego pigułkami. Dostał je na nogę. I chyba jakieś butelki po piwie. Nie udało mi się całkiem... W każdym razie nie żyje. A Siri... nie wiem... jego nos i kilka palców...

Objął ją ramionami. – Ależ, Boże mój, Torunn.

Czuła ciężar jego ramion, zamknęła oczy i pomyślała o ciężarze kostek ojca w swoich dłoniach, o bucie, który zsunął się, kiedy zaczęła go ciągnąć, o pełnym podniecenia spojrzeniu Siri, zakrzepłej krwi wokół jej ryja, kwikach pozostałych świń.

– To moja wina – powiedziała.

– Torunn.

– Poddał się, a to moja wina.

Kaj Roger wypuścił ją z objęć, ale jednocześnie chwycił dłońmi jej barki i odsunął ją od siebie.

– Spójrz na mnie.

– Nie.

– No to chociaż posłuchaj. Pójdę do chlewu i przeniosę go do gospodarczego.

Czy płakała? Torunn wydawało się, że nie. Stała i próbowała wyczuć własne łyzy, ale nic nie czuła. Własne łyzy pachną w szczególny sposób. Jedynym, co wyraźnie odbierała, były obrazy. Ciemna krew przy Wielkich, dyndających uszach, wytarty kołnierzyk flanelowej koszuli, z którego wystawały zmechacone nitki, szara, ubrana w wełnianą skarpetę pięta, która wpadła w przesiąkniętą moczem słomę, kiedy stopa wysunęła się z ciągniętego przez nią buta, kąciki jego oczu wypełnione krwią z grzbietu nosa. I dziura w tym miejscu.

– Idź do kuchni i zadzwoń do Margida. A ja zajmę się chlewem.

– Nie dam rady.

– Musisz. Pójdiesz teraz zadzwonić do Margida. A ja oporządzę chlew.

– Chlew? – spytała. Oporządzi chlew. Słowa brzmiały dziwnie.

– Tak. Ktoś musi to zrobić. Mimo wszystko. Świnie muszą dostać jeść, przecież nic nie rozumieją. Ktoś musi je obrządzić.

– Nie poradzę sobie z tym – szepnęła.

Znów ją objął, mocno przycisnął do siebie i dmuchał ciepłym oddechem w jej włosy.

– Nie dam rady.

– Dasz – powiedział. – Ja ci pomogę. Pomogę ci, Torunn.

Ponad jego ramieniem patrzyła w stronę kuchennego okna. Kuchnia w Neshov. Oto stała tutaj, a on nie żył.

– Idź do środka. Zadzwoń. I zaparz kawę. Będzie mi potem potrzebna, przyda się nam obojgu.

– Siri trzeba zarznąć. Jeszcze dziś – powiedziała.

– To nie wina maciory. Świnie, one...

– Trzeba ją zarznąć. I TO MOJA WINA!

Kaj Roger odsunął ją od siebie na odległość wyciągniętych ramion, ściskając mocno jej barki.

– Nie wolno ci tak myśleć, Torunn!

– ALE TO PRAWDA!

I poczuła, jak wszystko w niej nagle się zawało, poczuła płacz tak potężny, że była pewna, że zwymiotuje, płacz, który przemienił się w niekończący się wdech, a potem wysoki jęk. Odchyliła w tył głowę, jego ręce trzymały ją, ale tylko kilka sekund, potem osunęła się na kolana, a Kaj Roger przy niej. Nie mogła się powstrzymać od jęku, sama słyszała, że brzmi to jak lament jakiegoś zwierzątka, słuchała samej siebie i głosu Kaja Rogera, dochodzącego jakby z oddali, ale nie rozumiała, co mówi, dopiero kiedy mocno ścisnął jej policzki i ryknął:

– POPATRZ NA MNIE, TORUNN!

Uspokoiła się, poczuła zapach łez.

– Spójrz na mnie... Moja kochana, słodka Torunn.

– Nie.

– To nie twoja wina.

– Właśnie że tak. A ją zarzniemy.

– Okej. Wstań. Chodź tu. Idź do środka i wstaw kawę. Ja się pospieszę. Załatwię resztę. A potem przyjdę do ciebie.

Długo stała, trzymając klamkę, zanim ją nacisnęła. Była zimna. Znajdowała się tam od zawsze, tak jej się wydawało. A w każdym razie bardzo długo przed nią. To dłoń ojca naciskała tę klamkę, dzień po dniu, codziennie. Ona sama była tu przecież tylko gościem.



ROZDZIAŁ 1

Znalazła wolne miejsce prawie na samym końcu ulicy Søndre, skrzyła i wyłączyła zapłon, ale dalej siedziała, gapiąc się przed siebie. W jej polu widzenia pojawił się stary człowiek. Szedł w rozchyłonym płaszczu, mozolnie, nierówno pchając przed sobą balkonik po chodniku. Poruszał się wzdłuż okien wystawowych banku. Gigantyczny plakat reklamowy przedstawiał mężczyznę i kobietę obok staroświeckiej przyczepy kempingowej, przymocowanej do maleńkiego, przerdzewiałego samochodu. Oboje wpatrywali się smutno i bezradnie prosto w kamerę, a napis poniżej zachęcał: „Po co czekać na milion w lotto? Z nami ruszysz z kopyta!”

Mężczyzna z balkonikiem oddychał szybko i ciężko przez otwarte usta, reklamie w oknie nie poświęcił nawet jednego spojrzenia. Dość miał zajęcia z każdym kolejnym krokiem, a jego buty, przypominające kapcie, szurały po zakurzonym chodniku.

Przyjemnie było tak siedzieć. Położyła przedramiona na górnej części kierownicy, powoli złożyła na nich czoło, przymknęła oczy. Na pewno jechało od niej świńskim łajnem, od tygodnia nawozili pola. Chociaż dopiero co wyszła spod prysznic, najprawdopodobniej właśnie to będzie tematem pierwszego komentarza matki: zapach, który przebija się przez wszystkie inne. Wyprostowała się i wyciągnęła ręce przed siebie, krytycznie przyjrzała się paznokciom. Były zniszczone, z lekko widocznymi brązowymi krawędziami przy skórkach. Obróciła do siebie wnętrza dłoni, obejrzała linie życia, losu i serca, czy jak tam się one nazywają, linie, które podobno zdradzają osobowość i przyszłość człowieka. Były lekko brązowe, co w kręgach astrologicznych zapewne zostałyby uznane za zły znak. Już prawie nigdy nie chciało jej się używać rękawic roboczych, no chyba że leżały tuż przed nosem, kiedy były potrzebne.

Znów położyła przedramiona na kierownicy, oparła o nie czoło, zamknęła oczy i słuchała przejeżdżających samochodów. Stary człowiek na pewno już sobie poszedł, ale nie chciało jej się otwierać oczu, by go poszukać. Jak nic mieszkał sam, zmieniał gacie najwyżej raz w tygodniu i codziennie jadł na obiad czerstwy chleb z makrelą i pomidorem, kłamiąc córce, dzwoniącej z jakiegoś odległego miejsca, że co najmniej cztery razy w tygodniu gotuje sobie porządny obiad, z ziemniaczkami.

Samochód za nią ruszył, nie otwierając oczu, słuchała, jak zmienia biegi, w przód i w tył, a potem przyspiesza i dźwięk znika. Ledwie parę sekund później odgłosy powtórzyły się, ale tym razem to było nowe auto, wciskające się na wolne miejsce. Mogła teraz odwrócić się i spojrzeć na tego człowieka. Z tyłu w samochodzie siedział ktoś, kto miał własne, sensowne życie, na pewno zupełnie niepodobne do jej życia, z pewnością nie był to ktoś, kto zaczyna dzień o siódmej rano od wyprawy na czczo do chlewu, do kwiczących z głodu świń. A może i tak, kto to może wiedzieć. W sumie cała ulica Søndre mogła akurat dziś być pełna samochodów z rolnikami. Z Fosen i Skaun, z Byneset i Ranheim. Usłyszała trzask drzwi. Przypominał dźwięk wydawany przez pokrywkę, mocno i nagle zatrzaskniętą na puszcę.

– Halo! Halo!

– Tak...?

Drgnęła i wyprostowała się. Za szybą widać było twarz. Kobieta w dziwacznej czapce od munduru. Prawy palec wskazujący był uniesiony, zgięty, gotowy, żeby zastukać w szybę. Teraz opuściła ramię. Torunn otworzyła okno; mocno piekły ją oczy, jakby ktoś sypnął w nie solą. Musiała się wysilić, żeby otworzyć powieki, i ledwie udało jej się skupić wzrok na twarzy kobiety.

Ta wciągnęła badawczo powietrze z samochodu.

– Przepraszam, ale... Siedzi tu pani sobie i śpi?

– Wygląda na to, że tak.

– W sumie nic mi do tego, ale...

– Nie piłam, jeśli o to pani chodzi.

– Musi pani zapłacić za parking. Tylko o to chodzi.

– Zasnęłam, zanim zdążyłam zapłacić.

– No tak. Ale teraz proszę to zrobić. Potem może pani sobie dalej spać, jeśli pani chce.

– Nie będę spać. Idę spotkać się z matką w Palmen.

– Po prostu proszę zapłacić. Najbliższy automat jest tam. Jeśli nie ma pani drobnych, może być karta.

Nie od razu zobaczyła matkę. A w podmuchu od drzwi wyczuła wyraźny odór świńskiego gnoju, zalatujący od niej samej. Zauważyła matkę przy jednym z tych małych stolików z prawej strony i przez kilka sekund obserwowała ją, zanim ta podniosła wzrok i ich oczy się spotkały. Matka doskonale pasowała do tego wnętrza, w swoim eleganckim, białym, wełnianym swetrze z golfem, ze złotem w uszach, starannie ułożoną fryzurą, torebką z patynowanej skóry w kolorze burgunda, stojącą przy stołowej nodze. Właśnie uważnie układała sitko do herbaty na białym porcelanowym spodku, przez tych kilka sekund, kiedy nie wiedziała, że ktoś na nią patrzy, wyglądała na zmęczoną.

– Mamo. Cześć.

– Aaa, to ty! Ale... jak ty **wyglądasz**, Torunn!

– Wyglądam? Nie, ja...

– Chodź, niech cię uściskam! Spokojnie, wiem przecież, że nigdy nie przejmowałaś się ubraniem. Och, moja Torunn, ale się stęskniłam...

Pozwoliła się przytulić i z obowiązku odwzajemniła uścisk, wdychając zapach pieniędzy, długich chwil spędzanych w łazience, wielkiej uwagi poświęcanej własnemu wyglądowi. Kiedy już odkleiły się od siebie, zobaczyła, jak matka rozszerzyła nozdrza i szybko pokręciła nosem, ale nic nie powiedziała, tylko znów usiadła, poprawiła sweter w talii, ułożyła szeroki golf symetrycznie wzdłuż obojczyków i uśmiechnęła się przesadnie, z macierzyńską wyższością.

– Torunn...

– W sumie nie całkiem rozumiem, co ty tu robisz. Mówiłaś przez telefon, że chcesz się ze mną spotkać?

– Zjedzmy najpierw lunch, a potem pogadamy, kochanie.

– Nie jestem jakoś szczególnie głodna.

– Bzdury. Popatrz na te półmiski z kanapkami! Ja chcę tataru z mnóstwem kaparków, siekaną cebulką i buraczkami. Chwała Bogu, że można znowu jeść surowe żółtka, ależ mnie wykończyło całe to zamieszanie z salmonellą. Ale teraz już o tym cisza, więc najwyraźniej niebezpieczeństwo minęło. Co chcesz do picia, od razu zamówię?

– Mogę wziąć herbatę.

– No to chodźmy sobie nałożyć. Ale mogłaś chociaż znaleźć bluzkę, która ma w sobie odrobinę koloru. Czyż nie?

Wzięła sobie kanapkę z pierwszego półmiska, na jaki natrafiła. Sprasowany rostbef, na nim hałda sosu majonezowego. Matka wciąż stała przy szwedzkim stole i sprawnie układała zawartość swojego talerza szybkimi, precyzyjnymi ruchami. Ktoś usiadł przy fortepianie i zaczął grać skoczne kawałki do kotleta.

Lokal był w połowie wypełniony, prawie wyłącznie lekko podstarzałymi kobietami, wystrojonymi nieco ponad przeciętną. Jeden facet siedział sam przy stole przed sztaplem gazet, było w nim coś znajomego, przypominał jednego z tych dwóch malarzy o tych samych imionach. Ale ona nie kupowała gazet, już nic jej nie mówiły, to, co w nich było, tak daleko odbiegało od jej codzienności, nie umiała też skupić się na tyle, żeby cokolwiek przyciągnęło jej uwagę. W tej sytuacji oczywiście nie znała nazwisk sławnych artystów. Dziadek stale narzekał, że „Nationen” już nie przychodzi do skrzynki na listy. Nawet tym nie miała siły się zająć. Przyszły dwie koperty z okienkiem od „Nationen”. W pierwszej pewnie był rachunek za prenumeratę, a w drugiej informacja o tym, że dostarczanie skończy się, jeśli ktoś go natychmiast nie zapłaci.

– Ależ tu jest uroczo! – powiedziała matka z entuzjazmem, siadając przy stole i starannie układając serwetkę na kolanach. – Nigdy wcześniej nie mieszkałam w Britanii i nie jadałam w Palmen, tylko o tym czytałam i widziałam zdjęcia. To jest odpowiedź Trondheim na Grand Hotel, wiesz, Wenche Foss uwielbia Palmen, a tam siedzi Håkon Bleken. Kiedyś tam, gdzie teraz jest szwedzki stół, był stawek ze złotymi rybkami, ale ludzie wrzucali tam pety, więc rybki musiały odejść. Coś okropnego. Rzucać pety do oczka wodnego, w Oslo by to nie przeszło. No jedz, Torunn. Schudłaś, nie jest ci z tym do twarzy. Powiedz, czy całkiem przestałaś się malować? Wcześniej używałaś przynajmniej tuszu do rzęs, prawda?

– Wyjdę na chwilę i zapalę. Jeszcze nie ma mojej herbaty.

– Ale... będziesz palić przed jedzeniem? Jest aż tak źle? Proszę, proszę...

Kiedy wyszła i otworzyła paczkę papierosów, jakaś kobieta wlokła po chodniku za jedną rękę histerycznie płaczące dziecko. Matka szarpała mocno rękę malucha przy każdym kroku, w drugiej ręce dźwigając wypchane plastikowe siatki. Wszędzie pełno było ludzi, lekko ubranych na tę ciepłą, majową pogodę. Nieco dalej, przed kwaciarnią, zrobiono stylową wystawę, z długim stołem zastawionym świecami i serwetkami w dopasowanych kolorach. Wciągnęła dym głęboko w płuca i musiała oprzeć się o ścianę, bo nagle zakręciło jej się w głowie, w końcu co ona dziś zjadła, na pewno nie za wiele. Ale mogła przecież wrócić do samochodu, ruszyć i pojechać z powrotem do Neshov, zobaczyć, jak Kaj Roger radzi sobie z bronowaniem. Przed najbliższą niedzielą nawóz musi dobrze wsiąknąć w ziemię, w kościele w Byneset ma być konfirmacja, więc nie może przecież wszędzie snuć się zapach świńskiego łajna. Matka zadzwoniła dopiero wczoraj wieczorem i poprosiła Torunn o spotkanie na lunchu. Kaj Roger nie miał nic przeciwko temu. Ale jak tak można? Przecież to nie było jego gospodarstwo. Jego odpowiedzialność. A do zrobienia było teraz mnóstwo. Dzisiaj jeszcze musieli oznakować świnię na rzeź, za dwa tygodnie trzeba je dostarczyć do rzeźni.

– Jest już twoja herbata! Mówię ci, ten tatar był zabójczo smakowity!

– Co ty właściwie robisz w Trondheim, mamó?

– Przyjechałam z tobą porozmawiać.

– Przecież obie mamy telefon.

Matka przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się blado, Torunn знаła ten uśmiech – pobłażliwy i cierpiętniczy, mówiący, że oto ona, tylko ona, zna zarówno pytania, jak i odpowiedzi.

– Nasze rozmowy przez telefon nie są ostatnio szczególnie treściwe, Torunn. Zawsze znajdujesz jakąś wymówkę, żeby odłożyć słuchawkę, zanim naprawdę zaczniemy gadać, coś, co musisz niby strasznie pilnie zrobić. Zrozumiałam, że chcesz mnie trzymać na dystans. Dlatego postanowiłam zrobić sobie wycieczkę i spotkać się z tobą twarzą w twarz.

– Przyjechałaś z Oslo do Trondheim tylko i wyłącznie po to, żeby ze mną osobiście porozmawiać?

– Tak. Jesteś moim jedynym dzieckiem, skarbie. Kiedy sprawa jest ważna, mogę przecież przelecieć się do ciebie godzinę samolotem.

– Pogrzebu to nie dotyczyło. Wtedy nie przyjechałaś.

– No wiesz, myślałam, że nie minie wiele czasu, a wrócisz do mnie do Oslo, chyba mnie rozumiesz. A poza tym miałaś przecież tak mało kontaktu z ojcem, jego śmierć nie mogła w końcu tak strasznie cię poruszyć...? Nie chcę wydać ci się nieczuła, po prostu mówię szczerze.

– On nie umarł. Odebrał sobie życie.

– Jedz. Musisz trochę zjeść, Torunn.

– I to była moja wina.

– O czym ty mówisz?! W życiu nie słyszałam czegoś równie głupiego!

Matka naląła im obu herbatę i oddychała ciężko przez nos. Jej kolczyki wydawały się zbyt masywne, dziurki w płatkach uszu wyciągnęły się w dół jak cienkie szczeliny.

– Nie wierzył, że przejmę po nim gospodarstwo. Dlatego się zabił. Powiedział, że to nie ma żadnego sensu.

– Daj spokój, Torunn! – matka pochyliła się ku niej i szepnęła stłumionym głosem, a kawałek jedzenia wyleciał jej z ust i wylądował na obrusie: – Jasne, że niczego nie przejmiesz. To nie jest twoja sprawa. A teraz to szaleństwo musi się skończyć! Po prostu muszę d to uświadomić. On nie żyje już od sześciu tygodni, a ty wciąż latasz po tej zaszrannej starej ruderze. Rozmawiałam z Margidem...

– **Rozmawiałaś?** O czym? – Odchyliła się jak najdalej na krześle.

– O tym, żeby... No, o tym dlaczego w ogóle tam siedzisz. On też się dziwi. Ale, jak rozumiem, pomógł ci.

– W jaki to sposób Margido mi pomógł? Nie widuję go za często od czasu, kiedy ojciec...

– Załatwił d tego zmiennika, o ile dobrze zrozumiałam. Porozmawiał z właściwymi urzędami, żebyś mogła go zatrzymać, póki nie będziesz wiedziała, czego chcesz.

– Kaj Roger nic mi o tym nie mówił.

– Nie, pewnie chcieli cię trochę chronić. To dopiero niedźwiedzia przysługa. Ale wyraźnie powiedziałam Margidowi, czego chcesz.

– A czego ja chcę, mamó?

– Oddać te świnię do rzeźni albo sprzedać, a potem wrócić do swojego życia w Oslo.

– A co na to Margido?

– Że chce to usłyszeć od ciebie. I powinnaś szybko mu to powiedzieć!

– Mieszkają tam jeszcze inni. Mój dziadek. Sam sobie nie poradzi.

– On nie jest twoim dziadkiem. To twój wujek, tak samo jak Margido. A od kiedy to bratanica jest odpowiedzialna za osiemdziesięcioletniego wujka, którego spotkała dopiero, kiedy skończyła trzydzieści siedem lat, że osmielę się zapytać?

– Żal mi go.

– Idę teraz wziąć sobie na deser kawałek ciasta, a ty się przez chwilę zastanów.

Odkroiła kawałek tartinki i włożyła go do ust, skupiła się na powolnym żuciu po obu stronach, myślała najmniej jak się dało, byle nie zacząć płakać tutaj, pośród eleganckich pań i znanych malarzy.

Musiła skoncentrować się na utrzymaniu samej siebie w stanie gniewu i irytacji, bo to dawało jej najlepszą ochronę. Biały sweter matki stał się ruchomą plamą na skraju pola widzenia, wsypała trzy łyżeczki cukru do herbaty, zauważyła, jak filiżanka trzęsie się, kiedy niosła ją do ust.

– To w Oslo jest twoje miejsce – odezwała się matka, jeszcze zanim zdążyła ponownie usiąść na krześle. Wymyślnie ozdobiony kawałek ciasta leżał przed nią na wielkim, białym talerzu. Ten po tatarze już zabrano.

– Potrzebuję cię. Jesteś moim jedynym dzieckiem. Ja ciebie potrzebuję bardziej niż ten starzec w Byneset.

– Jego mi żal. Ciebie nie, mamó.

– Gunnar będzie ojcem – powiedziała cicho i ostrożnie odłożyła widelczyk na krawędź talerza.

– Ach tak? To w sumie dobrze dla niego. Czy z tego powodu ma mi być ciebie żal?

– Nie bądź szydercza. Oczywiście, że to dla mnie wielki ciężar. Byliśmy koniec końców małżeństwem przez trzydzieści trzy lata, zapomniałaś?

– Ale już nie jesteście. A dom został sprzedany...

– No nie, nie przypominaj mi o tym, proszę cię. Bo po prostu się rozplączę. Boże, jak mi brak tego domu... Wiesz, w ogóle się nie zbliżam do Røa, nie mogłabym spojrzeć nawet na jedną znaną ulicę, jeden znany sklep.

– A myślałam, że dobrze się czujesz w tym swoim nowym mieszkaniu.

– No tak, jest dobrze. Ale osiemdziesiąt metrów na czwartym piętrze w Sandvika to nie całkiem to samo co willa w Røa. Nie chciałam ryzykować i topić wszystkiego w mieszkaniu, muszę przecież z czegoś żyć. Zaczynam się tam ogarniać, ale wciąż **nie jest** to willa w Røa.

– Osiemdziesiąt metrów z windą i tarasem na dachu. W sumie nie tak źle.

Matka odchyliła się do tyłu na krześle, westchnęła głęboko i dramatycznie, jednocześnie spoglądając na malarza, żeby sprawdzić, czy on patrzy na nią.

– Wiesz, Torunn, nie mam siły się z tobą kłócić. Przyjeżdżać aż do Trondheim tylko po to, żeby się spierać.

– Nie prosiłam cię o to.

– I te wszystkie twoje rzeczy ze strychu, wynajęłam komórkę w piwnicy, należąca do mieszkania, które jeszcze nie jest gotowe, wszystko tam stoi. Ale nie może stać wiecznie, ktoś niedługo się na pewno wprowadzi! A ja nie mam nawet klucza do twojego mieszkania! Powiedz, nie masz żadnych kwiatków, które trzeba podlewać? Nic nie gnije w lodówce? Tak po prostu wszystko zostawić! Poczcie chyba przeadresowałaś?

Torunn skinęła głową. Matka znów westchnęła, a potem uśmiechnęła się tak jak do chorego dziecka i powiedziała: – Zamówić dla nas butelkę wina? Co ty na to? No...? Kochanie?

– Przecież jestem samochodem. Dobrze wiesz, mamó.

– Ale ja myślałam... Prawdę mówiąc, już zarezerwowałam dla ciebie pokój. Tutaj, w Britanii! Cudowny pokój z wielką wanną. Taka mała niespodzianka, prezencik! Czy to nie brzmi wspaniale? Myślałam, że razem zjemy obiad i...

Torunn rzuciła widelec na obrus i gwałtownie zgmiotła białą serwetkę.

– Ale ja przecież nie mogę, to jasne! Boże święty, że też tak można! Odpowiadam za żywe zwierzęta, **zapomniałaś?**

– Ciszej, ludzie się gapią. Masz tam przecież kogoś, kto cię zastępuje, Torunn! Myślałam, że o to właśnie chodzi? Żebyś mogła przez chwilę wyluzować?

– Ale nie tak z pięciosekundowym wyprzedzeniem. Mam go poprosić, żeby zrobił też dziadkowi obiad? Po tym, jak cały dzień bronował w polu? Tak? Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Muszę już jechać. Dzięki za lunch.

– **Siedź** – powiedziała matka twardo, a potem zaczęła cicho popłakiwać w serwetkę. Grajek zasiadł i rozpoczął wykonywanie nowej melodii, coś wolnego i melancholijnie romantycznego.

– Czy nie możemy chociaż przyjemnie spędzić trochę czasu, pomówić o czymś innym? – rzekła matka, wyciągając z torebki papierową chusteczkę i ostrożnie wycierając w nią nos. Torunn miała ochotę głośno się roześmiać, chociaż nie czuła sił nawet na uśmiech, matka nigdy w życiu nie chciałaby, żeby ktoś ją widział, kiedy wyciera nos w stołową serwetkę, w końcu ma się to wychowanie, chociaż tak naprawdę pochodzi się z wioski pod Tromso, a drzewo genealogiczne aż ugina się od rybaków i chłopów.

– A jak tam idzie im w Kopenhadze, moja droga?

– To ja jestem dziedziczką tej ziemi, mam. Sprzedać gospodarstwo to nie taka prosta sprawa. Neshov jest objęte różnymi zobowiązaniami.

– Boże mój! Te... **chłopskie teksty**, które tak z siebie wyrzucasz... Oczywiście, że można to sprzedać, jeśli właściciel prawa pierwokupu go nie chce.

– Ale ja tego jeszcze nie wiem! To przeze mnie ojciec popełnił samobójstwo i czuję, że jestem mu coś winna. I jego świniom.

– W imię Ojca i Syna, Torunn, jak można być cokolwiek winnym świniom?!

Matka roześmiała się głośno i nienaturalnie, Torunn czekała, aż skończy, a potem powiedziała: – On je uwielbiał. Były całym jego życiem. Ja też je uwielbiam.

Matka zmięła papierową serwetkę w małą kulkę, teraz pochyliła głowę i milcząc, gapiła się na nią. Torunn myślała o tym, kiedy ostatnio powiedziała matce coś takiego, że ją kocha, a teraz siedzi z nią i opowiada o uczuciach do świń. W przedziałku na głowie matki widać było kilkumilimetrowe siwe odrosty, wśród sztucznego blondu.

– Mamo – zaczęła i wyciągnęła rękę przez stół, ale matka jej nie widziała. Szybko cofnęła rękę i powiedziała: – Erlend i Krumme mają się świetnie. Jytte i Lizzi są już w dziewiątym tygodniu i wszystko jest jak trzeba. Erlend nieustannie śle SMS-y.

– Po prostu **nie chcesz** zrozumieć. Torunn! Że musisz...

– Erlend ma wyznaczony termin USG na początek lipca.

Torunn zanurzyła widelec w sosie tatarskim i przyglądała się drobno posiekany kawałkom kiszzonego ogórka, które przewalały się w żółtej masie. Z befsztyka sączyła się krwista ciecz, przesiąkając przez chleb i dalej na biały porcelanowy talerz. Chleb zaróżowił się i przypominał teraz gumową piankę.

– No cóż, jeśli w ogóle mamy o nich mówić, to muszę powiedzieć, że moim zdaniem jest to wyjątkowo śmieszne! Wszystkie moje przyjaciółki mówią to samo! Wymyślić coś takiego! I to jednocześnie z dwiema paniami! – powiedziała matka i odkroiła widelczykiem duży kawałek ciasta, mała czekoladowa róża została szybko i zdecydowanie przecięta na pół. Torunn nie chciała ani słowem wspominać o wielkich planach Erlenda i Krumme, dotyczących remontu Neshov, zagospodarowania silosu i przemienienia Neshov w dobre miejsce na wakacje. Plany zakładały oczywiście, że Torunn tam zostanie, a to stałoby się zaraz dla matki wodą na jej młyn.

– Nabrałam ochoty na kawę do tego ciasta. I kieliszek koniaku. Mają tu pewnie Bache XO. Na pewno nie chcesz koniaku, moja droga? Albo wina?

Nagle Torunn uderzyła myśl, że w sumie dobrze się stało, że matka nie chciała przyjechać na pogrzeb, bo wtedy poznałaby plany Erlenda i dodała dwa do dwóch. Krumme na razie tylko wstępnie poruszył temat przez telefon i spytał ją wprost, czy według niej to dobry pomysł. Wiedział, że oznaczało to dla niej konieczność dokonania wyboru, wyraźnie rozumiał, czym jest obowiązek mieszkania i prowadzenia gospodarstwa, podczas gdy Erlend uznał za oczywiste to, że ona zostanie.

Erlend, który przed śmiercią Tora nie mógł pojąć, że chciało jej się tam przebywać z własnej woli. Wciąż mu tłumaczyła, że nie może zawieść ojca, gdy ten jej potrzebuje. Teraz, kiedy nie było już ojca, którym można było tłumaczyć jej zachowanie, całkowicie zmienił front, bo nagle sam zauważył, jaki potencjał ma to miejsce. Był w tym egoizm, którego nie mogła nie zauważyć, chociaż uwielbiała swojego nowo nabytego wujka.

– Całe gospodarstwo gratis prosto w twoje ręce, mała brataniczko, a do tego duńskie miliony na srebrnej tacy! *Holy shit*, jak tam będzie pięknie! Zobaczysz, jak przyjedzie Neufeldt, architekt! Zabierzemy go tam, ze szkicownikiem, jak tylko skończy robotę przy tym luksusowym hotelu w Tajlandii, ma co najmniej dwadzieścia gwiazdek, ale potem będzie wolny i będzie mógł się całkowicie skupić na podupadłym norweskim gospodarstwie! Co za kontrast! Ale Krumme go zna, i od razu się zgodził. Dostanie za to w końcu grubą kasę, **zamknij się, stary...** Mówimy tu o **stawce godzinowej!** Za taką cenę można by wynająć całą angielską drużynę piłkarską! Ale *who gives a shit about futbol*, no nie?! Ach, może Elton John... W końcu kupił sobie klub. A David Beckham to niezłe ciacho, oczywiście dopóki nie otworzy ust, wtedy słyhać, że to jak nic kastrat. Jak **im się** udało spłodzić dziecko – to naprawdę duże wyzwanie dla mojej wyobraźni. Mała pani Bosch, jak ją nazywam po mojej elektrycznej szczoteczce do zębów, ma dokładnie taki sam kształt...

– Torunn? Byłaś gdzieś daleko, moja droga. Zmęczona...?

– Owszem. Muszę rano wstawać, wiesz. Dużo ciężkiej, fizycznej pracy.

– Och. To nie może być zdrowe.

– Przeciwnie, zdaje się, że szerokie kręgi medyczne są ogólnie zgodne co do tego, że praca fizyczna jest zdrowa.

– Nie tym tonem, bardzo cię proszę. Chcę tylko twojego dobra, wiesz to doskonale.

Pozwoliła obsłudze zabrać talerz z kanapką z befsztykiem, zanim matka zdążyła skrytykować to, jak mało zjadła. Podano kawę i koniak, matka jednym haustem wypila połowę trunku.

– Kiedy wracasz do domu?

– Jutro. Mogę zrobić jakieś zakupy, skoro już tu jestem. Znasz tu jakieś dobre sklepy?

– Właściwie nie bywam w mieście. Ciągłe uważam, że to całkiem chore, że przyjechałaś taki kawał tylko po to, żeby ze mną porozmawiać.

– Żeby ci przemówić do rozsądku, moja droga. Ale tak naprawdę teraz jeszcze bardziej się niepokoję. Szczerze – powiedziała i westchnęła teatralnie, jeszcze raz spoglądając w kierunku malarza. Torunn podążyła za jej spojrzeniem, jego już tam nie było. Poczowała śladowy cień czułości dla matki.

– To nie chcesz pojechać ze mną do gospodarstwa? Jest tam teraz naprawdę ślicznie. Kwitną jabłonie. A sama mówiłaś, jaki tam fantastyczny widok.

– A nie wspominałaś, że właśnie rozrzucacie nawóz?

– Owszem.

– To ja raczej podziękuję. Po sprzedaży domu nie narzekam na finanse, ale wyrzucać do śmieci całą garderobę to już lekka przesada. Tego smrodu nie da się usunąć. Myślisz, że go nie czuję przez stół? A twoje dłonie, Torunn... Jak one **wyglądają!** Pewnie, są czyste. W sumie. Ręce

takie się po prostu **stają**, kiedy się... Ale jak sobie dajesz radę z pieniędzmi? Nie jesteś przecież dalej na zwolnieniu?

- Nie. Bezpłatny urlop.
- Staruch na zagrodzie ma chyba emeryturę?
- Jasne. Ojciec miał też jakieś ubezpieczenie ze związku rolników. Właśnie je przejadam.
- Święty Boże, musisz się wkrótce opamiętać.
- Muszę już jechać.

Wstała od stołu.

– Więc już cię nie zobaczę? Ależ Torunn... Pomyśl o tym cudownym pokoju, w którym mogłabyś odpocząć. Tylko na jedną noc?

– Nie, dzięki. I za jedzenie też.

– A nie możesz chociaż wpaść do miasta pod wieczór i zjeść ze mną obiadu? Mniej już nie można...

– Obiad mam o trzeciej, wieczorem obrządzam chlew, a w pół do dziesiątej się kładę.

– Teraz przesadziłaś. Przesadzasz specjalnie, żeby być niemiła. Norwescy chłopci tak nie żyją. Na pewno mogą raz na jakiś czas pozwolić sobie na obiad w mieście.

– Nie jestem norweskimi chłopami. Jestem sobą. A takie rzeczy trzeba planować. Poza tym akurat teraz mam mnóstwo roboty. Nie mogę... A teraz muszę iść.

Pozwoliła matce się przytulić i objęła rękami ten miękki wełniany sweter, przestraszyła się, że zostawi na nim plamy, poczuła, jak plecy matki zaczęły drżeć, jakby znów zbierało jej się na płacz.

– Daj spokój, mamo. Nie płacz. Dam sobie radę. Nie martw się. Jestem dorosła, poradzę sobie.

– W każdym razie to nie była twoja wina, córeczko. Tyle musisz mi obiecać, że to zrozumiesz – szepnęła matka, wciąż przyciskając ją do siebie.

Torunn skinęła głową.

– Trzymaj się, mamo. I dobrej drogi do domu. Pozdrów ode mnie swoje przyjaciółki.

Musiała się zmusić, żeby normalnie, powoli odejść w kierunku wahadłowych drzwi. Potem przebiegła przez recepcję hotelu, ale gwałtownie zatrzymała się na chodniku, żeby nie wzbudzać zainteresowania. Zapaliła papierosa, musiała trzymać zapalniczkę obiema rękami. Wyciągnęła komórkę i zadzwoniła do Kaja Rogera. Odebrał po pierwszym dzwonku.

– No to ja powoli wracam, jak ci idzie?

Głos miał taki jak zwykle, wszystko było normalnie, tam w środku siedziała matka, a ona stała tutaj, na zewnątrz. On miał przerwę na kawę, był w trakcie bronowania, zauważył kilka rozpadlin u dołu jednego pola, powinni rzucić tam trochę tłuczni. Poza tym stwierdził, że będą potrzebować nowej poduszki do stempli do znakowania świń, ta stara była już zużyta i cyfry odbijały się nieczytelnie, czy Torunn może zjechać do rzeźni w Eidsmo i kupić nową?

– Jasne. Może jeszcze czegoś nam trzeba, skoro już jestem w mieście...

W każdym razie nie musiała się spieszyć, spędzić kilka godzin poza gospodarstwem to chyba przyjemność? I co się w końcu okazało, po co jej matka przyjechała do Trondheim? Zajedzie do nich czy raczej nie?

– Nie, miała się spotkać z koleżankami, które spotkała w podróży. No i pochodzić po sklepach. Wyraźnie czuła, jak pachnę, więc nie miała ochoty na wizytę na wsi...

A więc bardzo różni się od swojej córki.

– W sumie tak. Ale w Palmen było uroczo. Słuchaj, nie miałam pojęcia, że załatwiliście z Margidem, że możesz dalej pracować. Że to był jakiś problem... tak jakby? Ja po prostu... w ogóle o tym nie pomyślałam.

I nadal nie musiała o tym myśleć. Są specjalne przepisy w związku ze śmiercią i tak dalej. Przepisy przejściowe.

Przejście? A dokąd? Nie dostała mandatu, chociaż czas parkowania skończył się całe dziewięć minut temu. Zaczęła płakać, już zanim minęła Ila, i nie przestała, aż krajobraz Byneslandet całkiem się otworzył, aż przejechała przez Rye, zielone wiosną i lśniące plamami łąk w różnych odcieniach brązu, wyraźnie odróżniającymi się zależnie od tego, jak daleko każde gospodarstwo posunęło się z nawożeniem, orką i siewem. Wciąż czuła kosztowne zapachy matki, przemieszane z lekkim aromatem koniaku, kiedy szeptała do niej, że to nie jej wina.

Oczywiście, że to była jej wina. Ojciec nie mógł wiedzieć, że tak naprawdę rozważała możliwość przejścia kiedyś ziemi. Jednak on chciał mieć odpowiedź od razu, a ona nie mogła mu jej dać, wtedy gdy skończył ze sobą, zasypiając w boksie Siri, ulubionej maciory, z piwem, wódką i dziewięćdziesięcioma sześcioma tabletkami pyralginy forte w żołądku.

Z nosa wisał jej smark, wytarła go rękawem koszuli.

Ojciec musiał przecież to rozumieć.

Sam nieskończenie wiele razy mówił, że świnie to tak naprawdę dzikie zwierzęta, mówił o tym z czymś na kształt dumy, jakby chciał udowodnić, że udało mu się nad nimi zapanować, że chodzi tu o wzajemny szacunek. Musiał to rozumieć. Że to właśnie ona znajdzie go w tym stanie. Czy chciał ją w ten sposób jakoś ukarać? Pociągnęła mocno i gwałtownie nosem, nie chciała spotkać Kaja Rogera z czerwonymi oczami, żeby jeszcze bardziej jej współczuł. Musi zajechać do spółdzielni w Spongdał, zrobić zakupy i pamiętać o tym, żeby sprawiać wrażenie zorganizowanej, ogarniętej. Obiad. Nowa szczotka do naczyń. Dezodorant i Sun Light. Mleko. Prawie się skończyło. Mogłaby spytać, czy Kaj Roger będzie chciał zjeść z nimi obiad. Może naleśniki, z jagodami i z bekonem.

Dopiero kiedy zaparkowała przed sklepem, przypomniała sobie o poduszce do stemplowania. Sama myśl o tym, żeby teraz jechać aż do rzeźni w Melhus... Gdyby sobie wcześniej przypomniała i pojechała bezpośrednio przez Heimdał, zamiast siedzieć i ryczeć jak idiotka. Znów uruchomiła samochód. Dlaczego ciągle była tak cholernie zmęczona? Kładła się o wpół do dziesiątej wieczorem i wstawała za piętnaście siódma. Zawsze od razu zasypiała, a to dawało dziewięć godzin snu, czy to nie wystarczy? I dlaczego, do diabła, w ogóle była tutaj, w połowie długości Norwegii, skoro przez trzydzieści siedem lat jej życie toczyło się zupełnie gdzie indziej? To były świnie, zwierzęta. To nie **im** była cokolwiek winna, naprawdę. Nagle zobaczyła oczami duszy rękę dziadka, która drżąc, przesuwając szkło powiększające w tę i z powrotem nad fotografiami w książkach o wojnie, ostre załamanie na plecach pod starą tkaniną koszuli, resztki zarostu na policzkach, które poruszały się razem ze szczękami, tak jakby mówił coś wewnątrz siebie, opowiadając o czymś, czym nie chciał się z nią podzielić. Bezradny w swoim nieszczęściu. To oczywiście, że nie może go zostawić. Zamknęła oczy. Poduszka do stempli. Obiecała.

Wyłuskała papierosa z paczki na siedzeniu pasażera. Otworzyła okno i zapaliła zapalniczkę. Nad Skaun wisały szare, ołowiane chmury. Dobrze. Potrzebowała deszczu i dni w półmroku. Całe to słońce i kwiaty działały jej na nerwy. Dosyć miała stania w kolejce do kasy w spółdzielni i entuzjastycznego wychwalania pogody i ciepła, udawania, że decydujące znaczenie ma to, iż brzoza musi się zazielenić do siedemnastego maja.

Uruchomiła silnik i wyjechała z parkingu przed spółdzielnią, kierując się na Melhus.



ROZDZIAŁ 2

Oderwał listek białego papieru z uchwytu przy umywalce, skręcił go w stożek i starannie wytarł otwór, gdzie zwykle przykręcał biały krzyż. Jeśli przez dłuższy czas będzie tam zbierać się woda, na dachu pojawi się rdza. Kiedy był już pewien, że jest całkiem sucho, wcisnął do dziury nowy zwitek papieru i wyciągnął z kieszeni taśmę klejącą. Zębami oderwał mały kawałek jasnobrązowej taśmy i przykleił na papierowej kropce. Może zacząć padać, nigdy nie wiadomo, chociaż słońce świeci. Świat jest nieprzewidywalny.

Kochał ten samochód. I dobrze o niego dbał. Pamiętał, jak pierwszy raz zauważył to miejsce, niedługo po tym, jak otworzyli. Do tamtego czasu sam zmieniał opony i przechowywał osiem nieużywanych w magazynie trumien w Fossegrenda. Z niechęcią zawsze myślał o wymianie opon, przy tak dużych samochodach była to ciężka robota, a uważał, że przekazywanie pracy innym to porażka. Aż do czasu, kiedy pogrzebał siostrzeńca właściciela, Steina-Ove, który w desperackiej próbie podtrzymania rozmowy, kiedy czekali, aż kościół się wypełni, przekazał mu wszystkie szczegóły oferty dla właścicieli samochodów. Od tego czasu był stałym klientem. Nie tylko jeśli chodzi o wymianę i przechowywanie opon, ale też gruntowne polerowanie przede wszystkim chevroleta. Chevrolet caprice model 84, nadal znakomity i – miał nadzieję – mający taki pozostać jeszcze przez długi czas.

Karawan powinien lśnić i być czysty na błysk niezależnie od pogody. Taksówki też musiały być czyste, w końcu ludzie płacili za przejazdy, ale przy naprawdę złej i brudnej pogodzie żaden klient taksówki nie zwracał uwagi na błoto na drzwiach. Za to karawan, który wioząc nieboszczyka, powinien jechać nieskończenie wolno po żwirowych drogach z kaplicy albo kościoła, podczas gdy żałobnicy bez przerwy na niego patrzą – na nim nie mogło być ani kropli brudu. Niejeden raz parkując przed kościołem, stwierdzał, że pojazd zabrudził się po drodze. Stał wtedy ze spryskiwaczem i miękką flanelką i ostrożnie mył lakier wzdłuż ram pod drzwiami. Dlatego właśnie staranne polerowanie było ważne, brud schodził łatwiej.

Najlepsze w tym zakładzie było to, że oferowali samoobsługowe myjnie, nienawidził automatycznych myjni, które niemal gwałciły auta. Woda i rozpylony strumień, o to właśnie chodzi, a nie o ruszanie do dzieła z gigantycznymi szczotami, bez żadnego szacunku dla samochodu stojącego pod nimi. Jak najmniej dotykania i wóz będzie najczystszy. Rozumieli to także tutaj, gdzie nawet automatyczne maszyny do mycia były najdelikatniejsze w mieście.

Zadzwoił telefon. Wsunął rękę za przezroczysty, jednorazowy fartuch, który zawiązał na sobie, żeby chronić ubrania przed wodą, był zawiązany na plecach i karku, pracownicy zawsze śmiali się, kiedy go zakładał, dobrze wiedzieli, że fartuch służy za ochronę przy pracy nad obrządzaniem zwłok. Ale teraz już tyle osób oglądało serial *Sześć stóp pod ziemią*, a na pewno ci, którzy pracowali tutaj i znali jego profesję, że równie dobrze czuli się z pracą przy martwych

ciałach, jak w czasie oglądania *Gotowania na ekranie* z Ingrid Espelid Hovig. Ciągle z nim o tym dyskutowali, chociaż raz po raz wyjaśniał im, że w porównaniu z USA praca w zakładzie pogrzebowym w Norwegii to jakby być na innej planecie.

– Margido Neshov.

To dzwoniła pani Marstad z biura. Chciała się dowiedzieć, czy znajdzie dziś czas, żeby usiąść z jej bratankiem. Chodziło o tę stronę internetową.

– Dziś? Myję samochody. Nawet nie zacząłem jeszcze z cx, wciąż jestem przy caprice. Umyję też oba w środku.

Mógłby to przecież zlecić tym, co tam pracują, przecież po to są?

– No tak, ale mają tu samoobsługowe myjnie i dlatego dobrze jest zrobić niektóre rzeczy samodzielnie. Tylko wtedy można mieć pewność, że wszystko jest zrobione jak należy.

Ale ze stroną się spieszyło, ciągle to odkładali. A dziś bratanek akurat miał czas. Potrzebny mu był tylko drobny *input*, a on przedstawi propozycje.

– Nie może pani **sama** dać mu tego... inputu?

W sumie mogła.

– To pani zna się na komputerach.

Nie chodziło tu o komputery, tylko o treści. Czy on nie może po prostu spojrzeć na to tak jak na drukowany folder? Z tą różnicą, że kartki są na ekranie?

Strasznie go irytowało, kiedy mówiła do niego jak do dziecka. Siedział przecież ciągle w pracy w Internecie i podglądał strony konkurentów, wiedział, o co chodzi. Pani Marstad mówiła o tym już od wieków, oczywiście nie bez powodu. Byli jedynym zakładem pogrzebowym w mieście, który nie miał swojej strony. Dobrze wiedział, co go powstrzymywało – lęk przed rozwojem firmy i napływem zleceń, których on, pani Marstad i pani Gabrielsen nie daliby rady obsłużyć. Wtedy trzeba by było zatrudnić nowych ludzi, a od tej myśli go odrzucało. Była o tym mowa też przy lunchu, ale on tylko przytakiwał. Jakiś asystent pogrzebowy, który mógłby zacząć jako uczeń, albo stały dekorator kwiatowy – to mogłoby uwolnić czas pań dla innych zadań. Jedyna możliwość, która nie budziła w nim oporu, to ktoś młody z jednego z większych, rodzinnych biur. Wiedział, że najmłodszy syn Lasse Bovina trochę pracował w branży, ale oni mieli już komplet, miał trzech starszych braci. Opowiedziała mu o tym pani Gabrielsen, śledziła uważnie branżę i nieustannie sugerowała, że powinni zatrudnić więcej ludzi. Ale jak do tego podejść? Zadzwoić do Bovina bezpośrednio, żeby wysondować możliwości? Dowiedzieć się, jaki facet jest z tego młodego?

– Ach tak. To wobec tego może o czwartej? Wtedy siostrzeniec może dostać swój *input*.

Miał na imię Ola, Margido przecież dobrze o tym wiedział, przypomniała mu. A czwarta na pewno pasowała, Ola teraz nie miał za wiele do roboty, brał tylko drobne zlecenia jako *freelancer*.

– No to jesteśmy umówieni. Załatwi pani na jutro programy?

Oczywiście, że załatwi, po co pytał?

– Nie, ja tylko...

Teraz musiał wreszcie skończyć myć samochody, żeby były czyste i piękne na następny dzień. Caprice miał ruszać do akcji dwa razy, nie mógł o tym zapomnieć.

Dostał za swoje. Dobrze wiedział, że nieustanne przypominanie o rzeczach oczywistych irytowało jego panie. Nigdy nie przegapiły żadnego szczegółu, a jednak ciągle mu się wymykały te drobne przypomnienia. A teraz być może dojdzie ktoś nowy do tej zgranej trójcy, nad której zadaniami powinien roztaczać dyskretną i niewidzialną opiekę, poza swoimi własnymi. Poczuł dużą ulgę, wkładając telefon do kieszeni i wracając do irchy i silikonowej ściereczki, przesuwając dłońmi wzdłuż eleganckich linii caprice, po błyszczących felgach, chromowanych

powierzchniach, lśniącej masce, w której odbijała się jego własna sylwetka. Teraz brakowało już tylko tego, żeby panie zaczęły na poważnie męczyć go prośbami o nowy samochód, poza tym Internetem i nowymi pracownikami. Irytowało go to, jak dobre argumenty miały: zlecenia, które przechodziły im koło nosa, bo dotyczyły ludzi, którzy zmarli za granicą, a ich zwłoki przylatywały samolotem do Værnes. Linie lotnicze wymagały cynkowej trumny włożonej do drewnianej, a do tego specjalnego opakowania. Trumny w tej sytuacji ważyły ponad dwieście kilo i miały dwa i pół metra długości, a takich nie przewiózłby ani caprice, ani citroen cx. Powinien sprawić sobie specjalnie przebudowanego mercedesa. Ale taki kosztuje na pewno ponad milion. Żeby na niego zarobić, potrzebowaliby całkiem sporej liczby turystów, którzy padli w czasie wygrzewania się nad Morzem Śródziemnym – tak argumentował, chociaż karawany były zwolnione z podatku, a poza tym po trzech latach dostałby od państwa zwrot części ceny. Trochę nieprzyjemnie było odmawiać, kiedy ktoś pytał o możliwość odesłania do domu ciała kogoś zmarłego za granicą, tylko dlatego, że park samochodowy nie dawał rady.

Torunn zadzwoniła akurat wtedy, kiedy wycofał caprice i wjechał do myjni citroenem. Zawsze czuł się nieswojo, kiedy widział na wyświetlaczu, że to ona. Bał się, że coś się stało staremu albo jej samej. Albo... sam nie wiedział. Sytuacja była dość niejasna. Tuż przed śmiercią Tora myślał o tym, żeby zaproponować przeniesienie składu trumien z Fossegrenda do stodoły w Neshov. Znacznie poprawiłoby to finanse gospodarstwa – za lokal, który teraz wynajmował, płacił pięć tysięcy miesięcznie. W przebudowę stodoły wystarczyłoby zainwestować dziesięć-piętnaście tysięcy, potrzebował wolnego od kurzu pomieszczenia z głębokimi i przestronnymi półkami, te pyłoszczelne szafki na pogrzebowe koszuły, chusteczki do przykrywania twarzy i tak dalej były już jego własne, wystarczyło je przewieźć do Neshov. Pomieszczenie nie wymagało dużo ogrzewania, drewno trumien najlepiej czuło się w umiarkowanej temperaturze, jeden elektryczny grzejnik wystarczyłby w zupełności. Po takiej przebudowie mógłby uzupełniać dochody gospodarstwa o trzy tysiące miesięcznie, pomyślał sobie, mogłoby to iść na całe ubezpieczenie stodoły od ognia, taka suma na pewno dobrze zrobiłaby bieżącemu budżetowi Neshov, o którym zresztą mało co wiedział. Co prawda to prawda, nie pytał o to. Trzymał się na dystans. I czekał. Nie chciał wywierać na nią nacisku w którymkolwiek kierunku. To być może niepewność co do tego, czy to właściwa strategia, sprawiała, że odczuwał lęk, kiedy dzwoniła.

– Cześć, Torunn. Co słychać?

Na to nie odpowiedziała, a zamiast tego bez żadnych wstępów oznajmiła, że poprzedniego dnia widziała się z matką.

– Widziałas się z nią? Przyjechała do Neshov?

Brzmiało to dość dziwnie, pomyślał, skoro nie przybyła nawet na pogrzeb ojca swojej córki. Ale nie przyjechała do Neshov, tylko do Britanii, żeby z nią porozmawiać, wyjaśniła Torunn. I wiedziała, że Margido też kontaktował się z matką.

– Zgadza się. Zadzwoniła któregoś dnia. Chyba jej się nie podoba, że ty...

Nie miał **żadnego powodu**, żeby rozmawiać z matką za jej plecami.

– To wcale nie było za twoimi plecami. Chodziło o to, żeby chronić cię przed zamieszaniami. Twoja matka ma bardzo zdecydowane przekonania co do niektórych rzeczy. Szczerze mówiąc, nie miałem wiele do dodania.

A o co chodziło z przepisami przejściowymi dotyczącymi Kaja Rogera?

– To po prostu przepisy, do których musimy się stosować, nie ma co się nad tym zastanawiać. Przecież potrzebujesz pomocy.

Nie może przecież, DO KURWY NĘDZY!, przymknął oczy, do końca świata opierać swojego życia na Kaju Rogerze! Jeśli nie daje sobie sama rady z gospodarstwem, to co, DO CHOLERY, ma zrobić?

– Ależ Torunn, nie wiem. Musisz sama do tego dojść. Powinniśmy usiąść razem i przyjrzyć się dokładnie finansom i podobnym sprawom. Na przykład te wielkie plany, o których opowiada Erlend, nie wiemy przecież, czy on na poważnie to mówił, ale jeśli tak jest, to znacznie ułatwiłoby twoją sytuację... Chcę tylko dać ci trochę czasu. I Erlend pewnie też.

Minęło sześć tygodni, a ona jakoś nie czuje, żeby miała dwóch wujków, prawie wykrzyczała to. Zamknął oczy i zrobił głęboki wdech, zanim odpowiedział: – Tak, dni szybko mijają, przepraszam, wiesz, jak to jest. Mamy pełne ręce roboty. Ale oczywiście przyjadę do ciebie, kiedy sama zechcesz. Chciałem tylko dać ci tyle czasu, ile potrzebujesz.

Zamilkła. Przeprosiła, że przeklinała. Była po prostu sfrustrowana. Jak długo będzie mogła zatrzymać Kaja Rogera?

– Co najmniej przez lato – skłamał. Jeśli państwo nie zapłaci za tak długi okres, a mocno w to wątpił, to osobiście skontaktuje się z Kajem Rogerem Sivertsenem i zawrze z nim prywatną umowę, a Torunn się o tym nie dowie. Była wyraźnie mocno rozchwiana. Chociaż sama tego nie przyznawała, to właśnie czasu potrzebowała, o tym był całkowicie przekonany.

– To kiedy mam wobec tego przyjechać? – spytał, mając nadzieję, że zaproponuje dziś o czwartej.

Ale to nie było aż tak ważne, nie spieszyło się jej. Nagle zaczęła sprawiać wrażenie bardzo zmęczonej, głos jej ścichł i stracił brzmienie. Przekleństwa widać pomagają.

– A jak tam w Kopenhadze? – zapytał, zanim pomyślał.

Panie były w dziewiątym tygodniu ciąży i wszystko wydawało się na dobrej drodze.

Był to temat, którego absolutnie nie chciał poruszać. Ciągłe nieswojo się z tym czuł, jakie to koszmarnie niekonwencjonalne. Będzie zmuszony mocno nad sobą popracować, żeby poczuć, że to kopenhaskie powiększenie rodziny jest zupełnie normalne.

– Ale nie mówił nic więcej o planach wobec Neshov? – powiedział szybko.

Nic konkretnego, odrzekła. Cały czas mówił o dzieciach, jak płód rozwija się z tygodnia na tydzień, chyba zaraz dostanie szału od ciągłego słuchania tych szczegółów.

Ostrożnie roześmiał się i przyznał jej rację. – Dobrze cię rozumiem, Torunn.

Dla niej od ludzkich dzieci ważniejsze były prosiaki, ale tego roztropnie już nie powiedział.

– Zadzwoń, jak będziesz chciała, żebyś przyjechał. Dobrze?

Prawdę mówiąc, myślał, że zemdleje, kiedy Erlend oznajmił, że zostanie ojcem. Było to w kuchni w Neshov, tego samego dnia, kiedy znaleźli martwego Tora. To był dzień, który na zawsze zapamięta jako najbardziej absurdalny i surrealistyczny w całym swoim życiu. Nie tylko to z Torem, ale także wezwanie od Torunn, a tylko parę godzin później widok Erlenda i Krumme na środku podwórza, zawracająca i odjeżdżająca taksówka, oni obaj z szerokimi uśmiechami i Erlend wrzeszczący w podnieceniu: – *Surprise! Surprise!*

Torunn leżała na sofie w salonie i gapiła się w sufit, nie płakała, milczała. Stary siedział cicho na fotelu po drugiej stronie stołu w salonie i kręcił młynka kciukami, patrząc w podłogę, szurał kapciami po wytartym dywanie. Kaj Roger chodził w tę i z powrotem, kiedy Margido wzywał ambulans ze Szpitala Świętego Olava. Obdukcja była stałym elementem procedury przy samobójstwie. Personel karetki na pewno widział już gorsze rzeczy, na przykład przy wypadkach drogowych, ale Margido był pewien, że pierwszy raz zabierają ciało z umywalni w chlewie, z wyjedzonym nosem i odgryzionymi palcami. Sam z trudnością w to wierzył. Czytał kiedyś w gazecie o seryjnym mordercy, który karmił świnie zabitymi przez siebie kobietami, ale myślał, że

to jakieś inne świnię, a nie te, które chodziły tutaj w przyjaźni z Torem. Później, kiedy już wiedział, że **wszystkie** świnię to naprawdę w gruncie rzeczy drapieżniki, był wdzięczny, że Tor nie wyglądał **gorzej**, niż wyglądał.

Z początku myślał, że Torunn wiedziała o wizycie Erlenda i Krumme, ale okazało się, że się mylił. Chcieli wszystkich zaskoczyć, Erlend pierwszy wpadł do kuchni, podniecony paplał o wielkich planach co do Neshov, o superarchitekcie, który przemieni podwójny silos w perlę designu. Silosy. To wszystko było całkowicie niepojęte. To Krumme zauważył, że coś jest bardzo nie w porządku, kiedy zajął do salonu i zobaczył Torunn, która z kamienną twarzą uniosła się na łokciu i spojrzała na nich, nie zamierzając wstać ani ich przywitać. Margidowi udało się odciągnąć ich obu do sieni, zamknął drzwi do kuchni i wyjaśnił, co się stało. A w każdym razie co **prawdopodobnie** się stało. Erlend stał, zasłaniając sobie obiema rękami twarz.

– A to miał być dzień **radości!** – powiedział i zaczął sucho szlochać. – A tu mój starszy brat popełnia samobójstwo! To niemożliwe! To jakiś koszmar! Chcę się obudzić! KRUMME!

Krumme wyciągnął go dalej na podwórze, gdzie kilka razy okrążyli drzewo, Krumme, idąc, obejmował Erlenda mocno w pasie. Margido obserwował ich przez kuchenne okno, tak jakby byli obcymi, w obcym miejscu. Ledwie kilka godzin wcześniej siedział sobie z sobotnią gazetą przy kuchennym stole w mieszkaniu na Flatisen i miał nadzieję, że będzie to spokojny weekend, bez żadnych wypadków, a wieczorem może miła godzina w saunie. Na weekend zaplanował też wyjazd do Neshov, żeby przedstawić swój pomysł składu trumien w stodole. A teraz stał tutaj i patrzył na młodszego brata przez firankę, kiedy brat starszy pewnie już leżał w chłodni u Świętego Olava. Torunn powoli weszła do kuchni.

– Nic nie rozumiem – powiedziała głucho. – Co się stało?

Z początku pomyślał, że mówi o Torze, że jest w szoku i wyparła z pamięci zdarzenie w chlewie.

– Nic się nie stało. Chyba. Po prostu przyjechali – wyjaśnił. – Mówią o remoncie silosów.

Wtedy obaj weszli znów do środka, a Erlend objął Torunn i oświadczył: – Będę ojcem. Krumme też. – A Margidowi wydawało się, że pokój i twarze jakby zaczęły falować, najpierw widać je było jak przez szkło powiększające, potem przesunęły się w dal, coraz dalej, aż usiadł na krześle ze stalowych rurek i mocno chwycił za kant stołu z laminowanej imitacji marmuru.

– No tak. Ty na pewno uważasz, że to zupełnie karygodne – powiedział do niego Erlend.

– Co? – odparł.

– Że pedały mają dzieci! Ale możesz wyluzować, matki też te dzieci będą miały. W dodatku **dwie!**

To był cud, że nie zemdlał. Chociaż nigdy mu się to nie zdarzyło, był pewien, że tak właśnie człowiek się czuje tuż przedtem.

Krumme zrobił kawę i wyłożył na kuchenny blat zawartość dwóch dużych toreb. Wino i koniak, sery, kula zapakowanej próżniowo szynki, czekolada Toblerone i masa różnych innych rzeczy, których Margido nie rozpoznał, ale pewnie były luksusowe.

To Krumme zebrał jakoś wszystko w garść i powoli wyjaśnił, o co chodzi, tymczasem Erlend ścisnął dłoń Torunn i wszystkiemu przytakiwał. Stary wciąż siedział w tym samym fotelu w salonie z telewizorem, nikt poza Krumme się do niego nie zwracał, ale słyszał wszystko. Krumme opowiadał o planach związanych z dziećmi, że poznali parę lesbijek – Jytte i Lizzi – które chciały mieć dzieci równie mocno jak on i Erlend. **Para lesbijek.** Te słowa zostały wypowiedziane zupełnie tak, jakby to były takie sobie zwykłe słowa, ale utkwiły w głowie Margida na resztę dnia. Para lesbijek. Lesby.

Skąd ta nazwa? Nie było to ładne słowo, powinno się wymyślić jakieś nowe. Ale dobrze rozumiał, że chodzi po prostu o dwie kobiety, które mieszkały razem i prawdopodobnie się kochały, ale słowo to nie podobało mu się, czuł do niego silną niechęć. Była to nazwa zbyt intymna, prywatna. Tak jak Krumme to przedstawił, sprawa wyglądała na oczywistą i dobrze zorganizowaną. Żadnych anonimowych dawców ani komórek jajowych, ani spermy, tu dzieci będą miały pełną opiekę matki i ojca, nawet w podwójnej dawce. Margido kiwał głową i wydobywał z siebie czasem jakieś „hm”, ale to Torunn pierwsza się odezwała:

– No to gratulacje!

I wtedy Erlend zaczął naprawdę płakać.

Absolutnie, zdecydowanie najgorszy dzień w jego życiu, kiedy wszystko było poza kontrolą, jego kontrolą. Nic się nie zgadzało, wszystko jakby się rozplątało. Nie mógł zrobić więcej dla Tora, nic poza załatwieniem nekrologu, który miał ukazać się we wtorek, a to było proste i oczywiste.

Krumme podał kawę w niepasujących do siebie filiżankach, wyłożył na półmisek łakocie z toreb ze sklepu bezcłowego, wyjął chleb i masło i pokroił szynkę, i po pewnym czasie powoli zaczęli rozmawiać o Torze, o tym, co się stało. Po chwili Torunn poszła do siebie na górę, nikt za nią nie podążył. A w następny czwartek Tor został pochowany obok matki. Jej nagrobek został zrobiony dopiero niedawno, Margido miał załatwić, żeby nazwisko Tora też się na nim pojawiło, chociaż to nie było normalne, żeby matka i syn figurowali na tym samym kamieniu. To był pomysł Torunn.

– On by się z tego cieszył – powiedziała. Jej pomysłem było też odśpiewanie, tak samo jak na pogrzebie matki po Bożym Narodzeniu, *Pierwszej kołysanki, jaką usłyszałem*, i użycie tego samego zdjęcia gospodarstwa na okładce programu. On sam niewiele pamiętał z tamtych dni, od soboty rano do odebrania kondolencji przed kościołem w Byneset. Pani Gabrielsen i pani Marstad zastąpiły go w pracy. A teraz stał tu ze swoim cx i tarł go pełną piany gąbką, wstydząc się głęboko, bo pozwolił, żeby czas po prostu sobie płynął, zostawił Torunn samą sobie na zbyt długo, nie był przy niej. Ale przecież miała Kaja Rogera. Przynajmniej tyle załatwił.

Wyrzucił jednorazowy fartuch do kubła na śmieci, wszedł do środka i zamówił kawę ze świeżo posmarowaną bagietką z serem i szynką. Samochody na zewnątrz stały równo obok siebie, jeden czarny, drugi lśniąco biały. Pasowały do siebie, lubił patrzeć, jak tak stoją jeden przy drugim, zawsze mu to przypominało o tym, jakie bywało życie – jasne i łatwe w jednej chwili, czarne jak węgiel w następnej. Albo odwrotnie, równie dobrze odwrotnie.

Usiadł na jedynym krześle przy małym stoliku zarezerwowanym dla klientów i przeglądał zapomnianą gazetę, która tam leżała. W rękach i barkach czuł zmęczenie. Stein-Ove zjawił się z własną kawą i chciał pogadać, oni zawsze chcieli rozmawiać o jego pracy, nigdy nie mieli dość, ciągle zadawali nowe, dziwaczne pytania. Ale przyzwyczaił się już do tego, to była hermetyczna branża, nic dziwnego, że ludzie byli ciekawi. To ten serial tak naprawdę obudził ludzką ciekawość, z początku sam go nie oglądał, odcinki puszczała za późno wieczorem jak na jego przyzwyczajenia, ale szybko zrozumiał, że to prawie gafa. Miesiąc temu pozwolił sobie więc na ekstrawagancki zakup, jakim był odtwarzacz DVD i wszystkie sezony *Sześciu stóp pod ziemią*. Nikt go nigdy nie odwiedzał i nikt nie miał o tym wiedzieć. Wyglądałoby to na lekką perwersję. Ale jak ludzie tak ciągle pytali i drążyli, znajomość serialu pomagała. Zawsze mówił, że jest zachwycony faktem, że pracuje w Norwegii, a nie w USA. Inni nie zawsze się z nim zgadzali, wielu chciałoby, żeby ich zmarły bliski wyglądał lepiej po śmierci niż za życia. Zwyczaj otwartej trumny praktykowano na szczęście tylko podczas czuwania w kaplicy. Tu chodziło przede wszystkim o chłodzenie, chłodzenie i jeszcze raz chłodzenie, a w Stanach usuwali z ciała

wszystkie płyny, które powodowały i przyspieszały gniciu, najpierw płynem balsamującym zastępowano krew, potem starannie i dokładnie dezynfekowano wszystkie otwory ciała. Powieki i dziurki od nosa, przewody słuchowe, usta i przełyk. No i oczywiście odbył i organy płciowe. Szczotkami, ściereczkami i sprejami. Na koniec nakładali nieboszczykowi makijaż, ubierali go, kładli w przesadnie zdobionej trumnie, w której mógł leżeć godzinami, jeśli nie całymi dniami, w normalnej, pokojowej temperaturze, wciąż wyglądając pięknie i jakby tylko spał.

On uważał, że to było zapieranie się śmierci. Ludzie **usuwali** śmierć. Wszystko stawało się tylko fasadą i kłamstwem. Pomyśleć, że on miałby dbać o to, żeby każdy trup przede wszystkim świetnie się prezentował! Na przykład ofiary wypadków.

Z perwersyjnym zainteresowaniem, połączonym z prawdziwą, zawodową ciekawością, pochylony do przodu na regulowanym fotelu typu rehabilitacyjnego, śledził, jak **odbudowują** twarze i czaszki, wypychają i wypełniają, przykrywają perukami, szpachlują, malują i szminkują. W Szpitalu Świętego Olava pracował jeden taki człowiek. Jedyne w całym Trondheim! W Ameryce każdy zakład pogrzebowy miał takiego specjalistę, a czasem kilku. To było konieczne. Ciało przez wiele godzin było oglądane z bliska, zanim poddawało się je kremacji albo chowało. A tutaj taka rekonstrukcja odbywała się tylko w niezwykle rzadkich przypadkach. Zazwyczaj chodziło o młodych ludzi, którzy zginęli w wypadku, a rodzicom trzeba było pozwolić popatrzeć na swoje dziecko ten ostatni raz. Takie sytuacje rozumiał. Wtedy oczywiście robiło się co w ludzkiej mocy, wszystko dla spokoju duszy i ukojenia żalu.

– No to samochody są już w *ship shape condition*?

Stein-Ove zawsze dorzucał coś po angielsku, najwyraźniej naoglądał się za dużo amerykańskich seriali. Tu nie było polerowania, tylko *polish, deep polish oraz full treatment*. Margido przełknął kawałek bagietki i potwierdził ruchem głowy.

– Taaa, teraz są gotowe do drogi – potwierdził i czekał, aż Stein-Ove rzuci coś o byciu *on the road again*. Ale on zamiast tego powiedział: – Wczoraj jechałem za konduktem pogrzebowym koło Ladę. To po prostu nie do pomyślenia! Uwierzysz, że jakiś *stupid idiot* nie wytrzymał tempa i zaczął wyprzedzać? Wcisnął się między karawan a następny samochód. Zero szacunku, naprawdę.

– Wiem o tym – odrzekł Margido. – Zero szacunku.

– Pewnego pięknego dnia on sam tam będzie siedział i odprowadzał kogoś ze swoich bliskich. Wtedy zrozumie. Dużo roboty ostatnio?

– Pomalutku. Jutro dwa pogrzeby.

– A jak oni umarli?

Margido musiał trochę pomyśleć, zanim odpowiedział, wolałby powoli przekartkować gazetę, dokończyć jedzenie, odpocząć nieco, nim odwiezie caprice do garażu i wróci pieszo po citroena.

– Kobieta na raka, no i jeden zawał.

– Facet znaczy. Ten zawał.

– A nie. Kobieta, pięćdziesiąt jeden lat.

– O, to dobrze jest słyszeć. Stara wierci mi dziurę w brzuchu, żebym przestał palić.

– Powinieneś, nie ma dwóch zdań – powiedział Margido.

– Nie takie to proste. *Just quit*, niby? Nie, jakieś przyjemności w życiu trzeba mieć.

Kiedy pół godziny później siedział w citroenie, jadąc do biura, zaczął sobie wyobrażać stronę internetową biura. Powinna być skromna i spokojna. Czytelna i stonowana. Miał wielką nadzieję, że ten bratanek nie widział ani jednego odcinka *Sześciu stóp pod ziemią*.



ROZDZIAŁ 3

Krumme! Obudź się! Słyszysz to samo co ja?

Erlend tak długo potrząsał ramieniem Krumme, aż ten otworzył oczy.

– Boże Świąty, jest niedziela rano, czyż nie...?

– Oczywiście – potwierdził Erlend.

– To chyba mogę sobie pospać dłużej. Mam dyżur wieczorem, zapomniałeś o tym? I mam teraz w firmie stolarzy, pracują wiertarką pneumatyczną. Nie miałem pojęcia, że stolarze używają... sądziłem, że oni...

– Ależ czy ty nie słyszysz, Krumme! Posłuchaj!

Oczy Krumme były czerwone i bardzo niewielkie.

Nadsłuchiwali razem przez kilka sekund.

– Nie słyszę absolutnie niczego – rzekł Krumme, zamykając ponownie oczy, naciągając podwójną kołdrę mocno w swoim kierunku i odwracając się na bok. Erlend gwałtownie pociągnął kołdrę w przeciwną stronę.

– Nie! Ależ właśnie o to chodzi, Krumme! Nie słychać zupełnie niczego! Ani jednego dźwięku!

– No to śpijmy.

– Krumme. Jest wpół do dziesiątej.

– Wielkie nieba. A ty mnie budzisz.

– ...a Birte miała przyjść o dziewiątej! Taka była umowa! Już powinniśmy słuchać szumu odkurzacza! I zmywarek! Dźwięku leżącej z kranu wody! Szeleszczących rękawiczek gumowych! Klekotania worków z pustymi butelkami i śmieciami, wynoszonych do hallu! Takich odgłosów, których kocham słuchać, śpiąc sobie w niedzielne przedpołudnie! Zastrzelę się, jeśli ona nie przyjdzie.

– Dzięki Bogu, że mam dyżur dopiero wieczorem. Mogę zatem zostać w łóżku do chwili, kiedy będę mógł opuścić miejsce zdarzenia.

– Wtedy ciebie też zastrzelę.

– Pomyśl, jaka robota spadnie wtedy na policję. A już teraz są przepracowani. Zdaje się, że mieszkanie wygląda jak teren po katastrofie. Będą potrzebowali specjalnego zastępu komandosów, odpornych na traumatyczne przeżycia.

Zasadniczo impreza miała być tylko zwykłym sobotnim spotkaniem dziesięciu osób, ale przed godziną dwunastą przyłączyły się do nich dwie inne wesołe grupy i kiedy Erlend w pewnym momencie zamierzał policzyć, ile osób chciałoby napić się koniaku, doliczył się ponad czterdziestu ludzi. Oczywiście większość z nich to byli znajomi, może z wyjątkiem jakichś siedmiu-ośmiu osób. Ale często tak to się kończyło. Wszyscy wiedzieli, że tutaj czeka ich serdeczne przyjęcie, pełen barek i dźwiękoszczelne ściany, dzielące zabawę od mieszkań sąsiadujących poniżej.

- Ale ja muszę się wysikać! – powiedział teraz.
- To idź i sikaj, ty głupolu.
- Nie mam odwagi otworzyć drzwi.
- Idź zatem z zamkniętymi oczami. Chyba dasz radę znaleźć swoją własną wygodkę? Kiedy poszli ostatni goście?
- Nie mam pojęcia. W sumie możliwe, że ktoś nadal tu jest. Ta cholerna Birte! Zadzwońię do niej, jak tylko znajdę telefon.

Erlend przeszedł nago przez hall do toalety, ze spojrzeniem utkwionym w podłogę. Zdażył jednak po drodze zauważyć korkociąg z korkiem w środku i kawałkiem ciasta nadzianym na sam czubek. Cała ta beznadziejna dekoracja leżała na jednym z empirowych foteli.

Chwycił korkociąg szybkim ruchem, aż ciasto spadło, i dokładnie obejrzał aksamitne obicie, sprawdzając, czy zostały na nim ślady po winie. Coś tam było widać, ale nie na tyle wielkiego, żeby miał siłę wpadać w histerię. Reakcje histeryczne zamierzał sobie zostawić na resztę mieszkania. Zakładał, że będzie mu to bardzo potrzebne, jak tylko zacznie szukać telefonu.

Z niezadowoleniem zerknął na drzwi od windy. Winda stała na parterze i żadna Birte nie wjeżdżała nią w tej chwili do góry. Miała obiecaną potrójną zapłatę oraz zabranie wszelkich możliwych resztek pysznego jedzenia. Naprawdę było wyszukane, w sumie powinni chyba korzystać z cateringu nieco częściej. Krumme miał o wiele za dużo roboty w pracy, żeby zostały mu siły na pichcenie, a on sam nie potrafił akurat skoncentrować się tak, jak tego wymagało robienie koreczków. Wszystko, o czym obecnie myślał, to rozwój płodu, prawdę mówiąc, zjawisko to osiągnęło już takie rozmiary, że odbijało się na jego pracy. Jedyny wyjątek stanowiły wystawy mające cokolwiek wspólnego z małymi dziećmi, wtedy był pewien, że okaże się jak zwykle źródłem genialnych pomysłów. Ale jedyna okazja, jaka do tej pory się nadarzyła, to wystawa z najnowszymi modelami wózków dziecięcych firmy Teutonia. Były niestety przerażająco szpetne, musiały zostać zaprojektowane przez jakiegoś człowieka z głębokimi zaburzeniami. Zupełnie nie był w stanie pojąć, jak można było odłożyć na bok wszystkie myśli związane z estetyką na rzecz funkcjonalności i bezpieczeństwa. Wózki dziecięce, z którymi można było biegać po lesie! Po cóż, do cholery, człowiek miałby chodzić z wózkiem **do lasu**?!

Usiadł na muszli, żeby się wysikać, zawsze robił to rano w ten sposób, to była dobra zasada, której dawno temu nakazał przestrzegać również Krumme. Plamy z moczu na podłodze były takie prostackie. Był pewien, że jeśli w tej sekundzie zbadałby dokładnie podłogę wokół kibla, znalazłby ich całe mnóstwo. Plam o wysokim stężeniu alkoholu. Na jego wyszukanych, dębowych panelach. Na szczęście zostały pokryte pięcioma warstwami solidnego lakieru okrętowego z połyskiem. I pomyśleć, że można było nadać wózkom dziecięcym nazwę łudząco podobną do nazwy zatopionego statku! Dlaczego w sumie nie zainstalowali sobie stałego łącza telefonicznego tutaj w toalecie, mógłby teraz zadzwonić do Birte, a potem bezpiecznie wskoczyć znów pod kołdrę! Tych bezprzewodowych nigdy nie można było znaleźć. Mieli cztery, które nigdy nie leżały na swoich miejscach, a potem nagle wszystkie odnajdowały się na jednym metrze kwadratowym. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie może leżeć jego komórka, przebłyskiwało mu jakieś słabe wspomnienie nakręconej rozmowy, którą z kimś w nocy przeprowadził, nie pamiętał jednak z kim i dlaczego. Będzie musiał sprawdzić zarówno rozmowy przychodzące, jak i wysłane elementy, a to było absolutnie **najgorsze**, co przychodziło mu robić następnego dnia, kiedy zimny ze strachu zastanawiał się, czy nie przekroczył istotnych granic w rozmowie telefonicznej. Nie pamiętał już, ile razy ostatnio prosił Krumme, aby przed imprezą schował przed nim komórkę, tylko po to, aby następnie w daleko posuniętym stanie upojenia

brać go na kolana o jej udostępnienie, grożąc przy tym surowymi sankcjami; w najgorszym wypadku ciskając groźbę rozdziału od łóżka i stołu. I pomyśleć, że Krumme w swej prostocie wierzył w te groźby o odmowie kochania się, a przecież to w takim samym stopniu dotknęłoby jego samego.

Czuł, jak wzbiera w nim niepokonana chęć wypicia lodowatego szampana. Ale to było oczywiście wykluczone, bo nie odważyłby się wejść teraz do kuchni. Może uda mu się znaleźć butelkę w małej lodówce w łazience? Wymknął się z toalety dla gości i ruszył do drzwi łazienki, otworzył je i głośno krzyknął. Jacuzzi było pełne wody, w której pływały kawałki sera i nasiąknięte tosty, na podłodze leżał stłuczony kieliszek, ale, dzięki Bogu, nie widać było śladów krwi. Przeliczył puste butelki po szampanie i doliczył się czterech. Resztki niegdyś wspaniałego dania serowego leżały wepchnięte do połowy pod ręcznie tkany koc Esti Barnes. Rozgniecione na płasko czarne oliwki tworzyły wokół psychodeliczny wzór, bez wątpienia nie przyczyniając się do podniesienia poziomu ogólnej estetyki. Drzwi do lodówki stały otwarte na oścież, a w środku było pusto jak na liście gości starej panny. Z zamrażalnika w lodówce spływała rosa. Przyniósł ręcznik, wytarł starannie wilgoć i zamknął drzwi.

Jeśli można będzie mówić o odrobinie szczęścia w nieszczęściu, to jest nadzieja, że teraz na dobre zepsuł się już termostat i będzie mógł natychmiast wymienić lodówkę na całkowicie nową, supercichą lodówkę w stylu retro, którą widział w „Elle Decoration”. **Naprawdę** bardzo męczące było słuchanie lodówki, która w kółko włączała się i wyłączała, kiedy człowiek leżał sobie obok w gorącej wodzie, usiłując wyzerować swoje chaotyczne wnętrza.

W ogromnym, słonowodnym akwariu, które wypełniało całą przestrzeń wzdłuż jednej ściany łazienki, ryby spokojnie pływały z uchylonymi pyszczkami, poruszając leniwie ogonami i płetwami.

– Możecie być teraz naprawdę kurewsko zadowolone, że mieszkacie sobie w odrębnej, szczelnie zamkniętej części – wymamrotał. – Inaczej dostałybyście dziś w nocy zarówno sera, jak i Bollingera.

Dysze w jacuzzi nie tolerowały żadnych ciał obcych, trzeba będzie sitkiem akwariowym wyłowić wszystkie resztki jedzenia, zanim się je opróżni. **Konieczn**ie. Ale nie on! To była robota Birte! A co jeśli ktoś tam uprawiał seks?! A teraz trzeba będzie tam usiąść i za pomocą sitka grzebać się w wydzielinach intymnych innych ludzi! W tym momencie zauważył telefon, ciśnięty niedbale na fotel stojący w rogu. Numer Birte zapisany był pod ósemką i nacisnął na nią tak mocno, że poczuł, jak krew odpłynęła mu z kciuka.

Odpowiedziała po pierwszym dzwonku.

Złamała sobie nogę w kostce, wysiadając w nocy z taksówki, teraz leżała na sofie u siebie w domu, tak nafaszerowana tabletkami przeciwbólowymi, że po prostu, niestety, zapomniała zadzwonić.

– Ale cóż takiego, do diabła, miałaś po nocy do roboty w taksówce, skoro o dziewiątej miałaś być tutaj i usunąć ślady po tsunami?! Co? Zrobiłaś to specjalnie?

Wracła z urodzin swojej siostry. Miał pamiętać, że nie wypisała się jeszcze z rodziny tylko dlatego, że płacił jej potrójnie. I że dodatkowo dostawała pyszne resztki.

– Czy znasz może wobec tego jakiś numer telefonu alarmowego, pod który mógłbym zadzwonić? Jakiś ostry dyżur sprzątaczek? Do kogoś, kto może natychmiast przyjść w kryzysowej sytuacji?

Chciała się już rozłączyć. Musiała położyć się spać.

- W zasadzie zamierzam zrobić to samo. Zdrowiej szybko. Kiedy znów będziesz na nogach?
- Za sześć tygodni zdejmują mi gips.

– **Sześć tygodni?** Jesteś przecież taka **młoda!** Chyba wszystko zrasta się szybciej niż przez sześć tygodni, kiedy człowiek jest taki młody! Czy wobec tego ja i Krumme mamy...

Odłożyła słuchawkę. Po prostu odłożyła! Zastaniając oczy dłonią, przemknął prosto do kuchni, zerkając przez szparę między dwoma palcami, schwycił z lodówki butelkę Bollingera, dzierżąc szampana i telefon, przedostał się do bezpiecznego azylu w sypialni i głośno zamknął za sobą drzwi. Chrapanie Krumme nawet nie zmieniło swojego rytmu.

– Krumme! Gdzie jest pistolet?! KRUMME!

– Co? Co...?

– Pistolet! Mam przecież w domu **pistolet?!!**

– Nie, **skądże** znowu...

– Ona złamała nogę w kostce. *The world as we know it* zapadł się pod ziemię. Możesz spróbować, ale ja zamierzam pić prosto z butelki. A jacyś **idioci pierwszej wody** nawrzucaли pełno jedzenia do jacuzzi.

– To byliśmy my dwaj, myszko.

Po wypiciu połowy butelki Bollingera, co uczynił, siedząc w łóżku oparty plecami o ścianę, oraz po kilku soczystych beknięciach, jego tętno powoli wracało do swojego zwykłego tempa. Pomyślał sobie: Jak, do diabła, poradzę sobie z obsługą **dwójki dzieci**, skoro nie mam siły nawet na posprzątanie dwustu metrów kwadratowych poimpresowego chaosu? Natychmiast poczuł się dojrzały i dorosły, no bo skoro był w stanie wydobyć z siebie takie porównanie... to chyba jakoś sobie z tym wszystkim poradzi.

Dzięki Bogu, że zamknęli na klucz biuro, pralnię i swoją sypialnię. Może dozorca budynku miał w rodzinie jakichś młodych, dojrzewających, desperacko potrzebujących pieniędzy ludzi, którzy zrobiliby wszystko w zamian za godziwą zapłatę? Żeby zrobić czarną robotę, a on sam zająłby się najbardziej wymagającymi zadaniami, na przykład sortowaniem stosu płyt CD, które, zdaje się, leżały rozrzucone na podłodze przed sprzętem marki B&O. Do pracy miał iść dopiero w poniedziałek o dwunastą, musiał po prostu to wszystko ogarnąć bez palnięcia sobie w łeb. Poza tym miał zostać ojcem, więc nie mógł teraz umierać. Przystawił butelkę do ust i pił tak, że spływało mu po brodzie; lodowate krople kapały na klatkę piersiową. Miał nieprawdopodobnego farta. I był niesamowicie szczęśliwy. W gruncie rzeczy. Tyle tylko, że bez przerwy dźwigał w sobie to uczucie, że ze wszystkim tak cholernie się spieszy! Termin porodu Jytte i Lizzi wypadł dopiero na początku grudnia, ale z doświadczenia wiedział doskonale, że czas zawsze pędził w miarę zbliżania się świąt. Nawet jeśli dopiero był maj. Ale właśnie skończył czterdzieści lat i proszę, jak to szybko minęło! Musieli teraz pospieszyć się i żyć jak najintensywniej, ponieważ za chwilę mieli wlec się ulicami, pchając przed sobą wózki dziecięce, przypominające gigantyczne pałeczki do jedzenia ryżu, obleczone w ceratę w jedynym słusznym kolorze. Będzie musiał zaufać Włochom, u nich na pewno znajdzie jakieś produkty do pchania w bardziej wyszukany styl. Albo w Nowym Jorku. Nagle zastanowił się, z jakich wózków korzysta pani Bosch-Beckham do toczenia swojego potrójnego narybku, bardzo chętnie by się tego dowiedział, na szczęście niemożliwe było wyobrażenie sobie pani Bosch biegającej z wózkiem dziecięcym po lesie, na piętnastocentymetrowych obcasach i w spódniczce tak wąskiej wokół kolan, że prawdopodobnie musiała zaklejać sobie łokotki plastrem w celu uniknięcia otarć.

Opróżnił butelkę i rzucił okiem na Krumme, który był teraz jedynie kulistym kształtem pod kołdrą. Tylko widoczny z jednego końca czubek rozczochranej głowy zdradzał, że ukrywała się tam inteligentna forma życia. Kochany Krumme, mały słodki śpioch, bez którego nie mógłby

sobie wyobrazić życia. I biedny Krumme, który tak bardzo obawiał się opowiedzieć swojemu obrzydliwie snobistycznemu ojcu oraz takiej samej rodzinie siostry w Klampenborg, że na święta pojawi się na świecie kolejny potomek rodziny Thomsen. Może mogliby nazywać go małym Carlem. Oczywiście, jeśli to będzie chłopiec.

Pochylił się i pocałował Krumme delikatnie we włosy. Jasne, że mógł sobie jeszcze pospać, miał przecież wieczorny dyżur w redakcji. Teraz musiał naprawdę zadzwonić ponownie do Birte i zachować się jak cywilizowany człowiek. Czując, jak ożywczy, musujący alkohol miękko przepływa przez jego ciało, nacisnął ostrożnie na ósemkę i czekał na jej głos w słuchawce.

Usłyszał tylko automatyczną sekretarkę, ale w sumie o to mu chodziło.

– Kochana Birtusiu, **bardzo cię przepraszam** za te wszystkie brzydkie rzeczy, które powiedziałem. **Biedactwo** ty nasze, jak bardzo na pewno musi cię boleć. Słyszałem, że kostka to **szczególnie** bolesne miejsce w przypadku złamania. I do tego w niedzielę! Wybacz, że straciłem głowę, wpadłem w panikę, sama rozumiesz. Z tej prostej przyczyny, że tak bardzo d ufamy, jesteś najzdolniejszą sprzątaczką, jaką **kiedykolwiek** mieliśmy przez te **wszystkie** lata mieszkania tutaj. Po prostu **znasz** nasze mieszkanie, a to nie jest takie proste, moja droga. Jesteś wyjątkową osobą, aniołem na tej ziemi, czuwającym nad Krumme i nade mną. Kiedy twoje umiejętnie i pracowite ręczki zajmują się po kolei każdą rzeczą w tym domu i pozostawiają ją w nieskazitelnym stanie, jaśniejącą czystością, wtedy... tak... Po prostu nie masz **pojęcia**...

W tym momencie odebrała telefon. Nie miała siły słuchać dalej tego całego *bullshit*. Zamierzała zadzwonić do swojej przyjaciółki, która też pracowała jako sprzątaczką w domach na wysokim poziomie, i dowiedzieć się, czy nie mogłaby błyskawicznie się u nich pojawić. Za poczwórną zapłatę. **Oraz** za przepyszne resztki. A gdyby czegoś nie wiedziała, to Birte miała być cały czas pod telefonem. Za **podwójną** zapłatę.

– Jesteś aniołem.

Miała oddzwonić ponownie po rozmowie z Susy.

Susy? Jakaś obca kobieta o imieniu pasującym w Norwegii tylko do setera angielskiego miała zajmować się ich mieszkaniem o wartości rynkowej dwudziestu milionów koron, myśl ta przyprawiała go o pewną słabość. Ale teraz musiał zaufać Birte. A jutro zamierzał wysłać jej do domu gigantyczny kosz z szynką, czerwonym winem, winogronami, chlebkiem oliwkowym oraz słoiczkiem kaparów królewskich, a także suszonych w słońcu pomidorów w najlepszej oliwie, wraz z wielkim bukietem jaskrawoniebieskich chabrów, właśnie zaczął się na nie sezon.

Zadzwonił telefon, rzucił się go odebrać. **Susy** była w drodze. Miała najpierw zajechać do Birte po klucze i instrukcje. Birte właśnie siedziała z zeszytem na kolanach i notowała dla niej najważniejsze rzeczy. Postanowił, że do tego kosza dorzuci jeszcze butelkę dobrego rocznika octu balsamicznego. Podziękował, odłożył słuchawkę i trącił Krumme.

– Rusz się.

Krumme przewrócił swój kulisty kształt na plecy, Erlend schwycił go za ramię i podniósł je do góry, a potem wetknął głowę głęboko pod pachę Krumme. Wdychał mocno zapach ciepłego, słodkiego potu ze snu.

– Jesteśmy uratowani – szepnął. – Tuż znad krawędzi przepaści. Możesz być wdzięczny mojej godnej podziwu zdolności przekonywania, mojemu wybitnemu wglądowi w psychologiczną naturę pochlebcy. Oraz naszemu statusowi finansowemu, który pozwala nam dać się wykorzystywać młodym kobietom całkowicie pozbawionym kręgosłupa moralnego i współczucia dla bliźniego. Teraz możesz sobie dalej spać. Niedziela od tej chwili będzie już cudowna. Będziemy myśleć wyłącznie o naszych wspaniałych dzieciach i ich dzielnych matkach. Wiesz, mój kochany Krumme, że one zaczynają już dziesiąty tydzień? Teraz to już nazywa się

plód, zakończyliśmy właśnie fazę embio... embrionalną. Przepraszam, wypilem sam całą butelkę. A w tym tygodniu zniknie im ogon! Pomyśl, nasze dzieci aż do teraz miały ogony. To trochę *tacky*¹, czyż nie? Jestem w siódmym niebie ze szczęścia, że ta moda na ogon właśnie przeminęła. Niedługo będzie można zobaczyć palce u rąk i nóg oraz oczy i uszy. Ale zastanów się chwilę nad tym znikającym ogonem, co też z nim się dalej dzieje? Czy to tak jak z salamandrami? Albo jaszczurkami? Że ogon po prostu odpada? Trochę mnie to niepokoi, muszę przyznać, że ogon będzie pływał sobie gdzieś w wodach płodowych. A co będzie, jak wpadnie dziecku do buzi i je udusi? Albo przyrośnie do innego miejsca na ciele? Do czoła na przykład?

– Śpij już.

– Musimy zapytać je o to dziś po południu.

– Po południu...? – rzekł Krumme.

– Tak, nie pamiętasz? Jedziemy do Amager wypić herbatę w ogrodzie wspólnie z matkami, zanim ruszysz do pracy.

– Nawet nie pamiętam, że się na to umawialiśmy...

– Przecież ty niczego nie pamiętasz, Krumme. Najwyraźniej nie tolerujesz alkoholu. Ale póki ja pamiętam... widziałeś gdzieś moją komórkę?

– Usiłowałeś schować ją sam przed sobą. Ostatniej nocy. Zdaje mi się, że leży w lodówce w pojemniku z warzywami.

– Ach tak! Teraz sobie przypominam. Może pamiętasz też, z kim... rozmawiałem?

– Dzwoniłeś do mojego ojca. Nazwałeś go nadętym balonem zaporowym.

Erlend przełknął nagły atak kwasu żołądkowego.

– Czy ja mu też powiedziałem, że ty... że my... będziemy...

– Tak, myszko. Powiedziałeś.

– A co on na to?

– Nie mam pojęcia, przecież to ty z nim rozmawiałeś. A teraz śpijmy.

– Tak – rzekł Erlend. – Bardzo chętnie. A ty możesz mnie mocno walnąć młotkiem w głowę, skoro już jesteś na chodzie. Będę ci za to nieskończenie wdzięczny.

Erlend dziękował w duchu swoim bardzo ciemnym okularom przeciwsłonecznym marki Porsche oraz słusznej dawce calvadosu, dzięki którym tego samego popołudnia dał radę siedzieć wyprostowany w ogrodowym fotelu w Amager. Krumme odmówił zatelefonowania do ojca w celu wylania oliwy na spienione fale. – Sam zadzwoni, jeśli będzie chciał o coś zapytać.

Erlend wcale nie był tego taki pewien. Prawdopodobnie stary Thomsen siedział teraz ze sztabem sówicie opłacanych adwokatów i roztrząsał szczegółowo wszystkie możliwe warianty wydziedziczenia Krumme. **Czy istniała** w ogóle taka furtka? Nie miał odwagi zapytać o to Krumme. Spadek ze strony matki otrzymał już dawno temu, sama ta kwota to było dobre kilka milionów koron. Ale cały czas tkwiła też w głowie myśl, że stary Thomsen w dniu swojej śmierci spowoduje przyrost na koncie Krumme wyrażony dwucyfrową kwotą milionów koron. Nawet jeśli jego cholerna siostra też dostanie połowę.

Seter angielski uwijał się w szale pracy w ich domu, słuchając przy tym instrukcji Birte przez słuchawkę włożoną do ucha. O dziwo, komórkę umieściła sobie przy tym między piersiami. Dzięki temu mogła pracować, używając obu rąk, a to naprawdę było potrzebne. Po tym, jak jej przybycie zostało potwierdzone, i po trzech kolejnych godzinach snu Erlend odważył się w końcu powoli przejść przez salony. Anioł zbawienia krzątał się teraz po kuchni, a sprzątanie w

¹ *Tacky* (ang.) – obrzydliwe, wstrętne. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

salonach jeszcze nie zostało rozpoczęte. Na szczęście nic nie uległo zniszczeniu, Bogu niech będą dzięki. Ale za to cóż za chlew. Zaświniony był nawet taras na dachu, gdzie ktoś w nocy odpalił gazowego grilla. Erlend studiował przez chwilę badawczo leżące tam cienkie jak zapalki i spalone na węgiel resztki, przełamał jeden kawałek na pół i doszedł do wniosku, że to musiały być szparagi. To naprawdę było twórcze.

Nawet na witrynce z figurkami Swarovskiego ktoś zostawił tłuste odciski palców! Chociaż wszyscy wiedzieli, że to jest już absolutnie *off limits*². Prawdopodobnie macała je ostatnia zdobycz Jorge, młoda, niemiecka laska imieniem Ute, o nogach tak długich, że sięgały jej do samych łopatek, i z niemożliwą do odparcia gwałtowną potrzebą słuchania w kółko Evy Cassidy. Istniał jednak pewien moment nasycenia, nawet jeśli w grę wchodziła Eva Cassidy. To na pewno ta Ute przykleiła łapy do szyb, zanim Jorge zdążył zareagować. Tak czy owak, witryny były zamknięte. Nie w jakiś niesmacznie ostentacyjny sposób na klucz w samym środku drzwi, tylko za pomocą ukrytego z góry i z dołu zamka magnetycznego.

Odchylił się do tyłu na krzesło i zamknął oczy, bez pachniał oszalamiająco, a on znajdował się dokładnie w tym miejscu, gdzie – zaraz po leżeniu w łóżku z Krumme – najbardziej chciał być, a mianowicie w pobliżu swego nienarodzonego dziecka. **Swoich** nienarodzonych dzieci.

Jytte przyniosła świeżo upieczone pszenne bułeczki, postawiła je na stole i pogłaskała go po policzku.

– Jesteś zmęczony, mój drogi?

– Takie mam wrażenie. Jak się czujesz? Nie czujesz, jak mały ogon gdzieś tam pływa sobie w twoim brzuchu?

– Daj spokój, Erlendzie. On wcale nie odpada. Zmienia się w dolną część kręgosłupa.

Zarówno Jytte, jak i Lizzi były w świetnej formie, tak przynajmniej twierdziły, zwłaszcza odkąd skończyły się ich poranne wycieczki do toalety. To chyba oczywiste, pomyślał sobie, nigdy nie tykały już nawet kropli alkoholu. Patrząc z medycznego punktu widzenia, to było świetne. Ale balowanie do białego świtu z dwiema kompletnie trzeźwymi osobami zawsze wzbudzało lekki niepokój.

– Na pewno uważasz, że jestem okropnym ojcem.

– Masz jeszcze czas. Na stanie się ojcem. Wyluzuj. Zasługujesz na to.

– Zadzwoiłem do ojca Krumme i wszystko mu opowiedziałem. To było okropne z mojej strony.

– Nie musisz wcale tak myśleć. Lizzi też zamieniła z nim parę słów.

– Co?! Naprawdę?

– Podniósł się z krzesła i schwycił Jytte za ramiona.

– Czy to prawda? Czy Krumme o tym wie?

– Nie mam pojęcia. Przecież on od waszego przyjścia siedzi w toalecie.

– Ale o czym oni rozmawiali, Jytte?!

– O kursach giełdowych. I o globalnym ociepleniu. Roztapianiu się biegunów. Tak sędzę.

– LIZZI! GDZIE JESTEŚ?

Wbiegł do środka przez drzwi ogrodowe i zaraz za nimi zderzył się z Lizzi. Niosła tacę z kubkami z kawą, obok leżał pokrojony w plastry ser oraz kiwi. Widok sera przypomniawszy mu mętłą wodę w jacuzzi z pływającymi w niej kawałkami jedzenia. Teraz pewnie Susy siedziała i grzebała w letnich wydzielinach cielesnych jego i Krumme, jeśli nie umyje rąk przed dotknięciem się w te miejsca, na pewno zajdzie w ciążę z bliźniakami, nagle poczuł mdłości

² *Off limits* (ang.) – tutaj: przekracza wszelkie granice.

wysoko w gardle, rzucił się do łazienki, gdzie Krumme stał, wcierając w twarz zimną wodę. Upadł na kolana przed muszlą i gwałtownie zwymiotował, jednocześnie zmuszając się do myślenia o tym, jak ładna będzie łazienka Jytte i Lizzi z czarnymi płytkami na podłodze, ścianach i suficie i z porcelaną z owalnej serii od Alessi, składającej się z umywalki, muszli i być może bidetu. Chodziło o to, żeby zobaczyć sprawy z pewnej perspektywy,, wiedział, że za chwilę poczuje się dużo lepiej. Płucząc usta i dmuchając nos, powiedział do Krumme, który stał tam bez ruchu i wszystkiemu się przyglądał: – Matka twojego dziecka rozmawiała z twoim ojcem.

– Ożeż kurwa.

– Dokładnie tak samo sobie pomyślałem.

– Co powiedział?

– Tego nie wiem. Musiałem nagle pójść zwymiotować. Chyba zadzwonię do setera angielskiego i powiem, że sam posprzątam jacuzzi, jak tylko przyjdę do domu. Jeśli jeszcze nie jest za późno.

– Angielskiego... o czym ty mówisz?

– Idź i dowiedz się od Lizzi, co on powiedział! Muszę zadzwonić!

Stary Thomsen w sumie nie powiedział zbyt wiele. Tylko tak i aha. Krumme sprawiał wrażenie zadowolonego i nazwał to dobrym **początkiem**. Erlend nie zapytał, co rozumiał przez kontynuację. Nie chciał, żeby drugie z dzieci miało dziadka, skoro jego dziecko go nie posiadało. Czworo rodziców musiało obojgu maluchom wystarczyć. Rodzicami Jytte nie martwił się, mieszkali w Perth w Australii. Ale oboje rodzice Lizzi żyli i mieszkali tutaj w Kopenhadze, byli naprawdę przemili i na pewno będą mogli zabierać dzieci do Dyrehavsbakken³ w niedziele takie jak ta.

Żuł swoją bułeczkę i popijał kawą z mnóstwem śmietanki, pozwalając innym prowadzić rozmowę. Dowiedział się teraz nieco więcej na temat zeszłego wieczoru oraz nocy i był już prawie pewien, że to ta Ute maczała paluchy w jego witrynce. Nie było dla niego jasne, kto próbował grillować szparagi, ale wołał nie pytać, w końcu mógł to być on sam. Zaczął myśleć o serii dziecięcej Swarovskiego i ta myśl go uspokoiła. Będzie musiał zrobić dla niej osobną wystawę. Odrębna półka nie wystarczy, ale oddzielna, podwyższona mała wystawa z lustrem, czterdzieści na sześćdziesiąt centymetrów będzie idealna. I ta malusienka grzechotka! Nie większa niż korkociąg w zestawie do czerwonego wina, wielkości paznokcia jego małego palca! I butelka ze smoczkiem! Zastanawiał się, kiedy powinien zacząć je zbierać. W sumie chciał jeszcze chwilę poczekać. Może po badaniu USG. Bo jeśli brzuchy okażą się puste, a ciąża urojona, to dziwnie może wyglądać, jeśli dorosły facet będzie wzdychać ze szczęścia nad tycimi grzechotkami i butelkami ze smoczkiem ze szlifowanego fasetowo kryształu. Albo w sumie czemu nie, wtedy miałyby przynajmniej coś pięknego w ramach zadośćuczynienia, taki rodzaj pamiątkowego zbioru.

Ale to wszystko nie wydawało się urojeniem, raczej przeciwnie, było dość realne. Słuchał cierpliwie i z zainteresowaniem pomieszanym z odrobiną przerażenia o wszystkich szczegółach dotyczących wydzielin, nadwrażliwych piersi i mdłości, odpowiednio: przy zapachu mokrego betonu w przypadku Lizzi oraz przy najmniejszym wprost śladzie zapachu gotowanej kapusty w przypadku Jytte. A więc jego dziecko nie lubiło kapusty, a dziecko Krumme nigdy nie będzie murarzem ani stróżem. No tak, z tym jakoś się pogodzą. Myśl o malutkiej butelce ze smoczkiem z kryształu Swarovskiego naprowadziła go na pytanie:

– Zamierzacie karmić piersią?

³ Dyrehavsbakken – znany park rozrywki w Danii.

- Oczywiście! – odparły chórem.
- Czy wszystkim ludziom to się udaje? – zapytał Krumme.
- Zazwyczaj raczej kobietom – odparła Lizzi.
- Czytałem o jednym facecie w USA – rzekł Erlend.
- Nie każ nam o tym słuchać – powiedziała Jytte.
- Zaczął sobie ściągać mleko – kontynuował Erlend – taką małą plastikową pompką, jakiej używają panie, kiedy chcą zostawić w lodówce ten specjał, zanim przekażą noworodka biednemu ojcu, a same wyruszą na impulsywny wypad do Kolonii. I temu facetowi udało się wywołać u siebie mleko. Nie za dużo, ale trochę było.
- Błee – rzekł Krumme.
- Tak, mnie też to nie nęci – powiedział Erlend. – Możecie być zupełnie spokojni. Chciałbym zachować płaską klatkę piersiową bez przesadnej topografii.
- Musimy zrobić zdjęcia – stwierdził Krumme. – Już sporo nad tym myślałem. Trzeba wziąć profesjonalnego fotografa, mam paru niezłych u siebie w gazecie, którzy potrafią nieco więcej niż biegać jako paparazzi za gwiazdkami popu, celebrytami na rowerach czy byłymi księżniczkami. W studio. Z dziećmi karmionymi piersią. A my staniemy za wami. Takie prawdziwe rodzinne zdjęcie. Takie jak robią sobie rodziny królewskie.
- Nie musimy chyba akurat dawać dzieciom **piersi** na tym zdjęciu – rzekła Lizzi.
- O Boże, czy pamiętacie te piękne zdjęcia dziecka Toma Cruise’a! – wykrzyknął Erlend. – I Gwen Stefanii Może „Vanity Fair” będzie zainteresowane! Trzeba was ładnie wystylizować i wypożyczyć ekskluzywne ubrania! To będzie coś fantastycznego!
- Erlend to **potrafi** – powiedział Krumme.
- Tom Cruise ukrył na początku małą Suri w tajemnym miejscu, wzbudzając w ten sposób ogromne zainteresowanie mediów! Dostał **majątek** za te zdjęcia! Ludzie pewnie zaczęli już myśleć, że urodziła się z dwiema głowami albo coś w tym rodzaju! Nie o to mi chodzi, żebyśmy sprzedali te zdjęcia. Mamy chyba dość pieniędzy. Takie mam wrażenie...
- Powiadają, że Tom Cruise zjadł po porodzie łożysko — dodała Jytte. – I że podobno jest bardzo zdrowe.
- Teraz jesteś **złośliwa**, Jytte – odparł Erlend. – Przecież właśnie się porzygałem.
- A my z Lizzi robimy to codziennie rano – odpowiedziała.

W taksówce w drodze powrotnej do centrum Krumme zapytał, co słyhać u Torunn.

- Wysłałam jej mnóstwo SMS-ów, ale odpowiada tak krótko. Sprawia wrażenie, że w ogóle nie interesują jej nasze dzieci. Jej własni kuzynowie!
- I jest ci z tego powodu przykro, myszko?
- Troszkę. Nie chciała też przyjechać nawet na moje urodziny.
- Jest pewnie bardzo zajęta.
- Ale można przecież wysłać sympatycznego SMS-a lewą ręką, karmiąc jednocześnie świnię prawą, więc to nie jest żadne wytłumaczenie, Krumme. Chociaż powiedziałem, że mogę jej pomóc w kwestii fryzury i ubrań na imprezę, ona zupełnie nie jest zainteresowana **zadbaniem** o siebie.
- Powinniśmy tam znów pojechać.
- Boże świąty. Poprzednia wyprawa nie była szczególnie udana. Zdaje mi się, że tym razem nie powinniśmy stawiać na niespodzianki.
- Nie, na pewno musimy ich zawiadomić. I tak musimy tam pojechać, kiedy Neufeldt będzie już wolny, a przynajmniej kiedy skończy robotę w Tajlandii, o tym wspominał Robert z redakcji

kulturalnej. Zadzwoń do niego jutro i się dowiem. No i musimy porozmawiać z Torunn, czy na pewno chce tam zostać. Czy faktycznie zamierza przejąć gospodarstwo.

– Oczywiście, że chce! Całe gospodarstwo podane na srebrnej tacy!

– No tak, ty cały czas widzisz to jako srebrną tacę, ale wcale nie jest pewne, że Torunn myśli tak samo.

– Ech, Krumme, jak ty umiesz tworzyć problemy, kiedy ich nie ma.

– Możesz przecież do niej zadzwonić, a nie tylko wysyłać SMS-y. Dowiedzieć się, jak ona się czuje. A potem tam się wybierzemy, z Neufeldtem.

– Poczekamy jeszcze chwilę – rzekł Erlend. – W gospodarstwie jest mnóstwo roboty na wiosnę. Wiem na ten temat wszystko. Nie najadłem się tymi bułeczkami. Zdążymy chyba wpaść na szybki talerz zupy z homara w Skilpadden, zanim mnie opuścisz?

W windzie wiozącej go do mieszkania przy Gråbrødretorv uważnie przyglądał się w lustrze swojej twarzy. Czterdzieści lat. Wkrótce będzie ojcem. Kiedy jego dziecko będzie w samym środku okresu dojrzewania, będzie miał pięćdziesiąt sześć lat. Ale Krumme będzie jeszcze starszy, w tym była pewna pociecha. Chociaż słaba.

Mieszkanie było puste i posprzątane na błysk. Nawet plama z empirowego fotela została usunięta, nie mówiąc o tłustych odciskach palców na witrynce. Ta Susy mogła wymieniać się u nich z Birte, **kiedy tylko** chciała. Na kartce w kuchni napisana została informacja o numerze konta, poszedł prosto do biura i przelał sześć tysięcy dla niej i trzy tysiące dla Birte. Rozliczenie na czarno. Albo **ekologiczne**, jak wolał je nazywać. Następnie nalał sobie sporą porcję koniaku, żeby dotrzymała towarzystwa sycącej zupy z homara, a potem bardzo drobnymi kroczkami zbliżył się do łazienki, trzymając w dłoni kieliszek. Westchnął głęboko i otworzył drzwi.

Jacuzzi było olśniewająco białe i czyste.

Opróżnione z wody. Całe pomieszczenie wyglądało jak przeniesione prosto z kosztownego ogłoszenia w specjalnym wydaniu „Interni”, poświęconego wyłącznie łazienkom. Żeby tylko nie przyszła teraz za kilka miesięcy, żądając alimentów.

Trzema dużymi haustami opróżnił kieliszek z koniakiem.



ROZDZIAŁ 4

Wyniosła plastikowy chodnik z kuchennej podłogi i położyła na ziemię między podwórkowym drzewem a drewnianą. Był ciężki jak ołów, nigdy wcześniej tyle nie ważył. Plan był taki, żeby zmyć z niego resztki jedzenia i plamy z kawy. Powinna go więc powiesić na sznurze do suszenia, ale zamiast tego rzuciła go po prostu na ziemię.

Słońce intensywnie przypiekało tył jej ciemnoniebieskiego swetra, powietrze między domami było spokojne i tylko lekko drżało gdyby wyszła za róg domu, poczułaby na twarzy świeżą bryzę znad fiordu. To właśnie było bardzo przyjemne, że mogła tak stać, mając gospodarstwo za plecami, i patrzeć na Korsfjorden, w stronę Skaun, gór Fosen i ujścia fiordu Trondheim.

Sprawdziła, czy ma w kieszeni papierosy, były. Okrążyła róg domu, ale nie miała siły stać, więc usiadła przy ścianie, plecami do muru. Tutaj słońce prażyło przez cały dzień, ziemia była sucha, świeże, zielone łodygi przeciskały się entuzjastycznie przez gęstą, pożółkłą warstwę martwej, zeszlórocznej trawy. Pola przy Skaun już się zieleniły. Pająki oszołomione słonecznym ciepłem biegały po żółtej trawie, wiosna wokół niej wrzała, rejestrowała wszystko, ale nic jej nie dotyczyło. Ona myślała o świniach. O tym, że one siedziały tam, leżały i stały w chlewie i nie wolno im było wyjść na wiosenny świat. Takich myśli na pewno nie miał prawdziwy rolnik. Dla prawdziwego rolnika były tylko źródłem utrzymania, które ma mieć dobre warunki, póki żyje, ale nic więcej. No bo co w końcu Świnia wie o widoku na fiord i zielonej trawie. Takie myślenie było beznadziejne. Kilka dni temu miała straszną ochotę zabrać ze sobą jednego prosiaka, pokazać mu świat. Miał trzy tygodnie, rządził rodzeństwem, mały twardziel, który wszędzie musiał być pierwszy. Wyobrażała go sobie, jak biega jak żrebak po podwórzu, wciska swój mały ryjek w każdy kąt, a zakręcony ogonek merda jak szalony. Poczwała leciutkie radosne oczekiwanie na myśl o tym, jak biega, a ona stara się dzielić z nim tę przyjemność, skrać mu nieco nadziei i radości życia.

Ale nie wyniosła go na dwór.

Bo nie mogła znieść myśli, że trzeba będzie znów go zabrać do środka.

Do cienia i zapachów, i do czterech ścian, które utrzymywały rzeczywistość na zewnątrz. I kiedy wyszła z chlewu, zaczęła strasznie płakać. Na szczęście Kaj Roger już pojechał. Mogłaby zacząć hodowlę ekologiczną. Biegające swobodnie świnie, czy to możliwe? A możliwość zarażeń? Czy rzeźnia by je przyjęła? Nie miała pojęcia. Kaj Roger przestał ją pytać, czego właściwie chce. Po prostu przychodził. Przyjeżdżał i odjeżdżał, rozmawiał o pogodzie, wietrze i świniach i sprawiał wrażenie przesadnie radosnego. Dziś miał odebrać swojego szczeniaka labradora, zamierzał z nim przyjechać na wieczorny obrządek. Niepokoiło ją to. Szczeniaki zawsze wprawiały ją w dobry humor, ale nie wiedziała, czy ma w sobie dość siły nawet tylko na szczeniaka. Pies. Miał się nazywać Borat. Po jakimś głupku z podobno bardzo zabawnego filmu.

Położyła dłoń na ciepłej, martwej trawie, leżącej równo po przyciśnięciu śniegiem w małych, gęstych matach, było to jak dotyk skóry, świńskiej skóry. To w dłoniach nosiła ze sobą świnię, wszędzie, przez cały czas, rano budziła się z nimi w rękach. Cienkie, gorące uszy, aksamitne brzuszki prosiąt, sztywne szczeciny macior, wilgotne, ruchliwe ryje, jak porcelanowe talerze, drobniutkie stópki noworodków wyciąganych z maciory, zakrwawione i drżące, drewnianka pokryte cienką skórą, jędrność i elastyczność grubych szynek, kiedy wyganiała maciory, żeby posprzątać w boksie.

Odpowiedzialność za nie wypełniała ją całą, od stóp po czubek głowy, wyglądało na to, że nie zapowiadała się na rolnika, skoro martwiła ją myśl o prosiaku, który nie może pobiegać po podwórzu. I o tym, że on umrze. Że będzie tu mieszkał razem z nią, dla niej, a potem umrze.

Kiedy ojciec żył, wszystko wydawało się takie naturalne. I tak było. Ruchliwe świnię. Chodził wokół nich i je pielęgnował. A ona teraz zaczęła z odrazą myśleć o mięsie w spółdzielni. Wybrane kawałki świni, pięknie opakowane w folię. Prosiak miał rosnać, zachowując odpowiedni procent tłuszczu, a nagrodą za to było zarżnięcie i pocięcie na fragmenty. Jedzenie go było w porządku, wtedy już został ubity. Ale kiedy biegały po chlewie, pełne żywej energii, o czym myślały? Czy rozumiały, o co tu chodzi? Oczywiście nie. Miały się dobrze! Świniom dobrze się żyło, bo o niczym nie wiedziały. Mięso z Neshov było znakomitej jakości, właśnie dlatego, że świnię miały się dobrze. Stanowiły dosłownie żywy dowód. A ona musiała przyznać, że myśl o wyjściu prosiaka na spacer była chora, chora! Wyobrażała sobie, że maluch opowie o wszystkim innym. Że są zamknięte, że świat jest zupełnie innym miejscem niż to wnętrze, że istnieją zielone pastwiska, ptaki i kwitnące jabłonie, i wokół świeża, kielkująca ziemia, zamiast torfowej ściółki wysypywanej z papierowych worków. Zdradziłyby to wszystko. Dlatego nie mógł niczego się dowiedzieć, tylko rosnać, dożyć do końca i stawić się na rozliczenie do rzeźni.

To były absolutnie najgorsze dni, kiedy odbierano świnię na rzeź. Chociaż zawsze wszystko przebiegało sprawnie. Zwierzęta w zamieszaniu wybiegały całym stadem, zdziwione potykały się o pochylnię i wbiegały do samochodu. Wokół nikogo, kto mógłby je stresować. Mieszkały w Norwegii, tu zwierzęta traktuje się z szacunkiem. Zestresowane świnię to niedobre mięso. Wiedziała to wszystko, ale jednak. Na pewno w gruncie rzeczy nie jest rolnikiem, chociaż tak jej się zdawało, przynajmniej przez chwilę. Nie wychowała się w tym duchu. Pogłaskała trawę, zamknęła oczy i poczuła na dłoni ciepłą, odprężoną świńską skórę.

– Halo? Halooo?

Zerwała się na nogi, zakręciło jej się w głowie.

– Już idę!

Dziadek stał na ganku, kurczowo trzymając się jednego ze słupków.

– Nie wiedziałem, gdzie jesteś. Tyle czasu upłynęło. Myślałem, że zamierzasz myć podłogę w kuchni.

– Właśnie teraz się zabieram. Wypiorę też ubrania. Ale może najpierw kawa.

– Byłaś przy skrzynce na listy?

– Nie.

– Wszystko jedno. Gazeta i tak nie przyjdzie. To się całkiem skończyło.

– Nie zapłaciłam rachunku – powiedziała.

Odwrócił się i wszedł do środka. Materiał z tyłu jego spodni leżał jak płaska blacha na chudych udach.

– Nie stać mnie już na to – powiedziała.

– O.

– **Naprawdę!**

- Może Erlend...
- Nie. W każdy piątek masz „Bondebladet”. A ja czasem kupuję „VG”. To musi wystarczyć. No i masz swoje książki. A teraz wstawię kawę.
Podpierając się o kłamki i ściany, pokuśtykał do salonu z telewizorem.
- Dlaczego nie usiądziesz na dworze? Przyniosę ci krzesło, a potem wezmę się do prania.
- Nie. Za dużo zamieszania.
- Potrzebujesz trochę słońca na twarz.
- Nie.
- Wyniosę teraz ten jeden fotel, a ty zabierz koc, żeby się okryć, w cieniu może być wciąż trochę chłodno.
- Nie.
- No chodź. Dostaniesz kawę przy ścianie drewnianej. I krakersy. Chcesz na nich żółty ser czy kozi?
- Kozi.

Turecki fotel ważył chyba z tonę. Postawiła go przy samej ścianie, ale i tak się bała, że się przewróci, bo stał na obrotowym trójnogu, a nie na zwykłych nogach. Obróciła trójnog tak, żeby wszystkie nogi były skierowane w przód, a potem znalazła w drewnianej cienką deskę, którą podłożyła pod spód. Do tego czasu dziadek już przyszedł, ale bez koca.

- A nie miałeś zabrać ze sobą koca?
- Jesteś taka zła.
- Przyniosę ci. Razem z kawą. Siadaj, stoi teraz mocno.

Kupiła czajnik elektryczny. Koniec gotowania kawy ze starych fusów. Antyczny aluminiowy rondel ze spalonym na węgiel spodem wyrzuciła za stodołę, tam gdzie zazwyczaj palono różne rzeczy, chociaż wiedziała, że się nie spali. Uradowała ją, że może go wyrzucić. A dziadek przyzwyczał się do kawy rozpuszczalnej, przestał już narzekać na jej smak. Gapiła się na ścianę, a szum w czajniku narastał, opuściła wzrok i oglądała kalendarz ze spółdzielni, z grubym zwitkiem starych gumek recepturek zawieszonych na gwoździu, na którym wisiał. Na zdjęciu widać było szereg młodych ludzi w białych szatach, z książkami psalmów w dłoniach, wychodzących z kościoła. Znalazła w szafce paczkę krakersów Kornmo, posmarowała grubo margaryną Brelett i na każdym położyła grubą warstwę koziego sera. Zamiast tacy wzięła obiadowy półmisek, chociaż kubek z kawą stał nieco pochylony. Na pewno będzie chciał parę kostek cukru. Powinna zrobić pranie. Bardzo chciała wyprać też absolutnie wszystko, co miał na sobie, będzie musiała spróbować dziś po południu. Ale on nie lubił, jak grzebała mu w szafkach, kiedy siedział w salonie i słuchał jej kroków na piętrze, i dokładnie wiedział, gdzie jest. Albo... może znajdzie czyste ubrania teraz, kiedy on siedzi na dworze, to niezła okazja. Spojrzała na niego przez nylonową zazdrostkę w kuchennym oknie. Stary człowiek z półotwartymi ustami wystawionymi na słońce, w tureckim fotelu obrotowym, stojącym przy poszarzałej ze starości drewnianej ścianie. Zęby w dolnej szczęce błyszcząły, wiedziała, że to iluzja. Były brudne, musiała pamiętać, żeby kupić tabletki musujące do czyszczenia protez. A przynajmniej zmienić wodę w szklance stojącej na jego nocnym stoliku.

Patrzył w jej stronę zmrużonymi, mokrymi oczami, kiedy przyszła ze stołkiem, półmiskiem i kocem. Stołek ładnie się komponował przy fotelu i zastąpił stół.

- Są podbiały – powiedziała, wskazując palcem.
- Tak – odpowiedział, ale nie spojrział.

Położyła koc na jego ramionach.

– Nie trzeba. Jest bardzo ciepło. Przyjemnie – powiedział.

– Sam widzisz!

– Dziękuję.

– To ja wracam do środka, jest trochę do zrobienia. Może włączę radio i otworzę okno w kuchni? Miałbyś jakąś rozrywkę? Po wiadomościach zaczyna się *Norgesglasset*⁴.

Słyszała włączone radio na piętrze. Muzyka. Wszelka muzyka jakby ją irytowała, prowokowała, bo już niczego z niej nie rozpoznawała jako swojego. Słodka muzyka. Muzyka o utraconej miłości. Muzyka o odzyskanej miłości. Klasyczna muzyka pełna tęsknoty, narodowy romantyzm. Muzyka taneczna dla zadowolonych z życia ludzi z poczuciem rytmu.

Wyniosła jego szklankę na sztuczną szczękę do łazienki i wylała zawartość, nie analizując jej dokładnie. Ale czuła zapach. Nie mogła przynieść nowej szklanki i postawić na miejsce starej, zauważyłby to, więc musiała wymyć tę. Nalała do środka cifa, jedyne go środka w płynie dostępnego tu na piętrze, i postawiła ją pośrodku odpływu jasnoniebieskiej, porcelanowej umywalki, napełniając ją po brzegi gorącą wodą. Potem wyjęła czyste skarpety, majtki i podkoszulek. Flanelowe koszule leżały tylko poskładane na półce, nie zostały wyprasowane ani powieszzone. Ale były tak stare i miękkie, że nigdy się nie mięły, poza tym używała płynu do płukania. Czystych, porządnych spodni nie znalazła, a te, co tu leżały, miały na obu kolanach dziury. Pamiętała, że kiedy prała je dwa tygodnie temu, miała przez długie godziny wyrzuty sumienia, bo włożyła je do szafy, zamiast zmierzyć talię i długość, a potem pojechać do miasta i kupić nowe. Weszła do starej sypialni ojca i tam w szafie znalazła spodnie. Położyła obie pary na podłodze i przymierzyła. W talii były takie same. Ojcowe były o co najmniej piętnaście centymetrów dłuższe, ale od czego była igła i nitka. W szafie ojca znalazła też ładny, robiony na drutach sweter, wyglądał na prawie nieużywany, powąchała go, ale wyczuła tylko zapach wełny i zamkniętej szafy.

Szorowała szklankę papierem toaletowym, płukała i płukała, a potem nalała czystej wody, odstawiła szklankę na miejsce i zniosła spodnie na dół. Resztę ubrań położyła na stołku w łazience. Musiało mu być trudno brać prysznic, zważywszy że musiał najpierw pokonać krawędź wanny. Dziwne, że wszystkie łazienki z lat siedemdziesiątych musiały mieć wannę. Znacznie prościej byłoby z kabiną prysznicową. Może ich wtedy jeszcze nie było. Na szczęście na dnie wanny leżała przeciwpoślizgowa mata. Powinna ją oderwać i umyć od spodu. Kiedyś to zrobi.

W pralni w piwnicy włączyła pralkę pełną ręczników. Pralka była prehistoryczna, z oddzielną wirówką. Na ścianie za nią wisiała darmowa kartka świąteczna z krajowego stowarzyszenia chorych na serce i płuca, z pismem skreślonym ręką Erlenda. Opisał na niej dokładnie, jak jej ojciec ma robić pranie z gotowaniem, jak prać kolorowe tkaniny, jak ustawić przełączniki, z rysunczkami i symbolami, i z temperaturą. Instrukcję napisał przed tym, jak musieli go zostawić samego po świętach, po pogrzebie babci. Ojciec musiał jej przestrzegać, bo kiedy przyjechała, nic nie było odbarwione ani skurczone. Za każdym razem, kiedy prał, choć nie było to zbyt często, musiał myśleć o Erlendzie. Pomyśleć, że Erlend napisał to, kiedy matka już była w ziemi, i że zaraz po tym odjechał.

– Też posiedzisz na dworze?

– Tak, mam trochę szycia. Chcesz jeszcze kawy?

⁴ *Norgesglasset* – popularny norweski magazyn radiowy w formie reportaży przeplatanych muzyką.

– Nie. Już wystarczy. Możesz ściszyć.

W radiu mówili o feromonach, o tym, jak mężczyzna i kobieta przyciągają się wzajemnie zapachami, których nie da się wyczuć, ale które analizuje podświadomość i ocenia, i o tym, że feromony nastawiają całe ciało na seksualne podniecenie.

Wsunęła od zewnątrz rękę pod zazdrostkę i ściszyła, wróciła na krzesło ze stalowych rurek, które przyniosła sobie wcześniej z kuchni, jedna z nóg wbiła się w ziemię, więc siedziała trochę krzywo. Nawlekła nitkę i zawiązała podwójnie. Sikorki i wróble kłóciły się głośno wokół karmnika, przybitego do pnia drzewa na podwórzu. Powinna chyba wkrótce przestać je karmić, żeby się nie rozbestwiły. Główną drogą, przy końcu alei, przejechała ciężarówka, zmieniając bieg. W chlewie było całkiem cicho. Mimo to pod wpływem nagłego impulsu podniosła się, położyła spodem na ziemi, wzięła z drewni kolejną deseczkę i poszła do chlewu. Otworzyła na oścież drzwi i zablokowała je deską, umywalnia i cały chlew były teraz otwarte na świat. Ta zmiana wywołała oczywiście w boksach natychmiastowy niepokój i oczekiwanie, chrupkanie i głośne pofukiwanie, jednak nie weszła do środka, pozwoliła tylko, żeby wszystkie drzwi pozostały szeroko otwarte, i wróciła na krzesło.

– Mają się przewietrzyć?

– Tak.

– Nigdy ich nie widziałem.

– No nie – powiedziała i zaczęła szyć, właściwą długość odznaczyła sobie paznokciem na założonym materiale.

– One są wielkie. Może nie maluchy. Ale maciory. Możesz ze mną pójść pewnego dnia. Jeśli chcesz, może wejść teraz.

– Nie trzeba. Trochę tam śmierdzi.

– Dlatego wietrzę. Ale na szczęście smród z nawożenia już się skończył. I młyn już obsiał swoje.

Poczęstował się ostatnim krakersem. Kozi ser zrobił się lśniący i ciemny.

– Na pewno nie chcesz więcej kawy?

– Jutro siedemnasty maja⁵ – powiedział.

– Tak, zgadza się. Dni tutaj niewiele się od siebie różnią.

– Siedemnasty maja to wielki dzień. Pamiętam pierwsze święto po wojnie.

Spojrzała na niego. Zamknął oświetlone słońcem oczy, zmarszczki pod nimi były wilgotne, ale to na pewno przez ostre światło.

– Czy wy... świętowaliście ten dzień? Chcesz, żebym cię gdzieś zawiozła? Żebyś obejrzał pochód i tak dalej?

– Dziecięcy pochód na pewno będzie przechodził koło nowego domu opieki w Bråmyra.

– Nic o tym nie wiem. Mogę spytać w spółdzielni, pogadać z Britt na kasie.

– Ja tam nie mieszkam.

– To dlaczego o tym mówisz?

Nie odpowiedział.

– Ale **chcesz?** Przejechać się i zobaczyć dziecięcy pochód?

– Nie. W telewizji przez cały dzień będzie wiele pochodów. Ale flagę trzeba wywiesić. Anna bardzo tego pilnowała. Ona też lubiła dzień siedemnastego maja.

Pierwszy raz słyszała, jak mówi o babci od czasu jej śmierci. Torunn udała, że nie słyszała, i pochyliła się mocno nad krawędzią spodni, szwy robiła równe i mocne.

– Anna bardzo interesowała się wojną. Tak było.

⁵ Tego dnia przypada norweskie święto narodowe.

- Dla ciebie też to jest ważne – powiedziała.
- Tak. Albert Speer chciał tu zbudować miasto.
- Opowiadałeś o tym w Boże Narodzenie. Neu-Drontheim z lotniskiem i autostradą?
- Tak.
- Całkiem zwariowany pomysł.
- Tak. I kogel-mogel – powiedział.
- Co takiego? – wpatrzyła się w niego. Czyżby zaczynało mu się mieszać?
- Kogel-mogel po obiedzie siedemnastego maja. Zawsze. Z esencją rumową.
- Wielkie nieba! Rozumiem, że naprawdę waliliście w wielki bęben!

Otworzył oczy i spojrzął na nią zmarszczony.

– Nie chciałam być złośliwa – powiedziała. – Mamy mnóstwo jajek. No i pewnie esencję rumową też. Jasne, że zrobię kogel-mogel na deser.

Znów oparł głowę na deskach ściany, wyraźnie uspokojony, ulżyło mu, że to powiedział.

– Podkładałam ci teraz spodnie. To stare spodnie Tora, ale trochę za długie. Znalazłam też dobry sweter, który możesz po nim przejąć.

Czekała, aż zaprotestuje, ale nie powiedział ani słowa.

– Musisz też się wykąpać. Ubrania leżą w łazience na górze, brakuje tylko tych spodni.

– Byłaś u mnie w pokoju?

– Tak.

Na to też nie odpowiedział. Pierwszy raz tak siedzieli na dworze, ona i on. Dziadek, który tak naprawdę był jej starym wujkiem. Nie miała nic do stracenia, ale i tak poczuła, jak serce przyspiesza, kiedy spytała: – Czy ona nigdy się nie dowiedziała, twoja matka... O tym, że Anna i twój ojciec... Że oni... byli kochankami? Mieli dzieci?

– Nie.

– Nie rozumiem, jak to możliwe.

– Nie.

Obejrzała uważnie jego twarz. Była zamknięta, bez żadnej mimiki.

– Czy było ci bardzo przykro? Że sam nie mogłeś...

– Nie.

Dokładnie zamocowała nitkę i powiedziała: – I urodziło się trzech fajnych chłopców. Kochałeś ich przecież?

Po chwili milczenia odezwał się: – Biegali tu wokół.

– O, na pewno. I nazywali cię tatą.

– Tak.

– Jeśli pójdziesz teraz pod prysznic, przyniosę ci spodnie.

Wyprostował się. – Mam brać prysznic, teraz? W środku dnia?

– Tak. Wezmę wtedy twoje ubrania do prania, żeby nie zostać z nimi na wieczór. Chyba nie chcesz, żebym robiła pranie siedemnastego maja?

– Nic wtedy nie może wisieć na dworze. Ale flaga...

– Leży w skrzyni w korytarzu, jak zawsze. Ale nie mam pojęcia, jak się ją wieszka. Krumme się tym zajął na pogrzebie Anny, i mojego ojca też.

– Zrozumiesz, jak już będziesz tam stała. I nie może dotykać ziemi.

– Co to znaczy?

– Flaga nie może dotykać ziemi! – rzekł poirytowany.

– Dlaczego nie? Jest taka wielka. Jak ja mam tam stać i kombinować, to może się przecież zdarzyć, że dotknie.

– Nie wolno! Jak tak, to Margido musi rano przyjechać i to zrobić!

- Ależ Boże święty.
- Zadzwoń do niego!
- No nie, dałbyś spokój.

Podniósł się, stał, lekko się kołysząc, nigdy nie widziała go takiego ożywionego, puściła spodnie na ziemię i wstała, chwyciła go za ramię.

- Co się z tobą dzieje?
- Zadzwoń do Margida.
- Dobrze, już dobrze! Już dzwonię! Siadaj!

Od czasu, jak ostatnio sprawdzała komórkę, przysły dwa SMS-y od Erlenda. Płody utraciły już ogony i niedługo będą widzieć i słyszeć, wszystko było super, a czy miała zamiar pójść jutro na pochód siedemnastego maja? Zakończył hurra, hurra z okazji jutra i całusami oraz uściskami od Krumme. Wstukała krótką odpowiedź o tym, że mają wywiesić flagę i jeść kogel-mogel, ale poza tym nie planują innych atrakcji, dorzuciła hurra i uśmiezek, żeby wpasować się w jego radosny ton. Potem zadzwoniła do Margida.

– Dziadek jest strasznie podniecony sprawą flagi, którą trzeba wywiesić na jutro, wiesz coś o tym?

Usłyszała, że musiała za długo mieszkać w dużym mieście, w którym na flagi są tylko uchwyty ścienne, to poważna sprawa. Złagodził nieco krytykę, śmiejąc się troszkę. Chodziło o szacunek dla flagi i ojczyzny, sprawa była niezwykle istotna. Poza tym w Byneset wspomnienia o wojnie wciąż były żywe, więc nie było tu miejsca na lekceważenie.

- On chce, żebyś przyjechał i ją zawiesił. Nie wierzy, że ja sobie sama poradzę.
- Margido zgodził się. Mogą ją powiesić razem, chętnie jej pokaże, jak to się robi.
- Okej. Wielkie dzięki. Teraz mogę opanować tę histerię.
- Tak źle chyba nie jest, odpowiedział.
- Owszem. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby **czymkolwiek** był tak poruszony.

Dziadek kilka razy, wolno i z namaszczeniem, skinął głową, kiedy opowiadała mu, że Margido przyjedzie.

- Margido to rozumie – powiedział.
- Możesz już pójść pod prysznic, jak sądzisz? A co z paznokciami u nóg, jak dawno je obcinałaś?

Znów zrobił się mały, widziała żal płonący w jego oczach, kiedy skurczył się w tureckim fotelu, a jednak dobrze jej zrobiło przykre uczucie zupełnie innego rodzaju niż to, do którego się przyzwyczaiła.

- Anna je obcinała – wyszeptał.
- Co? W sumie przecież żartowałam!
- Anna obcinała. Włosy i paznokcie.
- Chcesz powiedzieć, że...

Spojrzała w dół na jego kaptcie, w jednym była dziura. Wyobraziła sobie długie, żółte, brudne pazury, tego nie da rady zrobić. Jednocześnie wiedziała, że nie może też o to poprosić Kaja Rogera. Może Margido... Nie, wieszanie flagi wystarczy, wyszłaby na zupełnie bezradną. Dziesięć paznokci, tyle przecież powinna dać radę.

- I teraz są długie? – spytała.
- Tak. Bardzo. Boli przy chodzeniu.

Wzięła głęboki oddech i pomyślała chwilę, zanim odpowiedziała: – To po prysznicu zejdziesz tu do kuchni bez skarpet, przygotuję ci wodę do stóp w balii. Obetniemy je, jak trochę zmiękną.

– Dokładnie tak samo robiła Anna.

Podłożyła drugą nogawkę spodni, słuchając, jak leci woda z prysznicą na piętrze. Krzesła i stół zostały już wniesione, okno zamknięte. Wieczorem szybko robiło się chłodno, kiedy słońce przesuwało się i podwórze znajdowało się w cieniu. Próbowala jak najmniej myśleć, robić tylko to co trzeba, tak jak świnie. Świnie!

Odrzuciła od siebie spodnie, chociaż zostało już tylko kilka ruchów igłą, przebiegła przez podwórze i zamknęła drzwi. Na szczęście nie miała już nowo narodzonych prosiaków, w pomieszczeniu gospodarczym było teraz chłodno. W kuchni dokończyła szycie, pod zlewem znalazła balię, którą napełniła ciepłą wodą z mydłem. Zaraz potem dziadek zszedł ze schodów z parą czystych skarpetek w ręce. Nieliczne kosmyki włosów leżały przygładzone na czubku głowy. Nie ogolił się.

Odwrócił jedno z rurkowych krzeseł w pomieszczeniu i usiadł, a ona postawiła przed nim balię, powoli wyjął stopy z kapci. Paznokcie były żółte i długie, zakrzywione jak szerokie szpony, ciemniejsze wzdłuż krawędzi, pokryte białymi grzybiczymi plamkami, wyglądały znacznie gorzej, niż sobie wyobrażała. Tak wygląda praca w domu starców, pomyślała sobie, i to za psie pieniądze.

Włożył stopy do balii i spojrzał na nią. Zobaczyła w jego wzroku coś w rodzaju przeprosin, prośby. Uśmiechnęła się do niego.

– Będzie dobrze. Widzę, że zwykły obcinacz tu nie wystarczy, trzeba użyć nożyczek.

– Anna używała nożyc kuchennych. Tych dużych. Najlepiej tą.

Nożyce kuchenne. Którymi otwierała zapakowane jedzenie. A nawet kroić bekon. Oczywiście były myte, ale mimo wszystko. I to nie w zmywarce tylko ręcznie, w letniej wodzie. Musi kupić nowe nożyce do kuchni, tak żeby nie zauważył. A na razie trzeba zacisnąć zęby i jakoś przez to przejść.

– Tymczasem wyskoczę sobie zapalić. Musisz się trochę pomoczyć w ciepłej wodzie.

Musiła się usadowić nad nim, pupa przy jego piersiach, żeby dobrze chwycić. Odchylił się tak daleko na krześle, ile się dało, chwycił mocno blat stołu. Ze wszystkich sił przyłożyła się do obu największych paznokci, a i tak ledwie przebiła się przez zrogowaciałą masę, myślała o małej resztki koniaku w pokoju na górze, wyobrażała go sobie w kieliszku, ten złoty kolor, czuła jego smak w ustach. Z każdej strony obu paznokci musiała po kawałku odcinać, żeby stworzyć jakiś kształt, a mimo to miały zadziory, od razu porwałyby skarpetki. On najwyraźniej zrozumiał, o czym myśli, bo powiedział: – Na koniec używała pilnika. Jest w drewni.

– Sprytnie – pochwaliła i opuściła go, nie wahała swoich rąk, tylko skierowała nogi mechanicznie do drewni i znalazła najdrobniejszy pilnik.

– Właśnie ten – potwierdził, kiedy wróciła. – Ten z czerwoną rączką.

Piłowała tak, że pilnik zrobił się żółtobiały od pyłu, i na koniec siedział już z paznokciami normalnej długości, choć przebarwionymi i pofałdowanymi.

– Pomogę ci ze skarpetkami – powiedziała szybko.

– Dziękuję – odparł.

– No i poszło pięknie! – rzekła wesoło i wylała wodę do zlewu. Kilkomina warstwami wilgotnego papieru z rolki pozbierała odcięte kawałki, nadal nie wymiotując. Jeden kawałek odleciał aż pod ścianę pod grzejnik, ale włożyła sporo wysiłku w to, żeby go wyjąć. Gdyby go zostawiła, pokręconego i żółtawego, zawsze przy tym stole miałyby takie nudności, że nie mogłaby przełknąć nawet kęsa jedzenia.

– Niedługo chyba obiad – powiedział.

- Tak. Kotlety mielone z groszkiem. Wstawię ziemniaki. Zabrałeś na dół brudne ubrania?
- Leżą w łazience.
- Usiądź sobie wobec tego w salonie i poczytaj. Do obiadu.

Kiedy znalazł się poza polem widzenia, wyszorowała dłonie płynem do naczyń i wodą tak gorącą, że aż jęczała. Najbardziej chciałaby je wygotować. Zrobiła to przynajmniej z nożycami. Zagotowała wodę w garnku i wrzuciła je do niego na czas obierania tych czterech ziemniaków, których potrzebowali. Potem napełniła wiadro wodą z mydłem i wyszorowała podłogę, a brudną wodę zabrała na zewnątrz i wylała na chodniczek. Nie był czysty. Zwinęła go, postawiła w wiadrze i wniosła do łazienki. Leżały tam na stosie jego ubrania. Majtki zwinął w rulon. Nie musiał się martwić, zupełnie nie miała ochoty ich oglądać. Oderwała przeciwpoślizgową matę z dna wanny i popatrzyła na zielonożółty wzorek na jasnoniebieskiej emalii, kółka z resztek mydła wokół przysawek maty. Połała cifem, przeszorowała, spłukała wannę, włożyła korek i nalała wody, a potem włożyła chodnik. Może tam leżeć i moczyć się, aż weźmie prysznic po chlewie.

Stała, opierając się obiema rękami o krawędź wanny, i obserwowała banieczki powietrza, unoszące się z plastikowej tkaniny, kiedy ta układała się na dnie wanny. Mogłaby tak stać całą godzinę i podziwiać równy, symetryczny wzór, taka była zmęczona. Ale obiecała mu mielone z groszkiem. Chciała, żeby godziny mijały jak najszybciej, żeby przyszedł Kaj Roger, załatwił chlew, będzie mogła się położyć, zniknąć.

Kiedy kucnęła, mały szczeniak w wielkim pędzie skoczył na nią.

- Jest cudny, Kaj – powiedziała. – I taki ufny.

Dotknął jej dłoni, ale to mu nie wystarczyło, chciał od razu ruszyć do lizania po twarzy. Jego oddech pachniał szczeniakiem i nagle poczuła olbrzymią tęsknotę za swoim starym życiem. Gryzł ją w nos, we włosy i ucho, jak to szczeniak, przejęty i wesoły, ale zrzuciła go z siebie i wstała. Piesek wbiegł przez otwarte drzwi i znikł.

- Nie ma sprawy. Nie da się tam wiele zniszczyć. No to gratulacje!

Stał dumny i wyprostowany, przechylony plecami w sposób, którego jeszcze chyba nie widziała, uśmiechał się, patrząc jej prosto w oczy.

- Od razu cię pokochał – powiedział. – No i nic dziwnego.

– Szczeniaki zwykle ufnie podchodzą do obcych, jeśli jeszcze nie przeżyły niczego okropnego, przez co mogłyby się bać – odrzekła.

- To samo można chyba powiedzieć o ludziach – rzekł cicho.

Odwróciła wzrok. Jego spojrzenie było zbyt silne i niebezpieczne, zwłaszcza teraz, kiedy przez moment przypomniała sobie, jak to jest być w innym życiu. Mógłby przyjść do niej na kurs tresury, od razu zwróciłaby na niego uwagę, na jego spokój i dobroć. I na całe to poczucie bezpieczeństwa, które sygnalizował swoim ciałem, bezpieczeństwa, w którym można by wypoczywać, kochać się, gdyby się było do tego zdolną, gdyby się miało na to siłę, gdyby akceptowało się siebie samą na tyle, by tego chcieć.

Podszedł do niej blisko, objął ją ramionami, stało się to w sekundę, przycisnęła ramiona do jego piersi, przycisnęła policzek do jego policzka, szybko i rytualnie, zanim spróbowała go odepchnąć. Pocałował ją w szyję. Przytrzymał. Był od niej silniejszy. I ładnie pachniał, zdecydowanie za ładnie.

- Puść mnie.

Puścił ją, cofnęła się o kilka kroków, zobaczyła, że poczerwieniał na twarzy.

- Pomyślałem, że może...

- Lepiej tak nie myśl – powiedziała.

– Chyba potrzebujesz... więcej czasu – odrzekł; czy nie rozumiał, że czas to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała. Czasu miała więcej niż dość, właśnie to było problemem, cały ten cholerny czas, który tylko snuł się wokół wszystkich codziennych czynności, nocnych myśli, wszystkiego, co chciałyby robić inaczej, gdyby mogła.

– Tak – odpowiedziała jednak. Wiedziała, że w ten sposób daje mu nadzieję, czuła się z tym okropnie i fałszywie. – To wspaniały szczeniak.

– Tak, w końcu udało mi się go przywieźć. Zwariowany maluch – powiedział ze sztucznym entuzjazmem i już na nią nie patrzył. – I taki spokojny. Wziąłem go przed południem i już się czuje ze mną bezpiecznie. Przychodzi na wołanie i... No tak, hodowcy przez ostatnie tygodnie wołali go po imieniu. Położyłem jego koszyk na siedzeniu pasażera, zwinął się tam w drodze tutaj i zasnął. Dostał jeść przed wyjazdem, więc teraz plan jest taki, że będzie spał w koszyku w samochodzie, kiedy my obrządzamy chlew...

Nie zdążyła jeszcze odpowiedzieć na potok jego słów, którym próbował przykryć całą sytuację, kiedy ze środka dobiegł rumor, wbiegli tam. Szczeniak mocno chwycił róg obrusa zwisającego ze stołu w salonie, wszystko leżało teraz na podłodze. Książki i szkło powiększające, doniczka, gazety, dwa małe świeczniki i magazyn „Se og Hør”, otwarty na programie telewizyjnym sprzed trzech tygodni. Zanim wbiegli, mały już pędził z obrusem do kuchni, ale że sam ciągle na niego nadeptywał, szło to opornie.

– O mój Boże, przepraszam – powiedział Kaj Roger.

Dziadek tylko się śmiał. Przecież nie on to będzie sprzątał. Śmiał się tak, jak jeszcze nigdy nie słyszała.

– W życiu czegoś takiego nie widziałem! – zawołał i śmiał się dalej. – Tylko wbiegł i CIACH! Prosto do obrusa! Ten chłopak ma chwyt! A czyj to pies?

– Kaja Rogera – odpowiedziała szybko Torunn.

Zebrale to, co leżało na podłodze. Szczeniak prowadził dziką wojnę z obrusem i nie wiadomo było, kto wygra. Doniczka spadła dnem na dół i nic się jej nie stało.

– Znajdę później nowy obrus – powiedziała.

Kajowi Rogerowi udało się wyrwać materiał z małych szczęk i wyniósł szczeniaka. Ten natychmiast się uspokoił, wszystko zostało zapomniane, siedział teraz wysoko na ramieniu Kaja Rogera, z oczami jak ciemnobrązowe, szklane kulki.

– Czas na twoją wieczorną drzemkę – powiedział Kaj Roger. – Czekają na mnie inne zwierzęta, sam rozumiesz.

Popatrzyła na jego plecy. Na nogi, które odchodziły od niej, kierując się do samochodu, szczeniaka, którego tulił do siebie mocno i opiekuńczo, przemawiając miłośnie do miękkiego futerka.

W chlewie powiedział, trzymając ręce wzdłuż boków: – Mamy pięć macior, które mają być w rui.

Ich spojrzenia nie spotkały się.

– I trzeba je inseminować – dodał.

– Ach tak.

Na szczęście stali znów w roboczych ubraniach i skupiali się na czymś innym.

– Trzeba – powtórzył. – To świetne maciory, dają dobre mioty.

– Nie wiem...

Zaczęła czyścić boks ze świeżo odstawionym miotem, maluchy były namolne i ciekawskie, biegały za jej nogami.

– Nie chcę marudzić, Torunn, wiesz o tym. Zapłodnienie tej piątki to i tak tylko rozrywka. Nie możesz tak ciągnąć tego dalej. Musisz albo zlikwidować gospodarstwo, albo robić to porządnie.

Słyszała w jego głosie, że on też wolał mówić o czymś innym, wymazać tę chwilę na podwórzu. Ale mógł przecież w takiej sytuacji gadać o pogodzie albo o czymś, co widział w telewizji. Po co zaczynać te tematy akurat teraz.

– Zlikwidować gospodarstwo? Znaczy, masz na myśli, żeby oddać świnię do rzeźni – powiedziała.

– Sprzedać je – rzekł. – Przynajmniej maluchy. Wyprzedać, aż zrobi się pusto.

– Odebrałam życie mojemu ojcu. Nie mogę więc odebrać go jeszcze jego świniom.

– Nie odebrałaś mu życia. Sam to zrobił.

– Bo myślał, że nigdy nie przejmę gospodarstwa.

– Na pewno rozumiał, że to wszystko poszło trochę za szybko jak dla ciebie.

– Ale ja nie chciałam. A może... sama nie wiem. Ale nie rozumiałam, dlaczego nagle zaczęło mu się tak spieszyć z tą decyzją.

– A teraz chcesz? Przejąć gospodarstwo?

– A mam jakiś wybór?

– Owszem, masz.

– Nie. Kurwa, nie mam. I nie pozabijam jego macior. Nawet Siri. Zwłaszcza Siri. Chociaż ona...

– To drapieżniki. Robią to, co im natura każe.

– **Widziałam** to.

Nie może teraz zacząć płakać. Nie może. Wtedy znów by podszedł i ją objął. Podniosła prosiaka i oglądała jego tylną nogę. Była brudna i ładna, wyglądała dokładnie tak, jak powinna, żadnej rany.

– Posłuchaj, Torunn. Mogę dalej pomagać ci w chlewie. Ale musisz się na coś zdecydować. Nie da się żyć z tych kilku rzeźnych świń rocznie i nie da się tak prowadzić gospodarstwa. Sigurd z Flatum ma dziewięćdziesiąt osiem macior i tam też nie ma zmiłuj.

– Nie mam siły na decydowanie. Jeszcze nie. Chcę tylko spać. Spać i przestać myśleć. Żeby wszystko było jak dawniej.

– Ale może zaczniemy z tymi pięcioma maciorami... Reszta to... strata czasu, że tak powiem.

Zbliżył się do niej, wpuściła prosiaka do boksu i przeszła do świeżo odstawionego miotu Siri, odwrócona plecami do niego.

– Znalazłam w jego biurze kartkę – powiedziała. – Było na niej imię Siri, dwa razy podkreślone. I imiona Doiły i Diana.

– Hodowla na poziomie hobby – powiedział i roześmiał się.

– Nie musisz z niego drwić, kiedy już nie żyje.

– Ale, Torunn... Nie chciałem... Ale to znaczy, że on to zaplanował, że dwie po Siri mają być rozplodowe. Wyczucie przynajmniej miał dobre, bo Siri to maciora pierwsza klasa.

– Nie czuję się najlepiej – powiedziała. – Zrobiłbyś resztę sam? Zobaczmy się jutro rano.

– Torunn... Nie chciałem naciskać. Chcę tylko, żebyś zrozumiała, że...

Nie odwróciła się do niego, tylko mocno trzymała się stalowych prętów wokół boksu i wciąż potrząsała głową.

– Torunn... – szepnęła. – Musisz zrozumieć, że jesteś mi bliska i chcę tylko, żeby ci było tu dobrze...

Teraz poczuła, że łzy zaczęły jej kapać. Wskoczyła z chlewu, żeby ich nie zobaczył. Nie pobięł za nią. W pomieszczeniu gospodarczym zdarła z siebie kombinezon, a potem spieszenie przecięła podwórze i poszła na górę do łazienki.

Gdyby tylko mogła jakimiś czarami odsunąć od siebie odpowiedzialność, bez żadnych konsekwencji. Stojąc tam między zwierzętami, wplątywała się już w przyszłość. Pięć nowych macior w rui. Jej macior. Pięć nowych miotów, wymagających jej uwagi. Ona i Kaj Roger już odchowali cztery mioty od śmierci ojca, odchowali do odstawienia od matek i stracili łącznie tylko trzy sztuki. Pracowali ramię w ramię. A on myślał, że razem wychowają też jego szczeniaka, tak jakby był on wspólnym dzieckiem. **Musisz zrozumieć, że jesteś** mi bliska... Miała trzydzieści siedem lat. Jeśli ma kiedyś zostać matką, to trochę się zaczyna z tym spieszyć. Własne dziecko. Dziecko, którego ona będzie matką, czy to w ogóle można sobie wyobrazić? Mieć mleko w piersiach i karmić nim, patrzeć na dziecko i wiedzieć, że jest jej, że wyszło z jej ciała, równie śliskie i zakrwawione jak prosiaczek, obdarzone jej miłością. Ona, która już nic nie wiedziała i nie rozumiała, której udziałem były tylko rutynowe czynności i odpowiedzialność. Z trudem orientowała się, jaki jest dzień, przed nią było jutro, do którego nie miała żadnego stosunku, poza świadomością, co trzeba będzie zrobić.

Wlała resztkę koniaku do kieliszka, który stał na parapecie, zapaliła papierosa, otworzyła szeroko okno i podziwiała fiord, leżał tam gładki jak ołów. Przez ujście fiordu napływało nieco wieczornej mgły. Dziadek szedł na górę, żeby się położyć. Z łazienki słyszała krople skapujące z dywanika, którego nie chciało jej się wynosić i wieszac na dworze, ułożyła go tylko w zwoju w poprzek wanny, używając kija od szczotki jako podpórki. Stała na tym chodniku i myślała, bo zapomniała, że tam jest. **Jest mu bliska.** Ona też w pewien sposób tak czuła, ale cóż to pomaga, jaką przyszłość to mogło mieć. Kaj Roger nigdy nie usunie przyczyny tego, że wciąż tu jest, że musi tu być. Nigdy nie naprawi tego, co ona zrobiła własnemu ojcu.

Pewnego dnia będzie musiała porządnie przejrzeć całe jego biuro. Istniały jakieś granice tego, ile czasu wszyscy zechcą jej dać. Dotyczyło to w takim samym stopniu młyna, weterynarza i rzeźni. Leżały tam nieotwarte koperty z rachunkami, czy będzie musiała sprzedać swoją część kliniki weterynaryjnej w Oslo, żeby je spłacić, dojść do jakiejś finansowej równowagi? Czy może trzeba będzie wziąć kredyt pod zastaw gospodarstwa? No i skłamała matce. Jednak miała dwa doniczkowe kwiaty. Ale teraz były już martwe i nie ma co się nimi przejmować. Margrete z naprzeciwka miała klucz i wzięłaby je do siebie, gdyby Torunn o to poprosiła. Ale nie poprosiła. Po śmierci ojca nie oddzwoniła do Margrete po żadnej z wielu pilnych wiadomości zostawionych na sekretarce. Ile może dostać za stare volvo ojca, stojące w stodole? Pięć tysięcy? Może od kolekcjonera. Powinna zadzwonić i dać ogłoszenie do „Adresseavisen”.

– Zdrówko – szepnęła sama do siebie, opróżniła kieliszek i mocno natarła sobie policzki. Rano będzie udawać, że nic się nie stało. Będzie musiała wziąć się w garść i miała nadzieję, że jemu też się to uda, bo inaczej będzie musiała mu powiedzieć, że dalej poradzi sobie już sama.



ROZDZIAŁ 5

Leonard Kolbjørnsen zapił się na śmierć w nocy dwudziestego trzeciego maja, a teraz w dość opłakanym stanie leżał nagi na stole pomiędzy Margidem a panią Gabrielsen. Był jednym z mieszkańców Fundacji Petry⁶, instytucji prowadzącej dom dla najbardziej uzależnionych osób płci męskiej w tym mieście. Udało mu się dożyć wieku czterdziestu trzech lat – co stanowiło duże osiągnięcie, zważywszy, ile jego ciało przyjmowało codziennie alkoholu, denaturatu oraz różnych pigułek. Teraz jednak nadszedł czas ostatniej posługi. Pogrzebowa koszula leżała w gotowości.

– Proszę spojrzeć na te ręce – powiedziała pani Gabrielsen. – Biedny człowiek.

Palce miał pożółkłe od nikotyny, pokryte drobnymi rankami i starymi odmrożeniami, spuchnięte i pogrubione. Margido namydlił własne dłonie, a potem wtarł dokładnie pianę w ręce zmarłego, następnie naciągnął na nie jednorazowe rękawiczki. Po dziesięciu minutach w szczelnym plastiku będzie łatwiej wyszorować je szczoteczką do czysta.

Oboje mieli na sobie fartuchy, maseczki na usta oraz rękawice, robili to już wcześniej wielokrotnie. Współpracowali świadomie i konkretnie. Pani Gabrielsen używała dużej myjki, absolutnie całe ciało musiało zostać umyte, broda choć trochę przycięta, włosy zaczesane. Margido zamierzał również użyć nieco korektora na brzydką ranę, jaką mężczyzna miał w jednym kąciku ust, a także posmarować wargi kremem, były spękane i stanowiły nieładny widok. Twarz i ręce, to było najważniejsze. Reszta ciała miała być tylko czysta, uszczelniona oraz odziana w biel.

– Czy to prawda, co powiedziała pani Marstad? Że rodzina odmówiła innym mieszkańcom domu Fundacji Petry prawa przyjscia do kościoła? – zapytała pani Gabrielsen.

– To chyba prawda.

– Chyba nie można nikomu odmówić prawa przyjscia na pogrzeb.

– Ta rodzina tym się nie przejmuje. A kiedy Mork dostał tę wiadomość, nie chciał wykorzystywać mieszkańców jako czegoś w rodzaju argumentu *w...* walce o władzę. W takiej sytuacji postanowił trzymać gębę na kłódkę i spełnić życzenia rodziny.

– To straszny wstyd – rzekła pani Gabrielsen – chodzi mi o to, żeby rodzina tak się zachowywała. Ale Mork podjął chyba mądrą decyzję.

⁶ Petra Flander – ciężko chora na raka dziewczyna, która założyła w 2002 roku w Finlandii fundację, mającą na celu wszechstronną (intelektualną, materialną i duchową) pomoc osobom nieuleczalnie chorym.

Dyrektor Fundacji Petry, Ivar Mork, zajrzał do biura już w kilka godzin po tym, jak otrzymali zlecenie na pogrzeb Kolbjørnsena. Margido znał go, już wcześniej wykonywał dla niego tego typu usługi.

– To ja poleciłem pana biuro rodzinie Leo – rzekł Mork.

– Wielkie dzięki – odpowiedział Margido, nie do końca pewien, co miałyby na to innego odpowiedzieć. Już teraz był świadom, że wolałyby nie dostać tego zlecenia i nie miało to nic wspólnego ze stanem ciała zmarłego.

– Rodzina już zapewne opowiedziała panu, jaki chcą mieć pogrzeb. Kto ma przyjść, a kto nie jest mile widziany.

– Tak, to prawda – odparł Margido, nalewając mu bez pytania kawę z termosu w pokoju przyjęć.

– To wobec tego nasi mieszkańcy muszą pożegnać się z nim w szpitalnej kaplicy – powiedział Mork, chwytając kubek. – I właśnie w tej sprawie przychodzę – kontynuował. – Chodzi o ustalenie godziny. Proponuję około pierwszej. Wtedy już będą na tyle odurzeni, że dadzą radę, a jednocześnie nie na tyle, żeby całkiem odlecieć.

– Oczywiście, że zrobię dla nich okazanie zwłok w kaplicy. A może chcieliby mieć całe nabożeństwo, jak pan sądzi?

– Nie, absolutnie nie. Wystarczy, jeśli przeczyta pan prosty fragment z Pisma, na pewno nie będą chcieli zostać tam zbyt długo. Może to i dobrze, że rodzina nie życzy sobie ich obecności w kościele. Oni nie chcą siedzieć w sztywnych, kościelnych ławkach i słuchać szmatławych kazań. Już dawno mają ten etap za sobą. Przepraszam, jeśli to brzmi nieco brutalnie, nie wiem, czy pan osobiście jest wierzący, ale tak to po prostu wygląda. W tej pracy też nie chce się już słuchać szmatławych kazań.

– Wszystko w porządku. Rozumiem. Zorganizuję okazanie zwłok na pierwszą i przeczytam prosty tekst, tak będzie najlepiej. Rodzina nic o nim szczególnego nie opowiedziała, wybrali tylko trumnę oraz psalmy i powiedzieli, że ma zostać spopieleny bez żadnych ceregieli, a urna zostanie wstawiona do grobu rodzinnego. Co to był właściwie za człowiek? W tym wcześniejszym życiu, że tak powiem?

– Zaledwie w dwa tygodnie po tym, jak zdobył wykształcenie nauczycielskie, dał uczniowi porządne cięgi. Stracił pracę i po pewnym czasie przestał panować również nad resztą żyda. Zanim przybył do Trondheim, przez wiele lat mieszkał na ulicy w Oslo, aż w końcu trafił do nas. Nigdy nie sprawiał żadnych kłopotów. Co wieczór upijał się jak Świnia, a łagodny był jak baranek, tak go określałem. Większość z nich jest taka. Pochodził z dobrej rodziny. Na pewno zauważył to pan przy okazji ich wizyty.

– Tak. Wszystko odbywało się w eleganckim, miastowym języku. Zdaje się, że nie miał z nimi zbyt wiele kontaktów – rzekł Margido.

W zasadzie i on, i Mork mieli obowiązek dochowania tajemnicy, również wobec siebie nawzajem. Żaden z nich o tym nie wspomniał, czasami wzgląd na zmarłego stanowił większe zobowiązanie, niekiedy on właśnie wymagał więcej szacunku niż osierocona rodzina.

– Wie pan, fasada – powiedział Mork. – Nie widzieli go przez jakieś dwadzieścia lat, a wiedzieli, jak żył. Niemniej jednak pogrzeb ma się odbyć w najlepszym mieszczańskim stylu. Leo czasem o nich opowiadał, około piątej nad ranem, *drinking man's hour*, członkowie jego rodziny to były jedyne osoby, o których w ogóle pozwalał sobie coś negatywnego powiedzieć.

– A więc nikt od was nie przyjdzie?

Margido podsunął półmisek z herbatnikami Maryland Cookies w stronę Morka, sam nie biorąc niczego. Ale kawę popijał, jakby to była woda, i właśnie nalał sobie kolejną kubek.

– Ależ tak. Ci, którzy wyglądają jak zwykli, trzeźwi ludzie mogą się zjawić. Ja, pomoce kuchenne, stróż, pracownicy środowiskowi i tego typu osoby. Nam nie zakazano przyjscia. Mogą udawać, że jesteśmy zwykłymi znajomymi, kiedy stare ciotki i wujowie z za zasłony perfum i wody po goleniu będą dobrze odgrywać smutek. Kurwa. Mam tylko nadzieję, że pojawi się ktoś ze środowiska Leo, kto u nas nie mieszka. Ale raczej nie ma zbyt wielu takich osób.

Margido skinął głową. – A więc nie chce pan nic powiedzieć. Znaczący, na pogrzebie.

– Nie pozwolą mi na to. Nawet nie pytałem.

– Czy przyjedzie pan z mieszkańcami domu na okazanie zwłok w kaplicy?

– W zasadzie nie mogę. Ważne jest, aby sami dali sobie z tym radę. A przyjdą na pewno, obiecuję panu. Nikt nie zechce zostać w domu, nawet gdyby był chory.

Margido chętnie zapytałby, jak Mork wytrzymał tak długo w swojej pracy, już wcześniej chciał o to zapytać, ale nie miał odwagi. Może to i była satysfakcjonująca praca, w końcu walczył w niej o szacunek i wartości, ale zarazem była też zupełnie pozbawiona nadziei. Mniej więcej tak jak jego własna praca. Mogłoby to nawet oznaczać ryzyko, że otrzyma z powrotem takie samo pytanie.

Zdjął jednorazową rękawiczkę z jednej dłoni Kolbjørnsena i zaczął ją szorować szczotką, wzdłuż paznokci i na stawach. Ręka nawet nie wyglądała tak źle. Wsmarował dokładnie w skórę krem o niskiej zawartości tłuszczu. Ponieważ skóra była zimna, krem nie wchłaniał się i gdyby był tłusty, pozostałby na niej w postaci białej warstwy.

– Rozmawiałem właśnie z Torunn o składzie trumien – rzekł, myśląc jednocześnie o swoim rozczarowaniu, gdy nie od razu usłyszał w jej głosie entuzjazm dla swojego pomysłu.

– I podeszła do tego pozytywnie? To przecież znakomity pomysł – powiedziała pani Gabrielsen.

Uśmiechnął się do niej ponad nagim ciałem. – Tak, nieprawdaż? To w zasadzie był pan pomysł.

– Na pewno jej się spodobał. Potrzebuje przecież pieniędzy?

Westchnął. – Nie wie, co ma zrobić. Ani wte, ani wewte. Ale przynajmniej się nie sprzeciwiała. Muszę któregoś dnia zadzwonić do zakładu stolarskiego i dowiedzieć się, czy mogliby spotkać się tam ze mną, zobaczyć, co trzeba zrobić.

– Nie ma powodu do pośpiechu – rzekła pani Gabrielsen.

– Dobrze, dobrze. Teraz mamy już nawet powstającą własną stronę internetową. W końcu to jest coś.

– Tak, to prawda. Ale powinniśmy mieć w biurze więcej pracowników.

– Wiem o tym.

– A co z tym synem Bovina?

– Tak, wspominała pani już o nim. Ale wszystko pomalutku, po kolei.

Martwiło go, że Torunn sprawiała wrażenie takiej... wyciszonej. Robiła wszystko, co do niej należało, ale nie było w tym żadnej radości. Przecież nie mogła aż tak smucić się z powodu ojca, z którym nie miała innego kontaktu niż telefoniczny przez trzydzieści siedem lat swojego życia.

O sprawie magazynu z trumnami wspominał po raz pierwszy, będąc tam w święto siedemnastego maja. Wspólnie wciągnęli flagę na maszt, a staruszek stał w tym czasie przyklejony do kuchennego okna, śledząc każdy ich ruch. Do flanelowej koszuli w kratę założył czerwoną muszkę i Torunn nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać, kiedy rano zobaczyła go na schodach prowadzących do kuchni.

Chętnie zapytałby ją o biuro Tora, tak *à propos* książek, ale nie chciał wywierać na nią żadnej presji. Przechodząc obok, zerknął przez uchylone drzwi, wszystko wyglądało na nietknięte, zupełnie jakby Tor na chwilę tylko wyszedł na dwór. Po wciągnięciu flagi wypili kawę w kuchni. Rozpuszczalną. Margido nigdzie nie dostrzegł starego dzbanka do kawy, ale taka też była dobra. Do tego kromki chleba z dżemem, dżemem, który – sądząc po napisach na etykietach – zrobiła jej babcia. Na ten temat też nic nie powiedział. Radio było włączone i kiedy zaczęli grać *Boże, pobłogosław naszego dobrego króla*⁷, starszek zdecydowanym ruchem odstawił kubek z kawą na stół, podniósł się i stał tak, trzymając się krawędzi stołu, aż do chwili, kiedy chór Valen skończył śpiewać. Oczy mu zwilgotniały. Margido widział, że Torunn jest zakłopotana, miał wielką nadzieję, że nie zacznie się z tego śmiać. Ale nic takiego nie nastąpiło, w gruncie rzeczy nie pamiętał, kiedy ostatnio widział uśmiech na jej twarzy. I to właśnie wtedy, gdy chór Valen przestał śpiewać, wyrzucił z siebie tę kwestię magazynu z trumnami. Nie był pewien, czego właściwie oczekiwał, w zasadzie wiedział, że nie podskoczy z radości, wołając alleluja, ale miał chyba nadzieję na **odrobinę** entuzjazmu. Musiała przecież rozumieć, że on robi to dla gospodarstwa, nikt w końcu nie wyrzucał go z dotychczas wynajmowanych pomieszczeń. Wyjaśnił, jakie wymagania musi spełniać potrzebny mu lokal, a ona kiwała głową i wyglądała przez okno, śledząc ptaki. Stary nie wyrzekł ani słowa, Margido rozumiał, że jego nie obchodzi ani trumny, ani magazyn, siedział tam, myśląc tylko o tym, żeby znaleźć się w salonie przed telewizorem i obejrzeć reportaże z pochodów siedemnastomajowych, przeglądając przy tym swoje książki ze zdjęciami z dnia wyzwolenia.

Pozostał jednak, siedząc przy nich w przekrzywionej muszce, właśnie dlatego, że był siedemnasty maja, siedzieli razem, pijąc kawę, i był to wielki dzień.

– Nigdy nie chodzisz do kościoła, Torunn?

– Nie, nie wierzę w Boga.

– Czasami On bywa wielką pomocą w trudnych chwilach.

Nic na to nie odpowiedziała. Była blada, mocno schudła. Będzie się za nią modlił. Może uda jej się odnaleźć żywą wiarę, jakąż to byłoby dla niej pomocą. Życie bez Boga było pustką, którą człowiek musiał dźwigać samotnie; a w tej pustce wszystkie problemy również należały wyłącznie do niego; nie zaznawało się ani chwili wytchnienia. Widział jednak po niej, że nic nie zachęca do dalszego zgłębiania tego tematu, akurat tu i teraz, trzeba będzie porozmawiać o czymś innym.

– A więc twoja matka wpadła tylko z krótką wizytą te dwa tygodnie temu?

– Tak. Odwiedzała jakieś przyjaciółki. A może przyjdiesz do nas dziś na obiad? Będziemy mieli na deser kogel-mogel.

W tym momencie stary też podniósł głowę i spojrzał na Torunn.

Margido zobaczył w tym spojrzeniu czystą miłość, miłość i wdzięczność. To był piękny widok, który prawie sprawił mu ból.

– Nie, nie sędzę. Przyjadę raczej innego dnia, muszę zabrać ze sobą stolarza, żeby popatrzył, co trzeba zrobić w stodole.

Przygotował kaplicę na dwadzieścia minut przed tym, jak mieszkańcy przytułku mieli przyjść pożegnać się z Kolbjørnsenem. W zasadzie nie było wolnego czasu w kaplicy przed drugą, ale zamienił się z innym biurem, które miało wykręcić się przed klientem podwójną rezerwacją. Był im za to bardzo wdzięczny i zamierzał sprawę zapamiętać. Któregoś dnia będzie pewnie w stanie odwzajemnić im przysługę, biura pogrzebowe zawsze dobrze współpracowały ze sobą.

⁷ Hymn norweskiej rodziny królewskiej, oparty na hymnie Wielkiej Brytanii (*God Save the Queen*).

Skoro mieszkańcy domu Fundacji Petry nastawili się na godzinę pierwszą, wiedział, że nie można przesuwac ustalonego czasu. W ich wypadku utrata kruchej kontroli nad dniem mogła być kwestią minut.

Wytoczył trumnę z chłodni i zdjął z niej wieko. Leonard Kolbjørnsen ładnie i spokojnie spoczywał na tle bieli. Śmierć wygładziła mu zmarszczki – zmarszczki, które za życia pogłębiały mocno napięte mięśnie twarzy. Wielu ludzi sprawiało po śmierci wrażenie młodszych, na co często zwracali uwagę członkowie rodziny podczas wystawienia zwłok. Akurat to było w całym bólu pozytywnym przeżyciem, stanowiło również przypomnienie, że śmierć jest odpoczynkiem.

Zapałił białe znicze i postawił je wzdłuż trumny, chwilę stał tam, przyglądając się zmarłemu, a potem cicho powiedział sam do siebie:

– Dziękuję ci, dobry Jezu, że trzymasz moje dłonie w swoich i je ogrzewasz.

Na zewnątrz czekało małe, zbite stadko zmęczonych mężczyzn. Czuć było wódką, dymem i strachem, wszyscy gwałtownie się pocili. Prawdopodobnie przyszli tutaj pieszo z Ravnkloa lub Leüthenhaven czy skądkolwiek jeszcze, gdzie byli w stanie zdobyć to, czego potrzebowali. Szli w czystym, majowym słońcu, bez świadomości swojego otoczenia, przez most Elgeseter, mając za plecami katedrę Nidaros, przez sam środek panoramy, do której z odległości wielu mil przybywali żądni widoku turyści. Mieli pożegnać swojego przyjaciela Leo i wiedzieli, że nie będą mile widziani następnego dnia w kościele.

Podał każdemu z nich rękę, było ich dziewięciu, napotykając wilgotne dłonie i spuszczone spojrzenia.

– Leo na pewno doceniłby, że przysłuchacie się dzisiaj tutaj – powiedział. – Że chcecie go w ten sposób po raz ostatni uhonorować.

Skinęli głową w milczeniu i krok w krok, trzymając się tuż za Margidem, poszli w stronę drzwi. Kiedy wszedł do środka kaplicy, zaczęli zostawać nieco w tyle. Nadal trzymali się bardzo blisko, nie dotykając się jednak nawzajem, tylko rękawy kurtek ocierały się lekko o siebie. Postanowił w tym momencie, że zapisze fundacji pewną niedużą sumę w swoim osobistym testamencie, nawet jeśli jej dyrektor kłął i nazywał słowo Boże szmatławym gadaniem.

W końcu stanęli przy dłuższych bokach trumny. Każdy z dziewięciu mężczyzn płakał, wpatrując się nieprzerwanie w twarz leżącego w trumnie, niektórzy głośno łkali.

– Byłeś dobrym przyjacielem.

– Najlepszym.

Pozwolił im postać tak w spokoju aż do chwili, gdy zaczęli przestępować z nogi na nogę i rzucać sobie nawzajem spojrzenia. Wtedy stanął przy wezgielciu zmarłego, otworzył Księgę Psalmów i zaczął czytać:

– Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć: orzeźwia moją...⁸

– Nie – rzekł cicho jeden z nich.

Margido spojrział na niego pytająco. Jednego krótkiego fragmentu byli chyba w stanie wysłuchać.

– Wiem, że ten fragment istnieje też w języku *nynorsk*⁹ – powiedział mężczyzna, rzucając szybkie i bystre spojrzenie przez łzy płynące mu z oczu. – Leo tak powiedział. Że wszystkie takie... **ważne** rzeczy zostały przetłumaczone na *nynorsk*. Tak mówi. **Mówił.**

⁸ Tu i niżej Psalm 23 w przekładzie z Biblii Tysiąclecia (Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 1983).

– Oczywiście – odparł Margido.

– Leo miał całkiem... miał zupełnego **fisia** na punkcie tych kwestii z językiem *nynorsk*.

Pozostali kiwali głowami i uśmiechali się ze zrozumieniem, po raz pierwszy patrzyli mu w oczy, zgadzali się, mówili jednym głosem. Jak dzieci, pomyślał i się zawstydził.

– Pisał różne rzeczy do gazet. Chciał, żeby wiadomości w gazetach były też w języku *nynorsk*, miał jakiegoś bzik z tym...

– I czytał nam na głos różne rzeczy napisane w *nynorsk*. Wiersze i takie tam – rzekł inny. – Czasami w środku nocy albo rano, skoro świt. To było... dobre. Ładnie czytał. Nawet jeżeli w gruncie rzeczy chciało się spać.

– Ten, jak mu tam, Vesaas¹⁰ – ciągnął pierwszy. – Ta okropna historia z koniem, który zajrzał przez okno.

Zaśmiali się, spoglądając na siebie ukradkiem, żaden nie miał kompletnego uzębienia. Margido przypomniał sobie nagle, że zmarły z wykształcenia był nauczycielem. A więc interesował się językiem *nynorsk* i podziwiał Vesaasa.

– Oczywiście, że wobec tego odczytam fragment z Pisma w języku *nynorsk* – rzekł, przewracając kartki.

– Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć: orzeźwia moją duszę...

Podniósł głowę i spojrzał na nich. Stali w całkowitej ciszy, słuchając. Ręce mieli złożone, policzki lśniły wilgocią, nagle poczuł, że ma problem z własnym głosem. Rzadko zdarzało się, żeby coś go osobiście poruszyło. Nie mógł sobie na to pozwolić, chciał zachować kontrolę. Odchrząknął i kilkakrotnie przełknął ślinę.

– ...wiedzie mnie po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoje imię. Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza. Stół dla mnie zastawiasz wobec mych przeciwników; namaszczasz mi głowę olejkami; mój kielich jest przeobfity. Tak, dobroć i łaska pójdą w ślad za mną przez wszystkie dni mego życia i zamieszkać w domu Pańskim po najdłuższe czasy.

Stali razem w ciszy przez dłuższą chwilę. Przez ścianę słyszeli, jak dźwięk syreny zbliża się do Szpitala Świętego Olava.

– Przyjmijcie błogosławieństwo — rzekł cicho. – Niech was Pan błogosławi i strzeże. Niech Pan rozpromieni oblicze swe nad wami, niech was obdarzy swą łaską. Niech zwróci ku wam oblicze swoje i niech was obdarzy pokojem¹¹.

– Amen – wyszeptali słabo i niejednocześnie. Nie zwrócili uwagi, że błogosławieństwo zostało już wypowiedziane w języku *bokmål*. Podeszli po kolei do Margida, podając mu ręce i dziękując. Uściski dłoni były teraz mocne, spojrzenia ciepłe, patrzyli mu prosto w oczy.

Jutro miał spotkać się z rodziną Kolbjørnsena w kościele, mając samotną świadomość, że zmarły właściwie został już pochowany. W zasadzie brakowało już tylko złożenia ciała w ziemi.

Cztery dni później otrzymał pierwsze zgłoszenie telefoniczne, z którego wynikało, że rodzina zmarłego znalazła Dom Pogrzebowy Neshov w Internecie. Dzwonił młody, nieco ponad trzydziestoletni mężczyzna, który stracił równie młodą żonę Andreę z powodu samobójstwa. Margido wyraził współczucie, ale mężczyzna odparł, że czuje przede wszystkim ulgę.

⁹ *Nynorsk* – druga urzędowa odmiana języka norweskiego, mniej popularna niż podstawowa (*bokmål*).

¹⁰ Tarjei Vesaas (1897-1970) – pisarz norweski uważany za klasyka literatury w języku *nynorsk*.

¹¹ Por. tak zwane Błogosławieństwo Aarona z Księgi Liczb (6,24-26).

Następnie wylał z siebie do słuchawki gwałtowny potok słów, pełnych tłumionej frustracji, na temat służby zdrowia, która całkowicie zawiodła w sprawie kobiety z anoreksją, przeplataną okresami bulimii, a także kilkoma nieudanymi próbami samobójczymi. W końcu jej się udało, za pomocą tabletek. Pozostawiła piękny list do męża, matki i ojca. Nie zdążyli mieć dzieci, ona zresztą nie chciała, poza tym zagłodziła swoją płodność na śmierć. Tak to sformułował. Margido słuchał cierpliwie. Mężczyzna na przemian płakał i się wściekał, równie dobrze mieć to z głowy już teraz przez telefon, zamiast później w pokoju spotkań, pomyślał sobie. Uzgodnili godzinę spotkania w ciągu dnia, Margido wiedział z doświadczenia, że mężczyzna będzie wówczas spokojniejszy. Jej matka i ojciec też mieli przybyć, ale nie do końca panowała zgodność co do miejsca pochówku kobiety. Mąż chciał założyć nowy grób po to, aby sam pewnego dnia leżeć obok niej, a rodzice zamierzali zabrać ją do rodzinnego grobowca. Margido wyczuwał, że to może być trudna decyzja. Mężczyzna był tak młody, na pewno jeszcze wejdzie w inne związki. A jak nowa kobieta odnajdzie się w sytuacji, kiedy on będzie już miał zapewnione miejsce pochówku obok poprzedniej żony? Najbardziej oczywistym rozwiązaniem, jakie tutaj się nasuwało, było pochowanie zmarłej w grobowcu rodzinnym, mogło to zapobiec wielu rodzinnym konfliktom w przyszłości. Albo urna z jej prochami mogła zostać umieszczona w osobnym miejscu, to byłby kompromis. Pozostawiony list najwyraźniej nie zawierał żadnych wskazówek w tej kwestii. Coraz więcej osób odchodzących z własnego wyboru zostawiało list z poleceniem, aby ich prochy zostały rozrzucone na cztery wiatry bądź w jakimś szczególnym miejscu. Może miało to pewien związek z pragnieniem całkowitego zniknięcia, odejścia na zawsze. Odchodzący niewiele wiedzieli o całej biurokracji potrzebnej, aby takie zezwolenie uzyskać, trzeba było złożyć wnioski do wojewody na długo przed planowanym rozsypaniem prochów i uwzględnić cały zestaw restrykcji dotyczących miejsc, gdzie absolutnie nie można było tego zrobić.

W pokoju dla personelu panował przyjemny nastrój. Pani Marstad przyniosła upieczone w domu bułeczki oraz resztę ciasta czekoladowego z urodzin męża, obchodzonych poprzedniego wieczoru. Nie wspominał nic paniom o tym, że otrzymane zgłoszenie pochodziło z nowej strony internetowej. Opowiedział o młodej Andrei, która zginęła z własnej ręki, siedzieli potem, dyskutując o anoreksji i bulimii. Głośno roześmiali się, gdy pani Garbrielsen, podnosząc bułeczkę do ust, powiedziała: – Ja nigdy nie **wytrzymałabym** anoreksji! **Zagłodziłabym** się na śmierć!

Z tego właśnie powodu dobrze byłoby, żeby nowy pracownik pochodził z tego samego środowiska i rozumiał ich niekiedy makabryczny humor. Taki rodzaj humoru, który pozwalał zmniejszyć ciśnienie i sprowadzić sprawy niemożliwe do zwyczajności.

Rozmawiali również o pogrzebie, który miał się odbyć następnego dnia, osiemdziesięcioletni mężczyzna czekał na pochówek w kościele w Hen.

– Kościelny powiedział, że pomoże mi przenieść trumnę z samochodu na katafalk, więc żadna z was nie musi mi towarzyszyć. Pojadę tam wcześniej, wtedy zdążę wszystko zrobić sam. Nie przyjdzie zbyt wiele osób, ten człowiek mieszkał przez całe swoje dorosłe życie w Monachium, pracował przy eksporcie samochodów i tam też mieszkali wszyscy jego przyjaciele. Ale pochodził z Trondheim i wrócił tutaj po przejściu na emeryturę. Nie zdążył chyba poznać zbyt wielu osób i był jedynym pozostałym przy życiu członkiem rodziny. Wydrukowałem tylko trzydzieści programów i obstawiam, że to wystarczy z nawiązką. I nie mam pojęcia, kto chce potem dostać księgę z kondolencjami.

– Może nie potrzebujemy księgi? – zapytała pani Marstad.

– Ależ tak. Ludzie lubią się do niej wpisywać, czuć, że jakoś potwierdzili swoją obecność, zaznaczyli ją.

- Kto po nim dziedziczy?
- Nie zostawił żadnego testamentu, więc będzie to państwo. Ze mną skontaktował się dom opieki w Ilen.
- To chyba oddamy państwu też i księgę kondolencyjną – rzekła pani Gabrielsen.

Udało mu się namówić męża i rodzinę Andrei na urnę w osobnym miejscu, ale dopiero po tym, jak wyszedł z pokoju, pozwalając im tam kłócić się do woli. Mąż był nieugięty w kwestii grobowca rodzinnego, rodzice byli stanowczo przeciwni zakładaniu podwójnego grobu.

Często najlepszym wyjściem okazywało się opuszczenie pokoju spotkań. W takiej sytuacji byli zmuszeni coś uzgodnić. Margido miał obowiązek zgłoszenia spraw formalnych do stosownego urzędu w jak najkrótszym czasie.

Kiedy opuszczał pokój, każda z trzech osób sprawiała wrażenie ponurej i nieprzejednanej. Niespecjalnie korzystna sytuacja, jeśli chodzi o dalszą pracę nad smutkiem, naszała go taka refleksja. Ale widział już dużo, dużo gorsze sytuacje. Pogrzeb stawał się areną walki o władzę, okazją do wygrzebywania starych brudów, co ostro kontrastowało z tęsknotą, którą przecież wszyscy czuli. Zdarzało się nawet, że musiał zamieszczać dwa oddzielne nekrologi, bo różni krewni chcieli mieć swój kawałek zmarłego i nigdy nie osiągnęli porozumienia. To były przykre sytuacje, bardzo wymagające dla niego, który w końcu był odpowiedzialny za całą ceremonię. Nigdy co prawda nie zdarzyło się, aby ktoś po ceremonii kościelnej podarł na strzępy księgę kondolencyjną, ale bywało blisko, i wtedy miał ochotę przemówić do rodzin jak do niegrzecznych dzieci, zachowujących się w niewłaściwy sposób.

Pogrzeb nie był przecież żadną tanią sprawą i nierzadko zamykał się kwotami dwudziestu, trzydziestu tysięcy koron. Kolejny powód do rozłamu oraz makabrycznych dyskusji, do których prowadzenia żałobnicy czuli się w pełni uprawnieni w jego pokoju spotkań. Kiedy pierwsze spotkanie poświęcone planowaniu miało miejsce w prywatnym domu, często działało się jeszcze gorzej. Wydzwaniano do wszystkich możliwych członków rodziny z wezwaniem, aby natychmiast przybyli i poparli stanowisko kogoś z obecnych. Każdy **najlepiej** znał zmarłego i wiedział **dokładnie**, czego ona lub on by chcieli. Jego praca byłaby nieskończenie łatwiejsza, gdyby wszyscy za żyda spisywali dokładnie swoje życzenia. Ostatnia wola zmarłego była zazwyczaj respektowana i tylko raz zdarzyło mu się, żeby ktoś chciał zignorować taki zapis. Dotyczyło to zaledwie piętnastoletniej dziewczyny, która utopiła się, a w liście pozostawionym w swoim pokoju napisała, że chce być pochowana obok swojej zmarłej babci w Arendal, ponieważ babcia była tą osobą, która „zawsze najbardziej z całego świata mnie kochała”. Minęło już wiele lat, a Margido ciągle dokładnie pamiętał te słowa. Matka pokazała mu list, prawie w tajemnicy, kiedy ojciec dziewczyny poszedł do toalety, a Margido zaraz zaczął zastanawiać się, w jaki sposób można było zrealizować to życzenie od strony praktycznej. Jednak kiedy ojciec usłyszał, o co chodzi, odrzucił kwestię krótko i zdecydowanie:

- Cóż za głupoty, oczywiście, że nie zrobimy tego. Musimy przecież mieć jakiś grób do odwiedzania.
- Ostatnią wolę należy zawsze uszanować – pozwolił sobie wtrącić Margido.
- Miała przecież tylko piętnaście lat i, do cholery, ani trochę nie wiedziała, czego chce! – rzekł ojciec, a matka szlochała w chusteczkę i energicznie potrząsała głową, nie mówiąc ani słowa.

Kiedy wrócił do domu, zrobił sobie dwie smakowite grzanki z patelni, usmażone pod przykrywką. Ostatnio zaczął dokładać sobie na ser plastry kiełbasy pepperoni. Któregoś dnia kupił pepperoni przez pomyłkę, sądził, że to szlachetna kiełbasa wiejska, i w zadziwieniu

przyglądał się po otwarciu paczki jaskrawoczerwonym plastrom. Kiedy ostrożnie spróbował zjeść kawałek, doszedł do wniosku, że kiełbasa jest w sumie bardzo dobra. Mocno przyprawiona, ale wcale nie przesadnie. Teraz pepperoni miało stałą pozycję na jego liście zakupów.

Dużo czasu minęło od chwili, kiedy ostatnio odkrył nowy smak. To chyba było wtedy, kiedy kilka lat temu przeszedł ze zwykłego chleba na wieloziarnisty. Był bardziej wilgotny i dlatego trzymał się dłużej. Ale oczywiście miał też wyższą cenę.

Do grzanek z serem nalał sobie mleka z lodówki. Siedział z jedzeniem przy małym stoliku kuchennym, przeglądając jednocześnie „Adresseavisen”, na którą nigdy z rana nie miał dość czasu. Okno było otwarte, dzieci wydzierały się między blokami, było gorąco, wkrótce czerwiec. Gazeta zapowiadała niezwykle upalne lato. Zupełnie jakby to miała być jakaś rewelacja, przecież i lato, i zima stawały się coraz cieplejsze.

Wypił dwie duże szklanki mleka, a potem dokładnie opłukał talerz, szklanekę i patelnię pod gorącą wodą. Usiadł i przejrzał resztę gazety oraz dodatki. W dziale „Usługi” znalazł dwóch różnych stolarzy, oferujących swoją pracę. Mógł w zasadzie od razu zadzwonić, na pewno i tak trzeba będzie poczekać. Wybrał ogłoszenie zamieszczone najwyżej, z podanym numerem telefonu komórkowego.

Dwie minuty później siedział i złościł się na swoją impulsywność. Mężczyzna o imieniu Ole miał akurat czas pomiędzy dwiema dużymi robotami budowlanymi i chętnie podejmował się małych prac. Margido prawie nie uwierzył temu Olemu, kiedy powiedział, że może przyjechać i wycenić zlecenie już około szóstej dziś po południu. Ależ wszystko na pewno pójdzie świetnie, utrzymywał Ole, i Margido z pewną niechęcią dał mu wskazówki, jak dojechać do Neshov.

Zanim pojedzie, zdąży uciąć sobie małą drzemkę w fotelu. Nastawił budzik w telefonie na wpół do szóstej.

Kiedy Margido przyjechał, Torunn stała na ganku z obcym mężczyzną w bejsbolówce, odwróconej daszkiem do tyłu. Volvo było wystawione ze stodoły, a na masce samochodu leżały różne papiery, którym wspólnie się przyglądali. Stary siedział w fotelu przy drewnianej kuchenie z kubkiem kawy oraz pustym talerzem pełnym okruszków, stojącym na stołeczku obok. Na podwórku panował cień, ale nadal musiało być ponad dwadzieścia stopni.

– Kim jest ten facet? – spytał starego.

– Ma kupić samochód.

Margido wszedł do środka i przyniósł sobie kubek kawy, a kiedy wyszedł, białe volvo już odjechało.

– To **tego** mamy już z głowy – powiedział staruszek. Margido oparł się obok niego o ścianę, czuł, jak w szarych deskach nadal gnieździ się ciepło dnia. Torunn składała papiery, idąc w ich kierunku.

– Dostałam za niego cztery i pół kawałka – rzekła.

– Świetnie – powiedział Margido.

– Trochę dziwne uczucie. W końcu to był jego samochód – dodała. – Bardzo o niego dbał.

– Chyba za wiele go nie używał – rzekł Margido.

– Tylko kiedy jeździł do miasta. Tutaj w Byneset najchętniej używał traktora, mógł przecież odpisać sobie ropę od podatku.

– Mam się spotkać tutaj ze stolarzem – powiedział Margido. – Będziemy wspólnie oglądać stodołę.

W tym samym momencie na podwórko zajechał samochód. Stolarz Ole w wielkim mercedesie wyglądającym na nowy.

- Chyba pracuje na czarno – rzekła Torunn. – Z takim samochodem.
- Nie zamierzałem płacić mu na czarno. Nie lubię takich rzeczy.
- Jak mu to powiesz, to pewnie zemdleje – powiedziała.
- To lepiej, żeby zemdłał od razu, a potem pracował legalnie. O takich rzeczach decyduje zleceniodawca – dodał Margido.

Ale Ole nie zemdłał. Opukiwał i badał ściany, świecił latarką wzdłuż belek, mierzył i notował, słuchając wskazówek Margida.

- Ach tak. Trumny. A jak długie one są?
- To zależy. Ale chciałbym, żeby półki miały dwa i pół metra głębokości i metr wysokości.

To będzie wspaniałe i praktyczne pomieszczenie. Ole zaproponował również zrobienie niskiej platformy z kółkami, z której Margido mógłby korzystać przy przewożeniu trumien do samochodu, a także rampy, którą mógłby je wciągać do góry i na dół. Margido skinął głową na tę propozycję. Ten magazyn trumien zanosił się na o wiele bardziej praktyczny niż poprzedni, a poza tym będzie wówczas przyjeżdżał tu znacznie częściej, ale bez konieczności zostawiania zbyt długo z powodu—jak się mógł tłumaczyć—bycia zajęтым.

Ole miał zacząć już następnego dnia kalkulować potrzebne materiały i podać propozycję ceny.

Kiedy Margido jechał do domu we Flatåsen, poczuł nagłą chęć, żeby zadzwonić do pani Gabrielsen i pochwalić się swoją wydajnością.

Nie zadzwonił jednak do niej, powiedział natomiast wszystko w sekundę po przyjściu do pracy następnego ranka, mimochodem, że prace zostały już wdrożone. Zaraz zaczęła mówić o tym, jak bardzo Torunn musi się cieszyć.

– Teraz my też ją poznamy, jeśli któraś z nas będzie musiała tam pojechać coś przywieźć! – powiedziała. – To będzie miło.

Margido nie chciał jej rozczarowywać, mówiąc, że niekoniecznie będzie specjalnie miło, w gospodarstwie nie panowała akurat zbyt gościnna, sprzyjająca przyjęciom atmosfera.

- Na pewno może pani liczyć tam na kawę – rzekł.
- Taką mam nadzieję! – powiedziała. – A programy do kościoła w Ilen leżą na pana biurku.

Wysokie drzewa wokół kościoła w Hen tworzyły zielony korytarz ze światła słonecznego, kiedy na godzinę przed pogrzebem wjechał swoim caprice za kościół. Chciał już postawić trumnę na miejscu w środkowym przejściu, zanim pojawią się kwiaty. Ponieważ mężczyzna nie miał rodziny, Margido sam zmuszony będzie zrobić coś na kształt dekoracji katafalku z tych bukietów, które – miał nadzieję – pojawią się, przynajmniej z domu opieki. Z mnóstwem świeczek i tak będzie pięknie, nie zawsze potrzeba było do tego wielu kwiatów. Gdyby było zbyt mało, mógł przecież pojechać sam i kupić kilka prostych dekoracji.

Kiedy wysiadał z caprice, kościelny właśnie otwierał zakrystię. Był to starszy, sympatyczny człowiek, który zawsze chętnie pomagał mu przy trumnie, kwiatach i lichtarzach.

Teraz odwrócił się w stronę Margida i zawołał wysokim głosem, niemal falsetem: – Drzwi są wyłamane! Są otwarte!

- Co też pan mówi?
- Czy mam zadzwonić na policję?
- Proszę poczekać chwilę – powiedział Margido. – Musimy najpierw zobaczyć, co się stało. Na pewno ktoś tylko wygłupiał się i zabawiał drzwiami.

Poczuł odór, gdy tylko przeszli przez zakrystię do kościoła, odór krwi. To był zapach, który potrafił rozpoznać pośród wszystkich innych. Kościelny poszedł przodem i zobaczył wszystko pierwszy.

– O Panie, mój Boże! O Panie, mój Boże! – rzekł, padając na kolana w głównym przejściu, złożył dłonie i zaczął sucho łkać. Margido zatrzymał się tuż za nim, intensywnie próbując zrozumieć, co takiego widzi przed sobą. Co to właściwie jest.

Przed ołtarzem w kałuży krwi leżało jagnię z poderżniętym gardłem. Krew została celowo rozmazana i tworzyła gwiazdę podzieloną liniami w środku. Gwiazda Dawida, pomyślał. Nie, to nie nazywało się tak. **Pentagram**. Tak, to był pentagram. W każdym wierzchołku gwiazdy stały czerwone świece. Już się nie paliły, ale widział, że wcześniej musiały płonąć dość długo. Ponownie zmusił się do spojrzenia na jagnię, głowa zwierzęcia prawie odpadła od ciała, odrzucona do tyłu w nieprzyjemny sposób.

– Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje... – szepnął.

Kościelny podniósł się i zaczął potrząsać Margidem.

– Co to jest? Jak komuś udało się... ale dlaczego?

– Nie wiem. Nie wiem – powiedział Margido.

Kościelny puścił go i krzyknął: – Muszę zadzwonić do księdza!

– Tak – odparł Margido. – A potem na policję. Nie wolno nam niczego dotykać.

Nie miał siły poruszyć nogami. Na ołtarzu i ścianach narysowane były krzyże, wszystkie odwrócone do góry nogami. Czerwone, nierówne krzyże, chyba też użyto do nich jagnięcej krwi. Kilka pustych butelek po piwie leżało na środku głównego przejścia, tuż przy... pentagramie. Smród krwi był intensywny, przebijał nawet słaby odór odchodów jagnięcia.

– ... bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...

Za godzinę miał tutaj odprawiać pogrzeb. W tych warunkach nie mogło być o tym mowy!

Zmusił ciało do odwrócenia się, zamknął oczy, przeszedł na tył kościoła i wygrzebał z kieszeni komórkę.

Zadzwonił do biura i wyjaśnił, przerywając pani Marstad, gdy usiłowała wtrącić się z własną reakcją na całą sprawę.

– Musimy znaleźć inny wolny kościół. Wynajmiemy autokar, który będzie czekał tutaj na wszystkich uczestników pogrzebu. Panie obie przyjadą tutaj i przyjmą kwiaty, a potem zawiozą je do nowego kościoła. Ja zadzwonię do organisty, będzie musiał pojechać z nami albo poinstruować organistę w tym drugim kościele. Proszę najpierw spróbować w kościele w Havstein, nie pamiętam żadnego nekrologu mówiącego, że dziś tam odbywa się jakiś pogrzeb.

Położył obie dłonie na węźle krawata, czując, że tkwi tam idealnie ściśle. Mocno się pocił, ale w samochodzie miał dezodorant. Kto nienawidził Boga tak bardzo, żeby chcieć zrobić coś podobnego? Jezus umiał przecież za wszystkich grzeszników w nieporównywalnym z niczym akcie miłosierdzia, Bóg dał swojego syna wszystkim ludziom.

– Jak pasterz będzie pilnował swojej trzody, w ramionach schroni swoje owce i w swoim miłosierdziu je uniesie – wymamrotał.

Wychodząc z kościoła, spotkał pierwszego posłańca z kwiatami i nie pozwolił mu wejść do środka. Sam przyjął od niego dwa bukiety, kładąc je na siedzeniu pasażera w caprice.

– Ksiądz jest już w drodze, policja również – powiedział kościelny, opierając się o maskę. Margido przyglądał się jego dłoni, przyciśniętej do wypolerowanego na błysk czarnego lakieru, dobrze było zawiesić uwagę na takiej bezsensownej obserwacji. Zamknął drzwi od samochodu, odchrząknął i powiedział:

- To pomódlmy się w czasie, kiedy czekamy.
- Gdzie?
- W środku, w kościele.

Usiedli obok siebie w tylnej ławce i złożyli dłonie. Przestrzeń kościoła unosiła się nad nimi miękkimi tukami. Ciche odgłosy ruchu miejskiego z ulicy Kongens przypominały im o istnieniu normalności, której w tym akurat momencie nie czuli.

– Panie nasz, Jezusie Chrystusie, Ty, który nosisz wszystkie nasze grzechy – rzekł Margido. Kościelny przyłączył się do modlitwy.

– ...dziękujemy ci za tę miłość, która jest silniejsza od śmierci. Daj nam udział w zbawieniu, które przyniosła nam Twoja śmierć i zmartwychwstanie, i prowadź nas swoją potężną ręką przez życie, śmierć i sąd Boży aż do Twojej wiecznej radości. Amen.

Tak siedzieli, kiedy przyjechał ksiądz; a w kilka minut po nim dwóch policjantów.



ROZDZIAŁ 6

Moim zdaniem to zupełnie idiotyczna zasada! – zawołał Erlend.

– Mówiłeś to już tysiąc razy. Ale my tak nie uważamy, więc jest trzy do jednego – powiedział Krumme spokojnie, wytarł usta do czysta papierową serwetką i złożył ją w porządną prostokąt, który wetknął pod krawędź pustego talerza.

Siedzieli w winiarni Bernikowa, tuż przy redakcji „BT”, i jedli lunch. Krumme właśnie pochłonął obfitą porcję śledzia z czarnym chlebem, piwo i jeszcze sznapsik. Erlend, który zważył się rano i odkrył, że chyba jest w ciąży, bo w dwa tygodnie przytył dwa kilo, siedział i dziobał w sałatce o nazwie „Pięć zimnych palców w tyłku”. Danie składało się z morskich delikatesów, ułożonych na talerzu stojącym na drugim talerzu, a między nimi znajdowały się kostki lodu. Do sałatki wypił białe wino tak wytrawne, że każdy łyk był jak wyprawa przez Saharę. I grzecznie odmówił świeżo wypieczonej focacci.

Szampan był napojem tuczającym, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego rozważał przejście na ultraniskokaloryczną dietę, której podstawą byłby szampan Bollingera.

– Ale nie rozumiem, na czym polega problem! – powiedział narzekającym tonem, o którym wiedział, że Krumme go nienawidzi.

– Może byś już przestał marudzić – powiedział Krumme. – Niewykluczone, że jest w tym coś z przesądu. Nie należy kupować masy rzeczy dla dzieci, zanim nie stanie się bardzo prawdopodobne, że ciąża jest zdrowa i prawidłowa, z wielkimi szansami na sukces. A teraz uzgodniliśmy, że poczekamy do badania USG. To chyba dobra zasada. I zostało już tylko nieco ponad miesiąc. Na pewno wytrzymasz. Weź się w garść.

– Postaram się.

Prawda była taka, że już na dobre zaczął zakupy i czystą **męką** było dla niego to, że nie mógł zdradzić się z tym faktem przed Krumme i paniami. Na widok zawartości wypełniającej jedną z szafek w domowym biurze rozsadzało go szczęście.

Krumme nigdy nie zaglądał do tych szafek, miał biuro w pracy; kiedy był w domu, miał wolne. Jednak w biurze dekoratorskim Erlenda panował chaos. Błat jego biurka jednego dnia mógł być używany do spryskiwania srebrnym sprejem sztucznych czaszek, a innego jako wystawa szeregu ręcznie dmuchanych waz ze Strefy Gazy. W pracy nie miał nawet własnego komputera, różne maszyny stały tam po prostu porozstawiane, wszyscy z nich korzystali do sprawdzania rzeczy w Internecie. Całe biuro było jednym wielkim atelier, dlatego z domowego biura korzystał przede wszystkim Erlend, trzymając pieczę nad wydatkami, przychodami i działalnością. Tu też przechowywał najcenniejsze magazyny i albumy o wzornictwie. No i kopie archiwum fotograficznego wszystkich zakończonych projektów okien wystawowych. Raz na jakiś czas mógł przecież sobie samemu ukraść jakiś pomysł, gdyby był w kropce...

Teraz jedna z dolnych szafek domowego biura była po brzegi wypełniona rzeczami, które kupił w necie. Przede wszystkim dwie niesamowicie odlotowe torby na pieluchy marki Mia Bossi, przeznaczone dla obu pań. Mogły pomieścić wszystkie pieluchy, kremy, ściereczki i podkładki, jakich może potrzebować dziecko. Były **tak** stylowe, że magazyn „People and InStyle” zamieścił o nich osobny reportaż.

No i ubranka. Boże, jak on się zastanawiał nad całą tą kwestią płci. W szafce najwięcej było ciuszków dla dziewczynki. Jeśli badanie USG pokaże, że mają dwóch chłopców, będzie musiał przeszmygłować z domu ze dwa worki designerskich dziewczęcych ubranek i podarować je pierwszej lepszej osobie pchającej różowy wózek po ulicy Gråbrødretorv. Ale było przecież tyle fantastycznych rzeczy, po prostu nie mógł się powstrzymać, w końcu był tylko człowiekiem! Sweterki od Boboli i ta niewiarygodnie cudowna kolekcja dziecięca Biscotti. A Kenzo...

– Mamy poniedziałek – powiedział Krumme. – Kolejny tydzień ciąży. A ty nadal nie oświeciłeś mnie, co nowego w rozwoju płodów.

Erlend pociągnął mały łyżeczek białego wina i dramatycznie przełknął go całą górną częścią ciała, zanim odpowiedział: – Płody mają teraz sześć-siedem centymetrów długości. Mają już jądra i jajniki...

Jajniki, pomyślał sobie, mam nadzieję, na Boga, że jest chociaż **jedna** para, inaczej wyrzuciłem w błoto jedenaście tysięcy koron. Jak dotąd.

– No i zaczynają się kształtować jelita – zakończył.

– Dobra wiadomość. Moje jelita w każdym razie są pełne – powiedział Krumme. – Nawiasem mówiąc, Neufeldt chciałby sobie zrobić harmonogram, musimy wieczorem zadzwonić do Torunn i umówić się. A teraz muszę wracać do roboty.

– A może zaprosimy go jutro wieczorem na kolację? Nie musimy sami gotować, jest tak gorąco. Możemy wziąć świeże sushi z Højbro Plads.

– To ja mu to zaproponuję. A w ogóle dlaczego nie jesz?

– Mam mdłości ciążowe.

– Niespecjalnie w to wierzę. Ważyłeś się? Widziałem rano wystawioną wagę.

– Tak...

– Ona źle wskazuje – powiedział Krumme.

– Naprawdę?!

– Jak najbardziej – odrzekł Krumme. – Twierdzi, że przytyłem trzy kilo w tyle samo tygodni, a widać przecież, że to czyste kłamstwo. No więc nie powinieneś jej wierzyć.

Erlend oglądał przez długą sekundę zaokrąglony brzusek Krumme, dociskający do stołu koszulkę przykrytą czarną, lnianą marynarką od Armaniego. Trudno było stwierdzić, czy urósł o trzy kilo. Tak bardzo kochał ten brzusek, że obiektywna ocena była niemożliwa.

– Poważnie? – spytał Erlend. – Musimy ją... skalibrować. Coś tam o tym było w instrukcji.

– Niekoniecznie – powiedział Krumme. – Przecież znam własne ciało! Zamów sobie jakieś porządne jedzenie, jeśli będziesz się głodził, zrobisz się zły.

Erlend natychmiast zamówił dużą i grubą kanapkę z delikatnym pasztetem i pieczonymi paskami bekonu, a do tego sałatkę z rukoli z siekanymi, prażonymi orzeszkami pinii. A do tego jeszcze piwo i lodowaty jenever.

Kiedy wrócił do biura, był senny i najedzony. Ale nie było żadnych trudnych zleceń. Sklep dla raperów i deskorolkarzy – z workowatymi ciuchami i bluzami z kapturem, ubraniami, którymi się brzydził – chciał zrobić nową wystawę. A Bolia Field's chcieli sprawić sobie coś ożywczego, ale to zlecił swoim asystentom – Agnete i Oskarowi. Meble rozstawione w salonie o powierzchni tysiąca metrów kwadratowych, jak tu można zrobić coś ożywczego? Same produkty Bolia były

wystarczająco świetne, jedyne, co tam się dało zdziałać, to udekorowanie poszczególnych zestawów mebli poduszkami, kocami, lampami i bibelotami na stołach. Z czymś takim asystenci poradzą sobie sami.

Wszedł do magazynu rekwizytów i zaczął sprzątać, była to naprawdę Syzyfowa praca. Kiedyś powinien spróbować wprowadzić tu jakiś porządek, system. Pewnego pięknego dnia...

Podniósł małe miedziane motylki, które kilka tygodni temu kupił w Elefanten w Hellerup. Jeszcze do niczego nie zostały użyte. Może będą pasować nad dziecięcym łóżeczkiem? Jego mała córeczka mogłaby przed zaśnięciem ssać kciuk i patrzeć na nie zamazanym spojrzeniem, patrzeć, jak miedź chwyta wieczorne światło i rozsyła je na wszystkie strony. Mogłaby tam leżeć i zadziwiać się na ten widok, chłonąć piękno swoim młodym, podatnym umysłem. **Eleonora**. Tak się będzie nazywać. Ale tamci troje nie chcieli mówić nawet o **imionach**, zanim nie zobaczą wyników USG!

Zanim wszyscy czworo postanowili mieć dzieci, umierał z lęku o to, co straci, kiedy zostanie ojcem. I jeszcze po tym, jak test Jytte i Lizzi wypadł pozytywnie. Ale teraz! Jak ma wytrzymać jeszcze cały miesiąc do badania!

Pójdą na 3D. Trójwymiarowe obrazy. To będzie fantastyczne. Powiększy zdjęcia do rozmiarów plakatu i powiesi w sypialni. Dwa zestawy. A może **podwójny** format plakatu. A po tym dniu wreszcie będą mogli zacząć planować. Imiona. Przerobienie pokoju gościnnego na dziecięcy. Ubranka i wyposażenie! Tego samego wieczoru wyjmie zakupy ze wszystkich szaf, to dopiero będzie świętowanie! Ze zdjęciem Eleonory w ręce. Krumme na pewno będzie miał chłopaka. Był taki męski i zdecydowany.

Nagle poczuł dreszcz, **któs teraz przechodzi nad twoim grobem**, zwykła mawiać matka.

To wszystko było takie kruche, cała wieża szczęścia, ale nieskończenie krucha. Oczywiście jedna z matek mogła stracić dziecko. Albo obie. Krumme mógł od niego odejść, znaleźć sobie innego. Albo mógłby umrzeć. On sam mógł umrzeć. Położył ostrożnie miedziane motylki na miejsce i usiadł na plastikowym krześle z lat pięćdziesiątych, plecione żółte i czarne plastikowe linki, ułożone w elipsę, wpuszczoną pośrodku, użyte zostało dwa razy. Najpierw dla sklepu z płytami, z His Master's Voice obok, cała witryna w stylu art deco, z płytami na 78 obrotów i zasłonami z frędzlami. Drugi raz dla księgami, gdzie lansowali dziesięciotomowe kompendium wiedzy o trendach i stylach z przełomu wieku i później. **Z poprzedniego** wieku.

Boże święty, miał **czterdzieści** lat. Trudno było przyswoić sobie tę myśl. Co zrobi, jeśli ta wieża szczęścia się zawali? Nie mógłby oczywiście mieszkać w tym samym mieszkaniu. Nie bez Krumme. Może w atelier w dzielnicy łańskiejskiej w Paryżu, gdzie mógłby i mieszkać, i pracować? Ciekawie byłoby to urządzić. Zawsze trzeba widzieć pozytywne aspekty sytuacji.

Wtedy wpadł na ten pomysł.

Oczywiście! To genialne! Jest geniuszem! Wpadł z magazynu rekwizytów: – Agnete! Oskar! **GDZIE JESTEŚCIE!**

Siedzieli w jadalni i pili herbatę z wielkich, nieestetycznych kubków. Nienawidził grubej ceramiki, ale trzeba przyznać, że doskonale trzymała ciepło. Agnete i Oskar przynieśli je z domu, mieszkali razem.

– Wiem! Wiem, co zrobimy w Bolia! – krzyknął.

– Słyszemy cię – powiedział Oskar. – Znalazłeś jakiś koc albo poduszki w nieznanym wcześniej kolorze? To zlecenie ssie...

– Wiem przecież! Właśnie dlatego nie chciało mi się go robić i dałem je wam! Ale teraz posłuchajcie. Pomyślcie o etapach w życiu. Wyobraźcie sobie faceta, który zakończył związek. Z kobietą, znaczy. Faceci z reguły są niestety hetero. Bolia też o tym wie. Ale wyobraźcie sobie twardego gościa, w gruncie rzeczy macho, który żył pod ciężkim pantoflem, wypełniał wszystkie

rozkazy partnerki, robił wszystko co trzeba, a jednak został wywalony ze swojego żyda, ze swojego domu. W tym cała rzecz!

– Ten koleś potrzebuje nowych mebli – powiedziała Agnete.

– Dokładnie! I chce tak wyposażyć mieszkanie, żeby wyrazić siebie! Przekazać coś! Zasygnalizować całkowitą niezależność od tej chorej na władzę, dławiącej, męczącej, wrednej harpii. Chce być wolny!

– Może przecież też siedzieć i płakać. Wpaść w głęboką depresję. Tęsknić za nią – powiedział Oskar.

– Jasne! Ale i tak musi pojechać do Bolia i kupić meble, no nie? W głębokiej depresji albo w radosnych podskokach wejdzie przez drzwi Bolia Field's i co zobaczy?

– Swoją byłą? Która też kupuje nowe meble? – zaproponował Oskar.

– Nie! Idiota! Oczywiście wystawę, którą my troje zrobiliśmy na środku tego piekielnie wielkiego lokalu, co ma tysiąc metrów! Na scenie o wysokości metra. Salon! Dla mężczyzny, który wreszcie zacznie żyć własnym żydem!

– A skąd będzie wiadomo, że to salon świeżego singla? – spytała Agnete.

– To widać. Po prostu. Z sufitu zwisa pajęczyna. Śliczna dekoracja zdjęcia ślubnego.

– Przedartego na pół? – powiedział Oskar.

– Prawie! – odrzekł Erlend. – Zaczynasz rozumieć! Nie, przedarte na pół to oklepana sprawa. Znajdziemy w archiwum stare zdjęcie, takie, żeby oboje już nie żyli, wtedy możemy go użyć. Czarno-białe. Powiększymy do... taaa, nie pamiętam, ile tam jest wysokości do sufitu. Ale powiedzmy, że zrobimy format trzy na pięć metrów. Na dobrym kartonie. I wtedy...

Kubki z herbatą stały i stygły między nimi. Teraz śledzili każde jego słowo.

– I zrobimy z tego sieczkę. W formie kawałków układanki. Cały obraz rozłazi się, ale wciąż widzimy, że to zdjęcie ślubne. Kawałki jakby rozplływały się, tak jak jego własne życie! W powietrzu nad salonem! Facet od razu się tu odnajdzie! Bo tak właśnie się czuje! Jakby żył w skomplikowanej układance, nad którą nie ma już kontroli! A do czego może sprowokować **identyfikacja** z sytuacją, moje słodziaki?

– Do działania – odpowiedział Oskar.

– Właśnie. I spojrzenie opada na leżący poniżej salon. Wyobraźcie sobie szarości i czernie. Surowość. Grubo tkane meble, wielkie pufy, czyste linie, natura. A na ścianach... Potrzebujemy trzech ścian, musi wyglądać tak, jakby mógł się tam od razu wprowadzić. Pół kajaka na jednej ścianie, co wy na to? Przeciętego wzdłuż. Odlotowe. I wędki. Pisma dla mężczyzn. „Playboy”, leżący półotwarty pod poduszką sofy. Oczywiście „Playboy” jest już **zupełnie passé**, ale ci, co kupują w Bolia, o tym nie wiedzą. I Hemingway na półkach. Tak! A może taki sweter, jaki on zawsze nosił? Czarno-biały sweter islandzki z golfem! Leży tam przerzucony przez fotel. Potrzebujemy szafki na cygara. I pary dobrych, ciężkich butów tuż koło drzwi, trochę ubłoconych. Musi powstać wrażenie, że ten facet wyskoczył tylko na moment do kuchni, żeby oczyścić coś, co przed chwilą upolował albo złowił. Żeby zjeść to na surowo! Robi, co chce!

– To fantastyczny pomysł – powiedział Oskar. – A gdyby tak broń?

– Nie, to już przesada. Nie będziemy zachęcać do morderstwa, nawet jeśli ona była wyjątkowo paskudna.

– Jesteś niesamowity, Erlendzie. Muszę przyznać. To będzie fantastyczne – powiedział Oskar.

– Dobrze, dobrze. To działamy. Naszym celem jest to, żeby każdy facet, który stanie w drzwiach Bolia, poczuł nieopisane pragnienie takiego życia. Mężczyźni, którzy przyjdą z żonami, od razu zaproponują rozwód. A faceci w depresji wywalą z kieszeni pigułki szczęścia i ruszą do najbliższego sprzedawcy. Pamiętajcie, że musimy tam uwzględnić trochę bałaganu. Kobiety

nienawidzą bałaganu. Mężczyźni go kochają, bo tego nie widzą. Tak słyszałem. Krumme i ja to ludzie porządku.

– A może stos gazet koło sofy, nieco rozwalający się? – zaproponował Oskar i spojrzał na Agnete.

– Tego to ja nienawidzę – odpowiedziała. – Chyba możesz po prostu wyrzucić to, co przeczytałeś? Nie musisz **zbierać** wszystkiego, co już...

– Doskonale. To dodajemy stos gazet – rzekł Erlend.

Wyjadali resztki niedzielnego obiadu, oglądając wiadomości na małym, płaskim telewizorze nad kuchennym stołem. Saltimbocca z domowym purée z ziemniaków. Ani sznyce cielęce, ani szynka parmeńska nie lubiły ponownego odgrzewania, ale smak był ten sam, a purée zawsze było lepsze na drugi dzień, jak dodali do niego porządną porcję masła. Krumme położył też na każdym sznyclu przed podgrzaniem pod rusztem kawałek świeżej gorgonzoli. Erlend z entuzjazmem opowiadał o koncepcji dla Bolia, a Krumme w tym czasie usiłował śledzić wiadomości. Chwalił Agnete i Oskara, którzy dostali zadanie przekonania do pomysłu Gitte Sorup z Bolia Field's: – Muszą przecież spróbować samodzielnych rozmów z klientami, a z **tak** genialnym pomysłem trudno ponieść porażkę. A poza tym to dobre dla ich pewności siebie.

– Próbuję słuchać tego, co mówią, Erlendzie.

– Daj spokój. To tylko wypadki i nieszczęścia, nie możesz dźwigać na barkach całego świata, Krumme. Zdrowie.

– I nie dźwigam. Ale śledzenie bieżącej sytuacji to w zasadzie moja praca. A jeśli trzynastolatek zabił swoich rodziców w Fionii, to **może** się zdarzyć, że jutro napiszemy o tym parę słów. Nie zdziwiłbym się, gdyby za chwilę zadzwonili z redakcji. Zdrowie.

– Trzynastolatek? Co za koszmarny. A co, jeśli nasze dzieci zrobią to samo? Myślałeś o tym?

– Nie wszystko sprowadza się do nas, myszko.

– Właśnie że tak. W tych czterech ścianach tak! Przynajmniej na razie.

– Musimy później porozmawiać z Torunn – rzekł Krumme.

Kiedy zadzwonili, była w chlewie. Wydawała się zaskoczona. Od razu spytała, czy coś się stało.

– Ależ nie, skądże. Dlaczego coś miałoby się stać? Dziękuję, Krumme. Właśnie postawiono mi przed nosem małe espresso i koniak, więc nie mogę narzekać. A ty?

Kręci się jakoś. **Kręcę się tutaj...** Dlaczego powiedziała to w ten sposób, pomyślał i poczuł irytację.

– W Byneset lato w pełni, myślę, że jest pięknie!

To prawda, było pięknie. Niemal fala upałów, plantatorzy truskawek promienieli ze szczęścia. Ale Margido brał udział w dramatycznych wydarzeniach.

– O? Coś większego niż zwykle? Jeśli chodzi o Margida, to chyba niewiele trzeba, żeby nazwać to dramatem w jego życiu. Mandat za parkowanie? Ktoś za nim gwizdnął na ulicy?

Nie, sprawa była poważna. To się stało w poprzedni wtorek. Było o tym mnóstwo w gazetach, nadal coś piszą prawie codziennie. Myślała, że może śledzi sprawę w necie, *czyta*, co się dzieje w Trondheim i tak dalej?

– Nieszczególnie często. Przyznaję się bez bicia.

No to musi sprawdzić gazetę „Adressavisen” w Internecie, w kościele w Ilen znaleziono przed ołtarzem jagnię z poderżniętym gardłem. I to Margido był jednym z tych, co je znaleźli. Zaraz potem miał prowadzić pogrzeb. Oczywiście zamieniono miejsce na inne.

– Święty Boże! On, co tak wierzy w Boga i to wszystko! Potraktował to **osobiście**? SŁYSZYSZ, Krumme! Margido znalazł MARTWE JAGNIE W KOŚCIELE!

Krumme wyszedł z kawą na taras i nie słyszał.

– Była wszędzie krew? Odwrócony krzyż namalowany krwią i tak dalej?

Tak właśnie było.

– Tu w Danii też jest mnóstwo takich rzeczy. No, może nie **mnóstwo**, ale wystarczy, żeby... Ale dlaczego nie zadzwoniłaś, żeby to opowiedzieć? To przecież było prawie tydzień temu?

Dni były takie podobne do siebie. Mieli też akurat w gospodarstwie stolarzy, Margido chce tu przenieść swój magazyn trumien.

– Magazyn trumien? To znaczy, że jak przyjedziemy, będziemy mieli niekończący się pochód **trumien?**

Trumny są w porządku, odpowiedziała.

– Ach tak. No tak...

Pomoże to w finansach gospodarstwa, wydatkach na ubezpieczenie i tak dalej.

– Ale myśleliśmy o tym, żeby się do was wybrać. Razem z paniami.

No i oczywiście z architektem. I nie musisz pytać, nie będziemy mieszkać w Neshov, zatrzymamy się w hotelu, więc możesz sobie tym nie zaprzętać głowy. A jedzenie może robić Krumme. Zero dodatkowego stresu dla ciebie! To tylko pięć nadliczbowych osób, przy tylu świniach!

Roześmiał się, ona nie.

– Czyż nie będzie sympatycznie? No i poznasz panie, będą przecież prawie twoimi ciotkami, prawda?

O tym nie pomyślała. Nie w ten sposób.

– Są w trzynastym tygodniu. Jelita zaczynają wskakiwać na miejsce. Uff..., biedny Margido, musimy go zaprosić na obiad. A co on sam mówi?

Niewiele. Odprawili tam nabożeństwo i przejęli kościół z powrotem. Tak to nazwali.

– To na pewno tylko paru cholernych gówniarzy, którzy nie mieli pojęcia, co robią. Ale skąd, na Boga, wzięli jagnię? W Ila nie ma przecież owiec?!

Ukradli je z letnich pastwisk w Tømmerdalen. Policja znalazła linę i taśmę klejącą z masą wełny, na pewno owinęli nią nogi i pysk, a potem zawieźli na miejsce samochodem.

– No nie, CO ZA KOSZMAR! Biedne, małe jagniątko! I co, nie złapali tych idiotów? Zasłużyli na to, żeby ich, kurwa, też związać.

Na razie nikogo nie zatrzymano, ale lepiej niech poczyta o tym w necie, a ona musi teraz dokończyć obrządek w chlewie.

– Ale tobie chyba jest wszystko jedno, kiedy przyjedziemy? Obstawiam, że w ten weekend, może w następny.

Tak, wystarczy, że zawiadomią.

– Niczym się nie przejmuj. Tym razem nie będzie żadnej niespodzianki.

Od razu znaleźli w Internecie wszystko o ofierze z jagnięcia. Margida nie wymieniono z nazwiska, był tylko **doradcą pogrzebowym**. Który **nie chciał udzielić wywiadu**.

– Myślałam, że to się nazywa agent pogrzebowy – powiedział Erlend.

– Najlepiej brzmi **bedemand**¹² moim zdaniem – rzekł Krumme.

– Po norwesku brzmiałoby to trochę inaczej, **be-mann**, bardziej rozwlekle. I to już brzmi bardzo głupio. I wtedy raczej **trzeba** być chrześcijaninem. Akurat w tej sytuacji lepiej **nie** być chrześcijaninem. Znaleźć takie jagnię to już wystarczająco okropne, a jeszcze jak tak leży i **drwi** z twojej wiary!

¹² Bedemand – w dawnych czasach w Danii urzędnik kościelny, obsługujący pogrzeby i inne uroczystości.

– O rany. Wykazałeś się niezwykłą głębią zrozumienia i współczuciem, myszko – powiedział Krumme i pocałował go w szyję. Było to miłe, ale czuł się trochę nieswojo, kiedy Krumme tak długo siedział z nim w biurze. A co, jeśli zamek szafki nagle się zepsuje i jesienna kolekcja Eleonory wypadnie na podłogę? Albo Krumme kliknie w Ulubione na komputerze...?

– To ja wydrukuję to, co znajdę, i poczytamy sobie w kuchni. Hm? – powiedział.

Na szczęście właśnie zadzwoniła komórka Krumme, to była redakcja, jak się spodziewał. Krumme od razu zaczął się zastanawiać, od jakich fachowców powinien zebrać komentarze o zabójstwie rodziców, i rozmawiając, wyszedł z biura. Erlend wyszukał hotele w Trondheim i stwierdził, że najlepszy w mieście jest Rica Nidelven. Mieli tam przestronne małe apartamenty. Największe zajmowały dwa poziomy, ale w końcu nie będą aż tyle czasu spędzać w hotelu.

Krumme wrócił i pocałował go na pożegnanie.

– Nie mam pojęcia, kiedy wrócę, więc ty się po prostu połóż. Poza tym jutro przyjdzie tutaj Neufeldt, zapomniałem ci powiedzieć. Dobranoc, skarbie.

– Dobranoc – powiedział Erlend.

Kiedy tylko za Krumme zamknęły się drzwi windy, otworzył okienko Ulubionych i zaczął usuwać różne adresy. Bez trudu je znajdzie, wystarczy wpisać słowo **baby**.

Mimo wysokiej stawki pobieranej za godzinę Kim Neufeldt ubierał się jak kloszard. Przykro było patrzeć. Sprana koszulka bez żadnego *statement*, nie licząc paczki papierosów zawiniętej w rękaw. *Mon Dieu*, to były lata osiemdziesiąte! Wtedy **naprawdę** nikomu nie zależało! A jego włosy dawno nie widziały niczego poza nożyczkami do paznokci, sterczały na wszystkie strony, a on ciągle gmerał w nich rękami. Był obecnie na próbę hetero, jak Erlendowi udało się w końcu dowiedzieć, chociaż musiał dosłownie wyduszać z Krumme te informacje. Krumme nie znosił plotek, było to jego wielką wadą, której Erlend nie potrafił zaakceptować przez te dwanaście lat dzielenia stołu i łóża. Ploteczki, które przydawały życiu smaku! Poza tym sam nie nazywał tego plotkowaniem tylko **nieformalnym przepływem informacji**, to brzmiało znacznie lepiej.

Krumme poznał Neufeldta wiele lat temu, kiedy byli razem na wyprawie reporterskiej do zamkniętego Berlina Wschodniego, gdzie Neufeldt miał rodzinę i ułatwiał kontakty. Zwykle to przecież on sam znał ludzi, którzy mieli cokolwiek wspólnego z designem.

Był hetero w ośmiu przypadkach na dziesięć, powiedział Krumme, i ciągle zmieniał partnerki i partnerów. Krumme musiał przysiąc na pamięć swojej matki, że nigdy, przenigdy, nawet wtedy w Berlinie, nie pozwolił Neufeldtowi zabawiać się swoim ciałem. Ale Erlend potrafił sobie ich plastycznie wyobrazić w smutnych okolicznościach, pod czujnym nadzorem Stasi, jak przytulają się nocą w potwornym pokoju hotelowym, aby znaleźć ukojenie i pocieszenie w grzesznych, cielesnych rozkoszach. Krumme utrzymywał, że to tylko fantazje Erlenda. Zupełnie jakby fantazje się nie liczyły.

Siedzieli na tarasie dachowym i jedli sushi. Neufeldt chciał do jedzenia piwo zamiast Bollingera, chociaż Erlend mówił, że nie mają w domu japońskiego piwa, tylko zwykłego Carlsberga.

Głęboko pod nimi słychać było hałas z ulicy Gråbrødretorv gwar zadowolonych głosów dobiegał ze wszystkich restauracji z ogródkami. Po drugiej stronie na Peder Oxe stali ludzie, paląc papierosy i czekając na wolny stolik, wszędzie były tłumy, w tym sporo turystów. Erlend rzucił ukradkowe spojrzenie na rozporek Neufeldta, wydawał się zapadnięty, prawie pusty. To była pewna pociecha. Ile mógł mieć lat? Pięćdziesiąt? Był w niemal nieokreślonym wieku, na pewno dlatego, że tak niedbale się ubierał. Rowerowe szorty i stare sandały! Mógłby chociaż znaleźć jakieś spodnie w kolorze khaki sięgające nieco pod kolana, miał przerażająco brzydkie kolana, strasznie kościste. Erlend czytał gdzieś, że kolana są okropnie skomplikowane, mają

mnóstwo kości i ściągien, które ze sobą współpracują, a tu mógł zobaczyć tego ilustrację. Można było stracić od tego widoku apetyt, chociaż maki rozpląwały się w ustach. Wszedł do środka po nową butelkę Bollingera, a za nim Krumme, żeby wyjąć z nesesera zdjęcia.

– Na szczęście zrobiłem parę fotek silosów, kiedy tam byliśmy – powiedział Krumme, rozkładając je na stole. – Wszyscy oczywiście byli pogrążeni w smutku i szoku, ale udało mi się wymknąć i popstrykać.

– Tak, BOŻE, jak mi ulżyło, kiedy mi o tym powiedziałaś w samolocie do domu! Że też udało ci się nie stracić **całkiem** perspektywy w tym wszystkim! – zawołał Erlend.

Neufeldt przysunął do siebie zdjęcia i jednocześnie wyłowił z rękawa papierosa. Nie przypominał Jacka Nicholsona z *Lotu nad kukułczym gniazdem*, jeśli to właśnie sobie wyobrażał. Jamesa Deana też nie.

– Ktoś chce zapalić?

– Chętnie – powiedział Erlend. Miał Marlboro Light.

– Nie są jakieś przesadnie wielkie – powiedział Neufeldt.

– Sześć metrów średnicy, tak mniej więcej – poinformował Krumme. – I wysokie na trzy piętra. Przejście...

– Paszarnia – poprawił Erlend.

– ... też zajmuje trochę powierzchni.

– Hmm... Świetnie byłoby otworzyć je w pionie. Są okrągłe, więc kolosalnie zwiększyłyby to powierzchnię mieszkalną – powiedział Neufeldt.

– Co masz na myśli? – spytał Erlend.

– Przeciąć je oba, z góry na dół. Może w dwóch lub trzech miejscach w każdym, zwalić ściany, powiedzmy dwa metry od siebie, i wstawić grube szyby zespolone. Dwa miejsca w każdym zwiększyłyby obwód o cztery metry, a trzy miejsca – o sześć metrów.

– Niesamowity pomysł! – Erlend od razu to sobie wyobraził, wysokie szklane słupy, rozcinające ściany. – Ale czy to da się zrobić?

– Wszystko da się zrobić. To tylko kwestia kasy. I pozwoleń.

– Wiesz co – powiedział Erlend – w „Żółwiu”... no wiesz, taki super lokal niedaleko stąd...

– Wiem, gdzie to jest – odparł Neufeldt. – Jestem z Kopenhagi. Robią tam świetną zupę z homarów.

– Tak, jasne. Myślałem tylko, że skoro tyle podróżujesz...

– Ale co mają żółwie do silosów?

– Jest tam na ścianie masa napisów, właśnie przyszło mi do głowy, że między innymi...

– „Wielka polityka architektoniczna wymaga mnóstwa buldożerów”. Widziałem to – powiedział Neufeldt.

Erlend napełnił po brzegi swój kieliszek i opróżnił połowę.

Może powinien wspomnieć, że to właśnie on, nikt inny, zaprojektował całe to mieszkanie? Że kiedy je kupili, było w zasadzie surowym loftem? Że sam zdecydował, gdzie będą ściany, jak będą rozmieszczone pokoje, całe wnętrze, rozwiązania hi-fi, włoska kuchnia? Opowiedzieć też o olbrzymiej pracy, jakiej wymagało ułożenie wzorów przemysłowego parkietu tak, żeby przechodziły jeden w drugi prawie niewidocznie w przejściu między salonami? O tym, że cena za metr kwadratowy tego mieszkania nie była nawet o jedno øre niższa od ceny rajskich gniazdek, jakie Philippe Starek zbudował i wyposażył na Adelgade?

Gdyby Neufeldt spytał o toaletę, pominąłby toaletę dla gości i zaprowadził go od razu do łazienki. Tam **musiałby** skomentować akwarium, a to dawałoby naturalną okazję do przekazania,

że on sam właściwie też nie był nowicjuszem, jeśli chodzi o renowację dwóch silosów. Bezgranicznie irytował go fakt, że to nie on wpadł na pomysł powiększenia obwodu.

– Nie będą nam potrzebne buldożery, ale musimy wokół nich zbudować solidną konstrukcję, którą sami będziemy kontrolować – powiedział Neufeldt. – Wtedy po prostu wciągniemy na górę elementy... zaokrąglone betonowe słupy, powiedzmy, i zamontujemy między nimi szyby. Myślałem też o tym, żeby pociągnąć koncepcję przezroczystości. W stropach między piętrami.

– Co masz na myśli? – spytał Krumme.

– Podłogi z grubego szkła. Przepuszczające światło. Tu chodzi przede wszystkim o światło i oddech. Musimy **otworzyć**.

Erlend przełknął ślinę.

– To jest genialne – szepnął. – Przypomina mi to trochę podłogę w Hudson Bar w Nowym Jorku. Bo przecież na pewno tam byłeś?

– Oczywiście – odpowiedział Neufeldt i zmienił pozycję na krześle w taki sposób, że jego kolana stały się żywym wykładem anatomii.

– Podświetlona od spodu podłoga do tańca – powiedział Erlend.

– Starek jest fantastyczny.

– Podświetlenie to coś innego niż przezroczystość – rzekł Neufeldt.

– Naturalnie. Znasz go?

– Philippe'a?

– Tak.

– Nie przepadamy za sobą. To niedouczony gość, który potrafi tylko wymyślać najoczywistsze rozwiązania dla ludzi, którzy nie wiedzą, co robić z kasą. Robi przekombinowane rzeczy, a ludzie kupują te jego pomysły. Wanna w sypialni pod kryształowym żyrandolem. Takie rzeczy nawet **dziecko** potrafi wymyślić! Jednokolorowe designerskie sofy przed stołem z drewnianych bloków! Przeróżające.

Erlend skinął głową. Zrozumiał, że musi tu poruszać się jak po cienkim lodzie. Pojął też, że najlepiej, żeby Neufeldt nie wchodził do kuchni, gdzie może zobaczyć krzesła Cheap Chic Philippe'a Starcka.

– Przezroczystość jest w porządku – powiedział Erlend, opróżnił kieliszek i chwycił butelkę.

– To zlecenie to dla mnie mała przerwa między dużymi projektami, która może dać mi inspirację. No i przy okazji przyjacielska przysługa – oznajmił Neufeldt i uśmiechnął się do Krumme. Erlend pił.

– Poza tym kocham Norwegię, ale nigdy nie miałem tam żadnych zleceń do realizacji. Sami mają tylu zdolnych architektów. Na przykład Snohetta, należą do światowej elity.

– Pojedziesz z nami do gospodarstwa? W ten albo następny weekend? – spytał Krumme.

– W następny weekend będzie świetnie.

– No to jesteśmy umówieni – powiedział Krumme. – Będzie super, Kim!

– **NIE BEDZIE ŚWIETNIE!** – krzyknął Erlend, kiedy godzinę później za Neufeldtem zamknęły się drzwi windy. **Nie** zajrzał do łazienki.

– Ależ, myszko moja, nie będzie? O co chodzi? Większa powierzchnia i szklana podłoga?

– Nie będzie świetnie, jak z nami pojedzie! Nienawidzę go!

– Jesteś po prostu zazdrosny...

– To też. Ale on mnie po prostu zmiażdżył! Nawet **JEDNYM** słowem nie skomentował naszego mieszkania. Czy to nie jest trochę dziwne, jak uważasz? A ja **KOCHAM** Philippe'a Starcka! A teraz nagle nie mogę nawet o nim wspomnieć. I co za **KOLANA!** Odwołujemy całe to

zlecenie. Chyba, do cholery, sami sobie damy radę z pokrojeniem tych pieprzonych silosów i wstawieniem szklanych podłóg!

– Weź się w garść – powiedział Krumme, objął go ramionami i oparł głowę pod jego brodą. – Mamy tu po prostu dwóch geniuszy w jednym kotle, rozumiem, że jest ci z tym trudno, skarbie. Jesteś genialny, Erlendzie. On to widzi. Właśnie **dlatego** nic nie mówi o mieszkaniu. **I dlatego** tak reagujesz.

– Tak myślisz...?

Erlend objął go.

– Moim zdaniem polerowane drewniane bloki jako stoliki są okej...

– Przecież to ty zajmiesz się wnętrzem, myszko. Kim jest architektem, a nie architektem wnętrza.

– Uwierzę, jak zobaczę. Że **Kim** nie wprowadzi tam masy ograniczeń...

– Jak cię znam, to już zacząłeś planować tamte wnętrza – powiedział Krumme.

– A zacząłem! – Erlend puścił Krumme, wybiegł na taras i wrócił ze swoim kieliszkiem. – Ustawianie mebli przy zaokrąglonych ścianach nie jest takie proste. Myślałem o książkach. Książki zawsze tworzą przytulną, domową atmosferę, nawet jak się ich nie czyta.

– Ja je czytam.

– Ale tych nie możesz przeczytać – powiedział Erlend.

– To znaczy?

– Myślałem o tym, żeby pojechać do „Czarnego Diamentu” i zrobić zdjęcia półek z książkami. Uroczych półek, pełnych skórzanych grzbietów i złożonych napisów, może nieco nieporządnymi, albo sam przyniosę trochę bałaganu i tam powstawiam. Gazety, lornetka, miś siedzący w luce między tomami. I powiększę to na tapetę. Może w czerni i bieli, ale jeszcze nie zdecydowałem. No i przykleimy półki do ścian! A u dzieci myślałem o tapecie z półek w sklepie z zabawkami. Oczywiście w kolorach. Co o tym myślisz?

– Erlendzie. Mój kochany Erlendzie. Przewyższasz Kima Neufeldta o głowę. Kocham cię, będzie pięknie. Po prostu pięknie.

Erlend nie zamierzał wspominać ani słowem o tym, że pomysł ukradł **żywcem** z jednego z mieszkań Philippe’a Starcka na Adelgade.



ROZDZIAŁ 7

Kiedy wstała o wpół do siódmej, było już dwadzieścia stopni. Od razu otworzyła na podwórze okna kuchenne i oboje drzwi, jeszcze zanim włączyła czajnik. Trzmiel, bucząc, wleciał przez okno, uderzył prosto w jej nagie ramię, zmienił szybko kurs i ruszył do salonu. Poszła za nim i także tam pootwierała okna. Bezwzględne promienie słońca odsłaniały kurz i zużycie sprzętów; beznadzieję. Stała przed jednym z otwartych okien. Długi rząd kwaczących kaczek leciał nisko nad wodą w kierunku Borsy. Po co ze sobą rozmawiały podczas lotu? Żeby utrzymać pozycję w szeregu czy żeby podyskutować o celu podróży? Fiord był całkiem bezwietrzny i błękitny, fiord, w którym prawdopodobnie dałoby się wykapać, a ona już była lepka od potu, ale wołała poczekać z prysznicem, aż skończy obrządek w chlewie.

Kąpali się w Øysand, ci ludzie, którzy wiedli całkiem zwyczajne życie. Kaj Roger był tam z Boratem, który wpadł w zupełny amok pomiędzy zwałami wodorostów, wyrzuconymi na brzeg korzeniami drzew i dzieciakami, które chciały się z nim bawić. Kaj Roger chciał, żeby ona także z nim się tam wybrała, po wieczornym obrządku, uważał, że to bez sensu kłaść się tak wcześnie, to dopiero marnowanie letnich nocy, pięknych zachodów słońca, mogliby grillować, ona mogłaby wypić parę piw, a on potem odwiózłby ją do domu.

Dlaczego tak ją męczył? Gdyby tylko mógł po prostu robić to, za co mu płacą, i zostawić ją w spokoju. Nigdzie się nie wybierała, nie chciała niczego innego oglądać, nie chciała myśleć, z trudem wytrzymywała słuchanie radia, a gazety, które kupowała, przeglądała tylko szybko, i to też prawie z obowiązku, zanim oddała je dziadkowi. Nie chciała iść na plażę, nie chciała do miasta ani do Heimdal, jeść pizzy ani pić piwa w kawiarnianym ogródku, chciała tylko odwalić swoje obowiązki w gospodarstwie, zrobić zakupy w spółdzielni, a resztę dnia spróbować przespać. Ci z Oslo też ją męczyli, Sigurd, jeden z weterynarzy z jej kliniki, dzwonił wiele razy z pytaniem, co ona myśli o przyszłości i swojej współwłasności. Odpowiadała tylko, że nie wie, nie odczuwała potrzeby dzielenia się z nim myślami. Ostatni raz kiedy dzwonił, zirytował się i stwierdził, że to **do niej zupełnie niepodobne**. To co wobec tego jest do mnie podobne, zapytała, ale wtedy Sigurd też zaczął mówić o czasie, że należy dać jej go więcej. O co im wszystkim chodziło? Przecież każdy następny dzień był taki sam jak poprzedni! Upływ czasu nie robił najmniejszej różnicy, a może wprost przeciwnie. Jedyłą osobą, z którą dobrze było przez chwilę porozmawiać, był Gunnar, jej ojczym przez te wszystkie lata, godny zaufania i spokojny, który zawsze dawał sobie radę z licznymi humorami i wahaniem nastrojów matki. Usłyszeć jego głos było jak poczuć ostry smak koniaku wpływający do żołądka, jak spokój, w którym mogła cicho przysiąc, aż do chwili, gdy zaczął mówić o dziecku, którego właśnie oczekiwali z nową ukochaną, wtedy rozmowa się urwała. Nie miała siły rozmawiać o dzieciach, od razu myślała wtedy o własnym wieku, o tym ciele, które tylko przenosiła z miejsca na miejsce,

niewykorzystane. Skończyła rozmowę, kłamiąc, że musi coś zrobić, już nie pamiętała, co to było, tyle tylko, że pilne. Potem już więcej nie zadzwonił.

Margido przyzwyczał się do przynoszenia ze sobą numerów „Adresseavisen” z domu za każdym razem, kiedy przychodził sprawdzić, co się dzieje w magazynie trumien. Dziadek je porywał i szedł posiedzieć sobie z nimi na podwórzu. Godzinami mógł siedzieć w cieniu z wczorajszymi gazetami. Zazdrościła mu spokoju, tego starczego zwolnienia z odpowiedzialności. To, że Margido regularnie przychodził, stało się jasnym momentem w życiu dziadka, ale nie jej. Utrzymywał, że modli się za nią, i w zasadzie za każdym razem, kiedy o tym wspominał, miała ochotę posłać go do diabła, często mówił to na pożegnanie, tak trochę w biegu.

Modlił się? A cóż jej to mogło, do kurwy nędzy, pomóc. Jakie to miało znaczenie, kiedy leżała nocami bezsenne do drugiej-trzeciej, a myśli wirowały wokół spraw gospodarstwa i odpowiedzialności, ciągłych spojrzeń rzuconych jej przez Kaja Rogera, obietnic, które ze sobą niosły, kruchych fantazji, w których wychodziła mu na spotkanie? Kiedy budziła się i nie mogła nadziwić, że w ogóle można się obudzić, jak człowiek jest tak nieżywy ze zmęczenia? Powiedział, że teraz to od niej zależy, ma powiedzieć, kiedy mogą razem usiąść przy kuchennym stole i porozmawiać o całych tych finansach, o tym, co będzie dalej. Wystarczyło zadzwonić do rodzinnego prawnika, to on też przyjdzie. Nie chciało jej się wspominać, że już pracowała nad stosem rachunków ojca.

– Korzystaliśmy z adwokata Berlinga, jeszcze kiedy żył dziadek Tallak – powiedział kiedyś Margido. – Wtedy był świeżo po studiach i nieco szalony, ale teraz stał się mądrym i zorganizowanym człowiekiem. Załatwił wszystko, kiedy Tor formalnie przejął gospodarstwo po starym. Nie możemy tego już dużo dłużej odkładać, Torunn.

O sprawie jagnięcia w kościele nie chciał z nią mówić. Poinformował ją tylko krótko, że to on je znalazł. On i kościelny, i tak by się o tym dowiedziała, gdyby jego dwie pracownice, pani Gabrielsen i pani Marstad, przyjechały po trumny, kiedy on sam był zajęty pogrzebem.

Jednak wyraźnie widać było, że to zdarzenie mocno na niego wpłynęło. Na jego wiarę. Jego twarz wydawała się sztywniejsza, a głos ściszony. Na pewno uważał ją za głupią. Że nie rozumie, że człowiekowi chce się męczyć z przebaczeniem czegoś takiego. Mógłby przecież raczej modlić się o tych chorych ludzi, którzy to zrobili, zawiązali jagnięciu nogi i pysk i wrzucili je do bagażnika. Jakież niewypowiedziany lęk musiało cierpieć to małe zwierzątko, leżąc tam. Zostać tak wyniesione z gospodarstwa, rzucone na podłogę, by ktoś mu wreszcie poderznął gardło. Tak muzulmanie zarzynali zwierzęta. O tym wszystkim nie wspomniała Margidowi, ale też nie uważała, żeby to cierpienia owieczki były tym, co go najbardziej dręczy.

Wróciła do kuchni, czajnik elektryczny stał cicho i puszczał z dzióbka parę, czerwona lampka zgasła. Wsypała kawę rozpuszczalną do kubka i zalała wodą, na jedzenie nie miała siły. Gapiła się w kawę, grudki przyklejały się do ścianek kubka, nie rozpuściły się do końca we wrzątku. Gówniana kawa.

Usłyszała na schodach kroki dziadka, obie stopy stawiane na jeden stopień, zanim przeszedł do następnego. Jak na niego było wcześniej, ale on pewnie też męczył się w tym upale. Kiedy ostatnio brał prysznic? W tym gorącu musi częściej zmieniać mu pościel, skoro tak rzadko się kąpie. Poza tym w taką pogodę rzeczy szybko schły, powinna wyprać wszystko, co znajdzie w domu. Całe to przekłete gospodarstwo powinna wrzucić do pralki.

– Dzień dobry – powiedziała. – Woda akurat się zagotowała. Chcesz posiedzieć na dworze? Co chcesz mieć na kanapce?

– Tak, na dworze. Dżem.

Kupiła w spółdzielni cztery białe, plastikowe krzesła do używania na podwórzu, ale uznała, że poduszki będą już za drogie. Zamiast nich znalazła w szafie w jednej z sypialni cztery stare zasłony i położyła je na krzesłach, żeby nie trzeba było siedzieć i pocić się na gorącym plastiku. W stodole znalazła stary, długi stół, który wyciągnęła na dwór. Dziadek opowiadał, że w dawnych czasach ten stół stał na zewnątrz przez całe lato. Był zupełnie zszarzały. Błat składał się z szerokich desek, które wygięły się nieco w górę na styku dłuższych boków. Nie miała pojęcia, co miał na myśli, mówiąc dawne czasy. Kiedy sam był dzieckiem? Nic nie wiedziała o jego życiu, tylko o tym, którego nie miał, a i to niewiele.

Z salonu z telewizorem wziął parę gazet.

– Już je przecież czytałeś – powiedziała.

– Nie wszystko.

Minął ją, wychodząc, czuła, że pachnie skwaśniałym potem, nabrała ochoty, żeby kogoś albo coś uderzyć. Wyjęła chleb i ukroiła kromkę, posmarowała margaryną, która przez całą noc stała na dworze na ławce i teraz była niemal płynna, ciemnożółta, szybko wsiąkała w chleb. W piwnicy wciąż były dżemy po Annie Neshov. To może w taki właśnie sposób oszukuje się śmierć i wydłuża sobie życie, pomyślała, robiąc tyle przetworów, że ludzie potem jeszcze przez całe lata muszą wpychać w siebie owoce twojego wysiłku.

Dziadek był już zainstalowany w białym krześle z zasłoną w liliowe kwiatki, kiedy przyniosła mu kawę i kanapkę. Słyszała w chlewie niepokój. Świniom było gorąco i niecierpliwiły się. Bez przerwy wietrzyła, ale chlew był stary i nie miał elektrycznej wentylacji. A ponieważ świniom nie pocą się niczym innym poza końcem ryja, miały teraz ciężkie życie. Kaj Roger śmiał się z niej, gdy mu opowiadała, że w środku dnia idzie do macior i wyciera je mokrymi ręcznikami. Maluchy miały się dobrze, po prostu kładły się i przyjmowały sytuację spokojnie. No, ale one nie musiały dźwigać dwustu-trzystu kilo żywej wagi.

– W boksach będzie tylko więcej kałuż, Torunn. I więcej pracy dla nas. Maciorom wystarczy wietrzenie, kładą się, wiedzą, że jest za gorąco, żeby się ruszać.

Jednak kiedy sama była spocona jak Świnia, nie mogła pozbyć się myśli o tym, że one spędzają życie w zamknięciu. A kiedy kładła mokry ręcznik na ich barkach, przesuwając w tył dała, a potem wykręcała resztki wody tuż za uszami, stały całkiem bez ruchu, mrugając oczami. Gdy zabierała ręcznik, cicho chrząkały, tak jakby dziękując, ale na pewno wyobrażanie sobie, że to podziękowanie, było zupełnie żałosne.

– Przydałoby się parę dni deszczu – powiedział dziadek.

– Mówili, że jeszcze długo będzie solidny wyż.

– Wiem. Piszą w gazecie.

– Duńczycy przyjadą w następny weekend. Dzwonili kilka dni temu.

Równie dobrze mogła powiedzieć o tym teraz, tuż przed przyjściem Kaja Rogera, nie musiała dzięki temu wchodzić w szczegóły i informować o wizycie, o której niewiele wiedziała poza tym, że ma przyjechać architekt, razem z Erlendem i Krumme, i tymi **paniami**, jak je nazywał Erlend. Albo **ciociami**. Jakież człowiek bywa czasem głupi. Czy on naprawdę wyobrażał sobie, że będzie je traktował jak ciotki?

– Duńczycy? – spytał i spojrzał na nią uważnie. Może Erlend mógłby go ogolić, jak przyjedzie.

– Erlend i Krumme. I te dwie panie, z którymi będą mieli dzieci.

– A, one – powiedział i rozłożył jedną z gazet.

– No i architekt. Nie będą tu mieszkać. Ale pewnie tu będą jeść, nie wiem.

– Dobrze gotował. Ten Duńczyk. Na święta.

– Tak. To prawda. Robił bardzo dobre jedzenie.

– I co oni będą robić? W następny weekend? – spytał, a trochę dżemu spłynęło mu na podbródek.

– Oglądać gospodarstwo. Silosy. Chcą je wyremontować. Opowiadali przecież, jak tu byli.

– Tam śmierdzi kwasem mrówkowym. Nie da się w nich mieszkać.

– Zapach z czasem na pewno się ulotni. Wystarczy je dobrze umyć. A skoro już mowa o myciu, nie powinieneś może wziąć prysznic?

Nie odpowiedział. A w tym momencie przyjechał Kaj Roger, zatrzymał samochód na podwórzu, otworzył drzwi od strony pasażera, żeby szczeniak mógł wyskoczyć na ziemię i popędzić do nich.

– Jest twój kawaler – powiedział.

Nie spytała, kogo miał na myśli – szczeniaka czy Kaja Rogera.

– Powiedz, czy **nigdy** nie byłeś **w nikim** zakochany? – zapytała. Kaj Roger grzebał na tylnym siedzeniu samochodu.

Dziadek odchrząknął i spojrzał jej nagle prosto w oczy.

– Owszem – odpowiedział i rozszerzył nozdrza, wciągał teraz powietrze gwałtownymi haustami, tak jakby za chwilę miał się gwałtownie rozpląkać.

– Nie chciałam! – zawołała szybko. – Nie musisz...

– Co za niewiarygodne lato! – powiedział Kaj Roger, podchodząc do nich, w jednej ręce trzymał kość dla szczeniaka. Dziadek przewrócił kubek z kawą, sięgając po resztkę kanapki. Nic nie powiedział, tylko cofnął drżącą rękę i siedział tak dalej, patrząc, jak kawa wsiąka w porowate drewno.

– Przyniosę ci nową – zaproponowała.

– Nie.

Kaj Roger ruszył w stronę stajni ze szczeniakiem drepczącym tuż za nim.

– Przepraszam – szepnęła. – Nie chciałam... Przepraszam!

Wzięła kubek, weszła do środka i zrobiła mu nową kawę. Kiedy postawiła ją przed nim na stole, siedział ze ściśniętymi dłońmi na kolanach i zwieszoną głową. Gazety ześlizgnęły się na ziemię.

– Co się stało? Źle się czujesz...?

– Nie – odparł twardo.

– To musi być okropne zestarzeć się – powiedział Kaj Roger w chlewie. – Tak siedzieć i wszystko rozlewać. I na pewno się tego wstydzisz.

– Tak.

Zrobi dziś porządny obiad. Kotlety mielone zrobione od podstaw w domu, z purée z groszku. Mimo że było tak gorąco, że w sumie planowała zjeść suchary z kwaśnym mlekiem i dżemem. Z przykrością myślała o siedzeniu i jedzeniu razem z nim, tylko we dwoje. Włączała głośno radio albo udawała, że wysyła SMS-y. Stół był taki mały, siedzieli blisko siebie. Może trzeba było zaproponować obiad na dworze przy długim stole, nigdy tam nie jadali.

– Borat jest fantastyczny – powiedział Kaj Roger. – Wszystko rozumie. Ale na pewno nie byłoby tak świetnie, gdybyś nie nauczyła mnie tych wszystkich sprytnych ćwiczeń dla szczeniaków.

Prosiaki rzuciły się na jedzenie, żuły granulat z otwartymi pyskami, spoglądając po sobie żarłocznie, trącały się i kłóciły, merdając kręconymi ogonkami i przebierając spiczastymi raciczkami w przesiąkniętej moczem słomie.

- Trzeba dziś otworzyć wszystkie możliwe drzwi i okna – powiedziała.
- No i w południe czeka je przecież kąpiel, na pewno już się cieszą!
- Tylko maciory – zastrzegła.
- Możesz przecież spróbować zrobić maluchom prysznic. Aquapark w chlewie!
- Już je widzę – odpowiedziała.
- Powinnaś była wczoraj zobaczyć Borata na plaży...

Pozwoliła, żeby jego słowa przelatywały obok, nie słuchała, tylko uśmiechała się wtedy kiedy on. Wiedziała, że cokolwiek powie o psiej psychologii, będzie mu imponować. Kiedy potok wymowy zbliżył się do końca, powiedziała mechanicznie: – Pies postępuje zgodnie z jedną, prostą zasadą – **co mogę zrobić dokładnie teraz, co przyniesie mi korzyść**. Kiedy zrozumie, że najlepiej jest dla niego, jeśli jesteś z niego zadowolony, masz go w garści. Dobrze sobie radzisz.

- Tak myślisz? A więc nie uważasz, że wychowuję jakiegoś małego łobuziaka?

– Kiedy dojrzeje płciowo, tak około siódmego miesiąca, zapomni o wszystkim, czego się nauczył. Możesz wtedy mieć ciężki okres. Musisz wówczas szczególnie wyraźnie zaznaczać, kto tu rządzi, to okropnie ważne. Poza tym labradory to bomby hormonalne ze strasznym popędem płciowym. Ale jeśli tylko będziesz o tym wiedział, dasz sobie radę.

- On już teraz ujeżdża kocyk w swoim koszu! – powiedział Kaj Roger.

– To mu wolno, ale nigdy nie możesz mu pozwalać kopulować na twoich nogawkach. Mimo że jest mały i słodziutki i na razie jest to w miarę zabawne.

- Ostro próbuje, to prawda.

– Musisz zdecydowanie mówić na to nie, nigdy się na takie rzeczy nie zgadzaj. To z jego strony sygnał dominacji, nawet jeśli jest na tyle mały, że sam o tym nie wie. Działa instynktownie, a **instynkty** wiedzą, że w tym chodzi o dominację. Będzie smutny, jeśli mu się ostro postawisz, ale nie wolno ci się tym przejmować.

- Nie tęsknisz za pracą z psami, Torunn?

- Rozrzucę torf, a ty przynieś słomę, okej?

– Wystarczy złożyć wniosek o zmianę rodzaju działalności i otworzyć schronisko dla psów! Mogę ci pomóc!

- Nie chce mi się o tym gadać. Jest za gorąco.

Kiedy skończyli z chlewem i Kaj Roger pojechał, dziadek zebrał już gazety z ziemi. W sumie mogłaby sobie poradzić bez niego. Przynajmniej w taki dzień jak dziś, bez odstawiania małych, bez podnieconych macior w rui, przygniecionych na śmierć prosiaków i zdeptanych przez wielką matkę małych nówek. A na polach zboże stało wysoko, o to też nie musiała się martwić. Dziadek czytał, na niego to wszystko nie miało wpływu.

- Zacznę sprzątać w biurze ojca – powiedziała.

Nie podniósł wzroku.

- Albo może najpierw pojedę po zakupy. Potrzebujesz czegoś?

Nigdy wcześniej go o to nie pytała. Spojrzał na nią szybko i równie prędko opuścił wzrok, pokręcił głową.

- Myślałam o tym, żeby zrobić na obiad porządne mielone, co ty na to? Z groszkiem.

Kiwnął głową.

Na dodatek zamierzała kupić karton budyniu karmelowego i butelkę sosu o tym samym smaku. I gazety – „VG”, „Dagbladet” i „Sør-trønderen”.

– Pomyślałam, że możemy dziś zjeść tu na dworze.

Kiedy już rozpakowała zakupy, weszła do biura ojca i otworzyła okno, żeby dziadek widział, że jest tam w środku. W spółdzielni dostała stos pustych skrzynek po bananach.

Z siedzenia krzesła obrotowego wystawała wyściółka, powierzchnia biurka była zavalona papierami. Wszędzie widziała brudne odciski palców, na kartkach i kopertach. Ale teraz była na to przygotowana, już wcześniej szukała w biurze niezapłaconych rachunków i znalazła w szufladzie stos kopert. Po sprzedaży volvo wszystkie pieniądze, do ostatniej korony, dostał Rostad, weterynarz. Zaczęła zdejmować rzeczy z półek, sterty „Bondebladet”, „Menighetsbladet” i „Nationen”, broszury reklamowe z Coop, ulotki od Gilde, Eidsmo i Norsvin. Dwie skrzynki szybko się wypełniły. Segregatory z KSL¹³ zostawiła w spokoju, nie wiedziała, co z nimi zrobić, Kaj Roger lepiej orientował się w tym, co tam jest. Czasem brał je do kuchni, pokazywał i objaśniał, wypełniając różne formularze. Wiedziała, że uprawiają sztukę dla sztuki, nie spełniali już wymogów zapewniających wysoką jakość w rolnictwie i właśnie dlatego świnię z Neshov szły do rzeźni po najniższej cenie. Świnię były znakomite, ale formularzy nie wysyłała, więc to nie miało znaczenia. Ale tak czy owak dostarczali ich na tyle mało, że nie robiły się z tego wielkie sumy. Rozumiała, że demonstracyjna praca z segregatorami była tym, co Kaj Roger robił tylko po to, by pojęła, jak sprawy mogłyby funkcjonować.

Kiedy funkcjonowały.

Wyciągnęła kolejny segregator, którego cała zawartość wypadła na podłogę, masa wycinków z gazet, nie miały dziurek, tylko leżały luzem. Ukucnęła i szybko przejrzała wycinki. Z tego, co widziała, wszystko było o świniami i hodowli. Daty na górze wycinków wskazywały, że ojciec zaczął zbierać je wtedy, kiedy skończyli z produkcją mleka i przerwali się na świnię.

Kiedy Anna Neshov postanowiła, że Tor ma zacząć hodować świnię.

Niektóre kartki były pełne notatek i podkreśleń. **Chów. Stado hodowlane. Nowoczesna produkcja trzody chlewnej.** Czy on naprawdę kiedyś miał ambicje?

Jeden wycinek był o zgłaszaniu uboju przez Internet, dostawało się wtedy premię od kilograma mięsa. Zobaczyła oczami duszy ojca – jak to czyta, a potem starannie wycina z gazety i może zastanawia się, czy nie kupić komputera, nauczyć się tych wszystkich nowomodnych rzeczy. Kupić komputer za co? Uderzyło ją też i to, że wszystkie artykuły były naprawdę wycięte, nie wydarte, tylko starannie wykrojone nożyczkami, nawet te, które zajmowały całe strony i łatwo było je po prostu wyrwać. Fakt, że nie zrobił dziurek, wskazywał na to, że nie chciał tracić ani kawałka tekstu.

Wtedy na jednym wycinku zobaczyła swoje imię. **Pokazać Torunn!** napisane było niebieskim długopisem wzdłuż górnej krawędzi. Było to z „Bondebladet”, ledwie z marca tego roku.

Usiadła na krześle obrotowym i rozłożyła kartkę. „Hodowczyni, która wie, czego chce”. Lise-Marie Veistad miała trzydzieści lat. Przejęła gospodarstwo zaledwie dwa lata wcześniej, a teraz widać ją było w reportażu na zdjęciach, wskazującą na coś na wielkich, szczegółowych analizach hodowlanych wiszących na ścianie. Chciała być jednym z najlepszych hodowców, jak mówiła. Miała sześćdziesiąt rocznych macior. Na razie plasowała się lekko poniżej średniej, ale z przeżywalności prosiąt była zadowolona. Z wykształcenia agronom. Gospodarstwo zbudowano niemal od zera, od kiedy jej rodzice przejęli je w 1974 roku. **Pokazać Torunn.** Z pełnym nadziei wykrzyknikiem, postawionym niebieskim długopisem.

¹³ KSL – norweska organizacja do spraw nadzoru jakości produkcji rolnej.

Opamiętała się dopiero, kiedy z wycinka został już ledwie centymetr kwadratowy. Dziadek stał z głową w otwartym oknie i gapił się na nią. W oknie nie było zasłon.

- Torunn...
- Co jest?
- Krzyczałaś.
- Niemożliwe!
- Wydawałaś dziwne dźwięki.

Zaczęła zbierać kawałki papieru z kolan i podłogi wokół krzesła, fragmenty gazety były mokre, a nos miała zasmarkany.

- Nic się nie stało – powiedziała. – Wracaj i usiądź sobie. Zaraz zacznę robić obiad.
- Ale jest dopiero...
- Nic się nie stało, mówię przecież!

Nabrała w dłonie lodowatej wody znad umywalki w łazience i długo trzymała je przy twarzy, znalazła w szafce czysty ręcznik, wypuściła w niego mocno powietrze, wcisnęła palce do oczu, czuła, jak szorstka tkanina frotté drapie jej powieki. Zdała sobie sprawę, że nie wzięła prysznicza po chlewie. Musiała strasznie śmierdzieć w spółdzielni. Nigdy wcześniej nie zapomniała się umyć. Ściągnęła koszulkę i stanik, dzinsy oraz majtki i przestąpiła krawędź wanny. Dopiero kiedy skończyła, zauważyła, że zegarek ciągle ma zapięty na przegubie. Stała i patrzyła na niego, na pewno był wodoszczelny, wszystkie zegarki chyba takie były, rozglądała się, oddychając i słuchając własnego oddechu, patrzyła na dno wanny, jej krawędzie, ich kształt, na ściany, wzór płyt ze sztucznego marmuru na ścianach, napuchłe fugi między nimi, które wciągały wilgoć. Wyszła z wanny, żeby się wytrzeć, i zauważyła, że woda już wyschła na jej ciele, znów była spocona.

Wzięła z sobą dzinsy do kuchni i znalazła nożyce. Nie kupiła nowych, jak wcześniej planowała. Odcięła nogawki w połowie i włożyła spodnie, stała boso na twardym linoleum i myślała. Mogła obtoczyć mielone mięso w jajku albo mące ziemniaczanej z mlekiem, dawno już sama nie robiła kotletów. Mogła też je usmażyć bezpośrednio na patelni i tylko posypać pieprzem i solą. Ale wtedy to nie będą mielone tylko coś innego. Burgery? Nie, steki. Ale do tego raczej nie używa się zwykłego mielonego. Włączyła radio, usłyszała głos śpiewającego Erika Bye o kimś, kto zgubił najmniejszą szklaną kulkę ze wszystkich. Margido modlił się za nią. Wzięła paczkę papierosów, leżącą koło radia, wyjęła jednego i nie przejęła się tym, że stoi w domu, i tak wszystkie okna były otwarte. Zaciągając się po raz pierwszy, poczuła w tym normalność, spojrzała w dół na spodnie, na białe jak kreda nogi, co też ona robi. Żeby w ogóle poświęcać uwagę temu, że Margido się za nią modli. W chlewie wszystko było w porządku, zrobiła zakupy i wykapała się, nawet jeśli w złej kolejności. Popatrzyła ponad zazdrostką, siedział tam. Co to było, czego teraz znów żałowała. A tak, tego, że zapytała go, czy nigdy nie był zakochany. Jak bardzo się wtedy przestraszył. Tak właśnie było. Tego żałowała. Agronom, trzyletnie wykształcenie. Kaj Roger był agronomem. I miał starszego brata, który przejął rodzinne gospodarstwo. Sam został bez ziemi. Czy to dlatego przyszedł tutaj? Żeby dostać Neshov. Ją i Neshov, na pewno tak było. Neshov poprzez nią. Był młodszy od niej, przystojny, miły w obyciu, wszystko z nim było jak trzeba, mógłby mieć każdą, a jednak przychodził tutaj, rano i wieczorem, czy myślał, że ona tego nie widzi, czy uważał, że jest głupia i ślepa.

Włożyła niedopałek pod kran, a potem wrzuciła go do kubła na śmieci w szafce pod zlewem. Z całej szafki wydobywał się słodkawy i mdlący zapach. Wyjęła kubek i odstawiła go na bok. Wystawiła z szafki wszystkie środki czyszczące, między rurą spustową a ścianą znalazła prawą gumową rękawiczkę, ale lewej już nie. Wyciągnęła plastikowy worek z kubła i zawiązała go

mocno, potem długo i dokładnie opłukała wiadro pod kranem, a następnie napełniła je wodą z mydłem i ruszyła do szorowania szafki ciemnozieloną, ostrą stroną gąbki.

Kiedy wyszła, niosąc w lewej ręce półmisek z kotletami panierowanymi w jajku z solą i pieprzem, a w prawej – sztucce i serwetki, dziadek już sam przesunął swoje plastikowe krzesło do cienia po zachodniej stronie drewnitni.

– Nazwijmy to lunchem – powiedziała.

Rondel z purée z groszku nie parował, chociaż wszystko było świeżo ugotowane, tak było gorąco, on dalej siedział za rogiem drewnitni.

– Jest jedzenie – powiedziała. – Przy stole.

– Nie mam siły...

– Co ty mówisz? – Poszła za róg i stanęła przy nim. Gazety leżały w rzadkiej trawie, w lewej ręce trzymał dolną część sztucznej szczęki. Siedział zapadnięty na krzesło, nie reagując, chociaż musiał słyszeć, że podeszła tuż obok niego. Jego słuchowi nie można było niczego zarzucić.

– Nie mam już siły. Chcę do domu opieki.

– Przestań. Jedzenie stoi na stole – powiedziała.

– Pytasz mnie o... o... i... potem siedzisz w środku, ryczysz jak krowa, drzesz gazety i mówisz, że nic się nie stało... nie chcę tu być.

– No proszę cię. Przecież przeprosiłam. Chodź.

Chwyciła go za ramię, spróbowała podnieść, zaczął się szamotać, trafił w oparcie krzesła, sztuczna szczęka spadła na trawę, na jedną z gazet.

– Idź sobie!

Jego głos był zmieniony, prawie młodzieńczy. Teraz umrze, pomyślała, i to będzie moja wina.

– Znalazłam w zamrażarce konfiturę z żurawiny. Do kotletów – powiedziała.

Pochylił się na bok, wydał dziwny dźwięk, coś w rodzaju beknięcia, po którym nastąpił kaszel, który uznała za całkiem normalny.

– Nie sądzisz, że ja... nawet ty nie...

– Zjedźmy teraz – szepnęła. – Proszę cię. Przeprosiłam przecież. Załóż zęby. I zjemy.

Kiwnął głową kilka razy powoli i jakby z przesadą, z zaciśniętymi mocno oczami, tak jakby podjął jakąś decyzję.

– Tak – powiedział i podniósł się o własnych siłach, gdy ona cofnęła się o parę kroków.

Kiedy się położyli, zaproponowała, że zrobią przeciąg. O dziesiątej wieczorem były nadal dwadzieścia dwa stopnie, noc jak nic będzie tropikalna. Ponownie odrzuciła propozycję Kaja Rogera, żeby po obrządzeniu chlewu pójść na plażę. Dwa prosiaki posprzeczały się trochę, ale postanowili nie dzwonić do Røstada, miały tylko poranione uszy, mnóstwo krwi, ale szybko się zagoi, poza tym w szafce w umywalni mieli sporo penicyliny. Ten, który najbardziej ucierpiał, był ofermą w stadzie, najmniejszy ze wszystkich, całe rodzeństwo dręczyło go od pierwszej chwili. Od początku odpędzali go od należącego mu sutka, kiedy maciora układała się do karmienia.

– Otworzymy wszystkie okna i drzwi między pokojami, jakiś ruch w powietrzu wtedy chyba będzie – powiedziała.

Przyniosła czystą powłokę, której zamierzała użyć zamiast kołdry, nie potrafiła zasnąć, jeśli nie była czymś przykryta. On nie chciał. Starzy ludzie pewnie bardziej marzną, pomyślała, mają słabszą przemianę materii i lepiej znoszą upały.

Jej okno wychodziło na fiord, a dziadkowe na podwórze. Rankiem wpadało do niego słońce. Powinno być odwrotnie. Dopiero nad ranem temperatura w jej pokoju dawała się wytrzymać i można było spać, a wtedy musiała już wstawać. A on w zasadzie mógł wylegiwać się tyle, ile chciał, chociaż z gorąca pewnie nie był w stanie.

Dopiero kiedy położyła się do łóżka nakryta powłoką jako kołdrą, zauważyła, jak między pokojami wyraźnie przenoszą się dźwięki, kiedy drzwi są otwarte. Dziadek chrząkał, brzmiało to tak, jakby leżał zaledwie parę metrów od niej. Położyła się na wznak i patrzyła w sufit, w wąskie deseczki boazerii, pomalowane na biało, na wysoki połysk. W świetle letniej nocy były niebieskoszare. Oczyma duszy wyobrażała sobie Kaja Rogera i szczeniaka na plaży, tuż przed zachodem słońca. Sama mogłaby zobaczyć ten widok, gdyby usiadła na łóżku. Mogłaby napić się koniaku i wypalić ostatniego papierosa. Ale od dawna już nie smakowała koniaku, w spółdzielni nie sprzedawali mocnych alkoholi. Jutro kupi sobie sześciopak piwa. Dziadek znów odchrząknął. Dziś w nocy będzie słyszeć wszystkie dźwięki, jakie wydawało jego ciało, na pewno będą ją budzić. Ale teraz było już za późno, żeby zamykać dzielące ich drzwi.

Wtedy dziadek coś wyszeptał.

– Co? – spytała. – Co mówiłeś?

– Był... był ktoś.

– Co to znaczy? Ktoś...?

Nie odpowiedział. Nasłuchiwała tak intensywnie, że słyszała własną krew pulsującą w tętnicach. Ale on leżał u siebie bez ruchu i cicho oddychał. Leżeli tak przez wiele minut, aż usłyszała, jak sztuczna szczeka z chlupotem wpada do szklanki z wodą. Wtedy, odwracając wzrok ku sufitowi, powiedziała: – To dobrej nocy. Śpij dobrze.

– Dobranoc – wymruczał.



ROZDZIAŁ 8

Kobieta wylewała swoją frustrację do jego lewego ucha, a on w tym czasie prawą ręką próbował znaleźć tę niedużą broszurkę, która, jak wiedział, powinna leżeć w górnej prawej szufladzie biurka. Zmarł jej ojciec, we własnym domu, w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat. Była jedyną krewną, mieszkała we Flekkefjord i Margido właśnie poinformował ją, że mieszkanie jej ojca przypomina chlew. Oczywiście nie użył tego słowa, ale rozumiała, że dokładnie to miał na myśli. Kiedy wynosili ciało, mimo maseczek na twarzy musieli zatykać nosy i mocno oddychać przez usta. Podłoga w kuchni zasłana była śmieciami i odpadkami, blat zastawiony stertami garnków, pełnych zaschniętych i gnijących potraw, w salonie na stole i podłodze wały się gazety i reklamy, przemieszane ze skórkami od owoców, na poduszkach na sofie widniały duże, ciemne plamy. Łazienka stanowiła tragiczny obraz brudu na każdym poziomie, a materac, na którym leżało ciało, był ciemnożółty i błyszczący, nasycony potem i moczem, z prześcieradłem w postaci ciemnej, zrolowanej szmaty tuż przy ścianie.

Oburzona kobieta z sąsiedztwa nieco nadgorliwie opowiedziała, że staruszek nie chciał wpuszczać do domu pomocy domowej, że zakupy stawiano mu pod drzwiami i że zasmradzał cały korytarz za każdym razem, gdy schodził sprawdzić skrzynkę. To ona właśnie powiadomiła policję w momencie, kiedy do setki innych zapachów, snujących się wokół drzwi, dołączył nowy. Po zawartości skrzynki pocztowej policja oceniła, że mężczyzna musiał leżeć martwy przez jakieś siedem-osiem dni, a w tym upale to w zupełności wystarczyło. Przeniesienie ciała na nosze wymagało specjalnej procedury, zważywszy pewne niebezpieczeństwo, że ręce odpadną od torsu. Skóra była już sinoczarna i na sporej części biomasy kwitło bogate życie zwierzęce. Margido nieźle dawał sobie radę zarówno z widokiem, jak i zapachem, widział takie rzeczy już wcześniej. Od razu zaczął myśleć praktycznie, trzeba przede wszystkim wyjaśnić rodzinie, że zmarłego należy spopielić jak najszybciej, oczywiście po tym, jak patologowie wykluczą ewentualną podejrzaną przyczynę śmierci. Znacznie gorzej znieśli to wszystko dwaj policjanci, jeden rzygał dość długo w toalecie i powiedział później, że sam widok muszli klozetowej spowodował u niego podwójną porcję wymiotów.

Córka przez ostatnie dwa lata nie kontaktowała się z ojcem, a na pomoc społeczną nie miała co liczyć, gdyż ojciec był zbyt zdrowy, żeby dostać miejsce w instytucji, a poza tym sam odrzucał wszelką pomoc. A teraz w dodatku Margido potwierdził, że naprawdę wszystko wyglądało tam tak źle jak w jej najgorszych przypuszczeniach.

– Ale przecież są specjalne firmy podejmujące się sprzątnięcia mieszkań i domów po zmarłych. Przed ewentualną sprzedażą – dodał szybko, widząc, jak wciąga powietrze. Wyciągnął szufladę biurka na maksymalną odległość, broszura **musiała** znajdować się gdzieś tutaj. – Zajmują się również wywiezieniem wszystkich śmieci. Polecałem ich czasem wcześniej innym rodzinom i nigdy nie słyszałem nic poza...

Nalegała na referencje. Przypuszczała mianowicie, że ojciec miał w najdziwniejszych miejscach poupychane pieniądze w gotówce, a ona sama nie miała żadnej możliwości, aby przyjechać do Trondheim wcześniej niż na ewentualne pokazanie mieszkania. Dwa razy nie będzie miała siły jeździć tak daleko, dlatego musi „móc zaufać tym obcym, którzy będą grzebali w rzeczach ojca”.

– To biuro nazywa się „Freshy” i gdzieś tutaj na pewno mam ich folder!

Jeśli ona za chwilę nie przestanie gadać, będzie zmuszony udać, że połączenie zostało przerwane, czuł już ból w czaszce, narastający gdzieś za uszami. Drzwi do biura były otwarte, pani Marstad musiała go słyszeć, bo w tym momencie weszła do środka, z uśmiechem przewracając oczami, i tuż przed nim na biurku położyła jakąś karteczkę.

– Zaraz, zaraz. Właśnie. Wuwuwu, kropka, freshy przez „y”, kropka, en-o – powiedział.

Zapisała i podziękowała. Chciała, aby urnę z prochami przysłali do Flekkefjord, gdzie sama już załatwi pochówek. Z nieskończoną ulgą odłożył słuchawkę i poszedł do biura do pani Marstad.

– Dziękuję. Ta pani była dość męcząca – rzekł.

– Mógł jej pan również powiedzieć, że link do Freshy znajdzie na **naszej** stronie internetowej – powiedziała pani Marstad.

– Naprawdę? – zapytał.

– Tak. W zakładce „Specjalne potrzeby”. A skoro już pan tu jest... Zamawiam właśnie trzy nowe nakrycia na katafalk. Żebyśmy nie musieli być znów w takiej sytuacji jak wczoraj.

Nakrycie rozdarło się, kiedy poprzedniego dnia w kościele w Ladę przetaczali trumnę do głównego przejścia i materiał zaplątał się w kółko. Była to tylko i wyłącznie ich własna wina, skutek pośpiechu, ponieważ przybyli do kościoła w ostatniej chwili. Co prawda wypadek na drodze Innherredsveien, który całkowicie zablokował dojazd, absolutnie nie zdarzył się z ich winy, ale powinni byli tak czy owak uważać, układając nakrycie na katafalku. Kościelnemu udało się zdobyć gdzieś zszywacz i dzięki temu mogli prowizorycznie połączyć nakrycie wzdłuż jednego brzegu.

– Świetnie – rzekł Margido. – A jutro dzień przeprowadzki.

– Czy jest pan pewien, że nie muszę panu towarzyszyć?

Stanem magazynu z trumnami zajmowała się pani Marstad, wszystko znajdowało się u niej w komputerze.

– Przecież już mówiłem, nie musi pani. Wszystko zostanie przeniesione w takim samym systemie, jaki mamy dzisiaj, sam tego dopilnuję. W swoim czasie, jak wszystko będzie na miejscu, i tak przejmiecie nad tym nadzór. To będzie świetny magazyn, stolarz zrobił kawał dobrej roboty. I za rozsądną cenę, nawet po dodaniu VAT.

– To brzmi dobrze. A pan wygląda teraz na kogoś w trochę lepszym humorze, o ile wolno mi tak to ująć.

Ułożył usta do uśmiechu. – Dziękuję. Już jest lepiej. No i przecież to nie we mnie było wymierzone. Nie mogę tego brać do siebie.

– Ale ten szok – powiedziała. – Tak, wiem, że do tej pory nie chciał pan o tym rozmawiać, ale...

– Nie. To nie było specjalnie przyjemne. Ale ostatecznie nabożeństwo ładnie wypadło.

– W gazecie nazwali to objęciem kościoła z powrotem w posiadanie.

– Na pewno takie mieli uczucie, wierni z tamtej parafii. Że biorą kościół w posiadanie z powrotem po tym, jak został użyty do zupełnie innego celu. Tak ujął to ksiądz. Za punkt wyjścia przyjął fragment z Ewangelii św. Mateusza, kiedy Jezus wygonił faryzeuszy ze świątyni.

– Ach tak, ten. Ja nie jestem aż tak obyta z Biblią, wie pan. Ale to właśnie tam on ich wygania, tych sprzedawców?

– Handlarzy i sprzedawców gołębi, jest napisane. Jezus mówi, że świątynia Boża ma być domem modlitwy, a zamiast tego stała się jaskinią zbójców. Poza tym ksiądz wygłosił modlitwę własnymi słowami, że złe siły muszą odejść, a dobre zwyciężyć. To było ładne.

Sam słyszał, jak dawkuje opowieść teraz, kiedy w końcu czuł, że to wszystko ma już za sobą i że jest w stanie podzielić się tym przeżyciem z innymi.

– Coś na kształt wypędzania demonów? – zapytała pani Marstad z pewnym wyrazem głodu w spojrzeniu, wyrazem, którego nie lubił. Wiedział, że czytuje wiele dziwnych rzeczy.

– Nie, nie, nie. Ależ skądże. To by oznaczało, że traktujemy tych wandalów nazbyt poważnie. Ksiądz skupił się raczej na tym, że kościół został wykorzystany niewłaściwie, niezgodnie ze swoim przeznaczeniem. Chyba najlepsze jest **stonowanie** nieco całej sprawy zamiast rozgrzebywania, jakie to było okropne. Wtedy zło wydaje się jeszcze większe.

– Tak, bo to przecież było zło? – powiedziała.

– Tak. Nie. Nie jestem do końca pewien. Ale teraz już jest po wszystkim. Teraz znów są tam zwyczajne nabożeństwa.

– W *Kodzie Leonarda da Vinci* znajdują zwłoki, które są ułożone dokładnie tak samo jak to jagnię! – powiedziała z ożywieniem pani Marstad. Zwrócił uwagę, że miała chęć opowiedzieć mu o tym już następnego dnia po zdarzeniu, kiedy w gazetach pokazano zdjęcie jagnięcia leżącego w odwróconym pentagramie. Wiedziała bardzo dobrze, że on nie lubi tej książki i nie zamierza jej nigdy czytać.

– Tego dowiemy się być może wtedy, kiedy policja ich znajdzie. W co raczej wątpię – rzekł. – Muszę teraz wyjść coś załatwić. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będę za godzinę.

Nie zapytała, co takiego miało pójść dobrze, widział, że jest głęboko pogrążona we własnych rozważaniach. Powinna raczej zwrócić się do Pisma Świętego i zobaczyć, jakie skarby może tam znaleźć, zamiast ciągle dać się nabierać na pełne spekulacji, wymyślone głupstwa.

Od dawna to odkładał. Nie znosił kupowania ubrań. Wizyta z Kopenhagi stanowiła idealną okazję, aby zmusić się do zakupowej aktywności. Potrzebował nowych majtek i skarpet, koszul, a także nowego letniego garnituru. Za pośrednictwem Torunn dowiedział się, że Erlend nie był przesadnie pozytywnie nastawiony do magazynu trumien, dlatego chciał w czasie ich pobytu używać białego citroena i chodzić w jasnym garniturze. Chyba więcej nie będzie potrzeba, żeby uspokoić Erlenda.

Ekspedient chciał znać jego dokładną miarę w talii. Wiedział, że tak będzie. Może dlatego właśnie zawsze odkładał zakup garnituru. Odczuwał to jako wyjątkową nieprzyjemność; odchyłał głowę do tyłu, odstawiał ręce od ciała i gapił się w sufit, zbudowany z dużych, stalowych kwadratów, z żarówką pośrodku każdego. Sprzedawca zmierzył mu również szerokość z tyłu w ramionach.

– Co by pan powiedział na lniany garnitur? Jest bardzo przyjemny w takie upały – rzekł sprzedawca.

– Czy one nie za mocno się gniotą? Zwłaszcza z tyłu na marynarce? Widziałem coś takiego.

– **Mają** się gnieść. Wie pan, to trochę jest w **modzie**. Nawet Rokke przychodzi na ważne spotkania zarządu z pogniecioną z tyłu marynarką.

– Nie – powiedział Margido. – Nie lubię pogniecionej marynarki. A ten facet nawet nie używa skarpetek do butów.

– To może wobec tego lżejszy garnitur bawełniany. Albo jedwabny. Ale może akurat pan nie jest typem, który...

– Absolutnie nie jedwab – rzekł Margido.

Kwadrans później stał przed lustrem w bardzo wygodnym garniturze, co do którego koloru sprzedawca nalegał, aby nazywać go **piaskowym**. Margido nazwałby go jasnobrązowym, ale nie powiedział tego głośno. Był z syntetycznego materiału i podobno w ogóle miał się nie gnieść.

– Czy macie ten garnitur również w innych kolorach? – zapytał.

– Ale sądziłem, że pan chce jasny?

– Mam na myśli, **dodatkowo** do tego.

– Ach, o to chodzi! Tak, mamy go też w średnim brązie, w kolorach ciemnobrązowym oraz ciemnoniebieskim i czarnym.

– To poproszę jeszcze jeden w średnim brązie i jeden czarny. I potrzebuję koszul. Białych. Zupełnie zwykłych.

– Koszule nylonowe doskonale się noszą w tym upale. Nie kleją się. Znaczą, skoro nie lubi pan jedwabiu.

– Nylon może być. Właśnie to miałem na myśli, mówiąc o zwykłych koszulach.

W czasie, gdy sprzedawca krzątał się wokół kwestii garniturów, znalazł dla siebie majtki, które oczywiście nazywały się bokserki, nigdy nie zdołał przyzwyczaić się do tego określenia. Wybrał też dziewięć par skarpet i postanowił, że tego samego wieczoru przejrzy całą szufladę ze skarpetkami i zwyczajnie **wyrzuci** wszystkie z prześwitującymi palcami. Nie lubił wyrzucać ubrań, które jeszcze nadawały się do użytku, ale miał już dosyć naciągania na stopy skarpetek cienkich jak gaza. Zamierzał przejrzeć również majtki. Zauważył krawaty i stał przez chwilę, przyglądając się im, przydałoby mu się kilka nowych. Sprzedawca znalazł się tuż za nim.

– Czy ma pan odpowiednią koszulę do tego piaskowego garnituru? – zapytał.

– Odpowiednią?

– Biała koszula nie pasuje do jasnego garnituru. Wybrałbym raczej T-shirt. Może błękitny? Dobrze panu w błękicie, widać to od razu.

Margido nigdy w całym swoim życiu nie miał T-shirta, co najwyżej ciepłą bieliznę, którą wkładał zimą pod zwykłą koszulę. Żaden kościół nie mógł sobie pozwolić na elektryczne ogrzewanie i siedzenie w bezruchu podczas pogrzebu czy nabożeństwa przyprawiało często o nieznośne uczucie zimna. Poza najbliższą rodziną wszyscy obecni w kościele siedzieli najczęściej w płaszczach, ale on nie mógł tak zrobić. To po prostu nie wypadało, a już na pewno nie wtedy, kiedy to jemu przypadało w udziale odczytanie ostatnich pożegnań ze wstęp. Niekiedy, choć rzadko, siadywał całkiem z tyłu i wtedy ukradkiem nasuwał na siebie płaszcz, zazwyczaj jednak był widoczny, rodzina zmarłego musiała mieć z nim kontakt wzrokowy i wtedy formalny garnitur był niezbędny.

– T-shirt? Czy na nich przypadkiem zawsze czegoś nie ma? Z przodu? Rysunek albo...

– Ależ skąd. Mamy też zupełnie neutralne. Będzie panu w nich dobrze. Mogę przynieść tę jasną marynarkę i włożyć do środka T-shirt, sam pan zobaczy, jak to będzie ładnie.

Kupił trzy T-shirty. Jeden bladoniebieski, jeden cynamonowy i jeden dokładnie w takim kolorze jak garnitur. Oraz trzy nowe krawaty w stonowanych szarych odcieniach. Kiedy w końcu przeciągał kartę przez czytnik, pocił się tak, że ciekło mu po plecach. Kwota była znacząca.

– Chyba niezbyt często kupuje pan nowe ubrania – powiedział ekspedient z uśmiechem.

– W sumie nie.

Potrzebował również pary nowych butów, ale już w tej chwili zupełnie nie miał na to siły.

Następnego ranka włożył jasnobrązowy garnitur na białoniebieski T-shirt i przejrzał się w lustrze. To było zbyt szokujące. Zmienił T-shirt na cyrkonowy. Kilka włosków z klatki piersiowej wystawało mu góra, to mu się nie podobało. Godzina była już późna, zaraz miał spotkać się z ludźmi od przeprowadzki magazynu. Z góry zakładał, że będą mieli rozliczne komentarze na temat przenoszenia pustych trumien i sprzętu pogrzebowego i już się tym stresował. Dlaczego nie można było wkładać białej koszuli do jasnobrązowego garnituru? Zdjął z siebie T-shirt i znalazł białą koszulę, górne dwa guziki zostawił niezapięte, na dworze było już dwadzieścia jeden stopni, a on zaczynał się pocić. Unikał patrzenia w lustro, a potem wyszedł z mieszkania. W sumie cieszył się na nadejście zimy, mimo zimnych kościołów. Wtedy będzie mógł chodzić do sauny i sam decydować, kiedy chce się spocić. W tym gorącu nie było na to rady, a to dawało mu poczucie braku kontroli.

Poranne słońce nagrzewało już Citroëna, zanim ruszył opuścił do końca szyby po obu stronach. Obiecali przyjechać bardzo dużym samochodem, cały magazyn miał zostać przeniesiony za jednym razem.

Dziwnie było o tym myśleć. Że odtąd Neshov będzie dla niego bazą ze sprzętem. Nigdy by się to nie udało, dopóki żyła matka.

Pani Marstad i pani Gabrielsen spakowały wszelkie ruchomości z magazynu do skrzynek, które dokładnie oznaczyły. Cała przeprowadzka sprowadzała się tylko do noszenia. Przyjechało dwóch mężczyzn, a on sam nosił segregatory i sprzęt biurowy do swojego samochodu. Pani Marstad nalegała, aby w magazynie stał komputer, do którego można będzie wprowadzać to, co się zabiera, ale Margido się nie zgodził. Zamiast tego zebrał wszystko w segregatorze, z którego pani Marstad regularnie przenosiła dane do swojego bezcennego komputera. Za żadne skarby nie był w stanie dostrzec w komputerze jakiegokolwiek finansowej oszczędności. Wszystko jedno, czy pisało się na klawiaturze, czy ręcznie, celem było utrzymanie kontroli. Jemu zawsze udawało się wszystko nadzorować, a tu nagle okazuje się, że zapiski ręczne są całkowicie nie w modzie. To nie miało sensu. Powstała wokół tej sprawy jakaś histeria. Dostawca nagrobków zaczął nawet wysyłać mu faktury e-mailem. Człowiek nie miał pojęcia, że faktura w ogóle przyszła, o ile nie miał przed sobą sterty poczty do przejrzania. Na szczęście pani Marstad wyczuwała jego niepokój związany z tą sprawą i zaczęła mu te faktury drukować oraz kłaść je na biurku razem ze zwykłą pocztą.

Ludzie od przeprowadzki bez ustanku ze sobą rozmawiali mimo całego przeprowadzkowego zamieszania. Na szczęście niewiele odzywali się do Margida, co ten bardzo doceniał. Rozmawiali o pogrzebach w swoich rodzinach, o różnych osobistych doświadczeniach, załamaniach nerwowych nad otwartymi grobami, matka jednego z nich fizycznie rzuciła się do grobu za trumną ojca, powstało zamieszanie nie do opisania. Margido pamiętał podobne zdarzenie, uznał jednak, że nie dotyczyło ono człowieka od przeprowadzki, ponieważ mówił on po szwedzku. Pracowali z zaangażowaniem i ostrożnością, nie niszcząc opakowań transportowych ani nie uderzając o nic trumnami. Zawsze cieszył się, będąc świadkiem profesjonalizmu, bez względu na to, jakiej branży dotyczył. Ludzie posiadający dumę zawodową, znający się na tym, co robią – oto, na czym opierało się całe to społeczeństwo.

Kiedy na kilka minut przed ciężarówką od przeprowadzki wjechał na podwórko w Neshov, stary właśnie przesuwając szarpnięciami swoje krzesło za róg drewnianej, do cienia. Torunn nigdzie nie było widać. Wyłączył silnik i wysiadł w ciszę, tę szczególną ciszę podwórka, wypełnioną śpiewem ptaków i cichym szumem niczego, może to był odgłos fiordu tam w dole, szum widoku

na góry w oddali i budynków, które zamykały przestrzeń podwórka. Nagle przypomniał sobie, jak bardzo brakowało mu tej ciszy przez owe siedem lat, kiedy jego noga tutaj nie stała, po ostatniej kłótni z matką. Jeśli jednak próbował spojrzeć na gospodarstwo obcym okiem, najbardziej rzucał się w oczy wszechobecny rozpad. Tak zobaczą to panie Marstad i Gabrielsen: farba łuszcząca się ze wszystkich ścian, stłuczone szyby w oknach na pierwszym piętrze, zatłakane od wewnątrz pustymi workami po paszy, stary złom metalowy, wystający spod podjazdu do stodoły. To, co kiedyś było szopą, zapadło się obecnie po jednej stronie. Wokół leżały zardzewiałe felgi oraz krzywa przyczepa z jednym kołem. Zaczął już powoli przygotowywać panie na ten widok, sądziły oczywiście, że grubo przesadza. Dlatego lepiej było, żeby magazyn był gotów, kiedy tu przyjadą, ze wszystkim ułożonym w nienagannym porządku i według systemu, to stworzy dobrą przeciwwagę dla innych, mniej korzystnych wrażeń.

Duńczycy też zobaczą gospodarstwo w szczycie upadku, znacznie lepiej byłoby, gdyby pierwsze wrażenie zostało nieco ukryte pod miłosiernym śniegiem. Obstawiał, że ten architekt, którego tu ze sobą mieli przywlec, odwróci się na pięcie, widząc, jaki bezmiar bałaganu oznaczały te plany z silosami.

– Samochód z przeprowadzką jest tuż za rogiem – rzekł Margido.

– Przeprowadzka...? – Staruszek odwrócił się w jego stronę, przekreślił tylko tułów bez ruszania nóg i stał tak jak chude, zakręcone „s”. Był w domowych pantoflach, twarz miał nieogoloną i opaloną w dziwne, asymetryczne plamy, z których łuszczyła się skóra.

– Gdzie jest Torunn? – zapytał Margido. Musiała przecież mieć jakiś krem, którym mogłaby posmarować starego albo mu go dać, żeby zrobił to sam. I na jakieś elementarne golenie też chyba mogła znaleźć czas.

– Przeprowadzka...? – powtórzył stary z półotwartymi ustami, nagle wyglądał na przestraszonego, kąciaki ust zaczęły mu drżeć.

– Przecież przenoszę tutaj mój magazyn. Żeby trochę poprawić finanse gospodarstwa. No i dla mnie też będzie to bardzo praktycznie – rzekł Margido.

– A. Magazyn, tak – powiedział stary i ponownie skupił się na krześle, złapał je za podłokietniki, jakby ważyło tonę, chociaż było to tylko lekkie, plastikowe krzesło, i odrobinę przesunął je do przodu.

– Zrobię to, poczekaj – rzekł Margido. Stary natychmiast puścił krzesło i oparł sobie dłonie na kręgosłupie.

– Trumny, tak. W stodole? Pracowali tam cały czas. Co za łomot.

– Hałasowali?

– No taki zwykły hałas stolarski. Dużo łomotu od maszyn. Kiedyś używało się piły i młotka. A teraz tylko maszyny. Nawet nie potrafią wkręcić zwykłej śrubki, do tego też muszą mieć maszynę.

Dawno już nie słyszał, żeby staruszek wypowiedział tyle słów naraz. W tym samym momencie w ślimaczym tempie nadjechała ciężarówka, wjechała na podwórko. Kołysała się mocno na boki, mogła łatwo zahaczyć o ściany i drzewa.

– Pewnie ja też wyjadę w jednej z nich któregoś dnia – rzekł stary.

– W ciężarówce? – zapytał Margido, chociaż zrozumiał od razu, że staruszek miał na myśli trumny. – Tą drogą wszyscy pójdziemy. Gdzie jest Torunn?

– W środku. Pierze.

– W tym upale?

Pokazał ludziom od przeprowadzki wszystko co trzeba, wyjaśnił, gdzie mają stać różne typy i rozmiary trumien, i poszedł do domu. Nie było jej w kuchni, ale w salonie z telewizorem wielkie, podwójne drzwi do głównego, odświeżonego salonu były otwarte. Coś natychmiast go tknęło, tam w środku nie był od ostatniej wigilii. Zatrzymał się gwałtownie pomiędzy telewizorem a jednym z foteli. Płakała. Czy usłyszała już jego kroki, czy też mógł jeszcze zawrócić? Płacz to była część pracy. Nagle przyszło mu do głowy zdanie z filmu *Sześć stóp pod ziemią*: *You never get used to the sound of deep grief*¹⁴. A gdyby weszła teraz do salonu i zauważyła, że on ucieka... Stał tak i słuchał jej płaczu, była w nim spora doza wściekłości. Nie złości, nie rezygnacji, nie szoku, ale czystej, pełnej rozpaczliwej wściekłości. Powoli podszedł do drzwi, widział już delikatny półmrok salonu, grube wełniane portiery zasłaniały okna do samej podłogi.

Stała oparta ramieniem o ścianę, przy stopach miała porzucony odkurzacz. Stół był pusty i ujawniał świeże, wilgotne kręgi od ścierki. Na podłodze stało wiadro pełne martwej, szarej wody bez piany. Przez jego brzeg przewieszona była ścierka. Szybko rozejrzał się po reszcie pokoju, tak rzadko tutaj zaglądał. Ściany zbudowane były z wygładzonych drewnianych bali, pomalowanych wieki temu na jasnozielony kolor, tu i ówdzie wisały na nich tkane bieźniki. Otwarte palenisko było ciemne i puste, w środku na czarnym łańcuchu wisiał żeliwny garnek.

– Torunn...?

Podniosła na niego wzrok.

– Czy w czymś mogę ci pomóc, Torunn?

– Pomóc mi? – pociągnęła mocno nosem, nagim przedramieniem obtarła sobie górną wargę. Wydawała się taka mała, i miała rację, co to mogło pomóc, że się za nią pomodli.

– Tak. Pomóc ci.

– Ten pieprzony odkurzacz całkiem się rozleciał. Coś się tam przepaliło, widać było płomień. I mam w dupie to, że przeklinam. W sumie.

– Ten elektroluks ma pewnie ze dwadzieścia lat. Już chyba zakończył swoją pracę – rzekł.

– Ale ja nie zakończyłam! Oni chcą tu jeść. Tak sądzę. Erlend coś o tym wspomniał. Że Krumme będzie gotował. A wtedy nie starczy dla wszystkich miejsca w kuchni. A tutaj w ogóle nie wygląda! Kiedy zachodzi słońce... a oni oczywiście będą chcieli jeść obiad wieczorem, nie o normalnej porze, do której przyzwyczailiśmy się z dziadkiem. Nie, skądże, oni będą jeść późnym wieczorem, kiedy słońce leży tu dosłownie na płask i wszystko widać! Prawdę mówiąc, zaczęłam nawet odkurzać ściany, między balami jest pełno pajęczyn, zwisają też długimi frędzlami z sufitu!

– Ale po prostu kupimy nowy odkurzacz, Torunn.

– My...?

– Pojadę i kupię go od razu – rzekł.

– Ale co to pomoże, co?!

Zaczęła znowu płakać, przykładając obie dłonie płasko do twarzy.

– Jeżeli odkurzacz się popsuł, to chyba nowy jest jakimś rozwiązaniem?

Żałował bardzo, że nie ma odwagi jej przytulić. Była co prawda jego bratanicą, ale to było niemożliwe.

– Nic nie rozumiesz! – powiedziała spomiędzy palców. – Wszystko tutaj wkrótce się rozleci! Prędko też szwankuje i nie opróżnia się z wody, dopóki jej nie kopnę! Kuchenka potrzebuje czterech lat, żeby zagotować wodę na ziemniaki! ZWARIUJE od bycia tutaj!

– Ale powiedziałem przecież, że my...

¹⁴ (Ang.). Nigdy nie przyzwyczaisz się do brzmienia głębokiego smutku.

– To w ogóle nie o to chodzi! Ja przecież nie wiem, czy ja chcę! A teraz przyjedzie Erlend i sądzi, że ja...

– To za dużo dla ciebie opiekować się jeszcze starym. Musisz na pewno...

Zdjęła ręce z twarzy i gapiła się na niego.

– Nie mów złego słowa o moim dziadku. Jego jest żal.

– Przecież wiem – rzekł Margido. – I ty wiesz, że zrozumiałem to już dawno. I że dlatego pokłóciłem się z matką i że ja...

– Znacznie bardziej go żal, niż ci się wydaje, tyle ci powiem!

– Ach, tak?

– Tak.

Spojrzała w bok, opuszczając ręce wzdłuż ciała, Margido czuł, jak kolejne krople potu spływają mu między łopatkami i docierają aż do paska od spodni. Byłoby mu bezwzględnie lepiej w T-shircie z krótkimi rękawkami. Wciągnął głęboko powietrze i powiedział: – Kiedy ludzie od przeprowadzki skończą, pojedę kupić odkurzacz. Mogę również kupić pralkę. Chcesz?

– Odkurzacz jest najważniejszy. Ale sam zdecyduj, proszę – powiedziała cicho.

– A co z kuchenką?

– Nie, nie trzeba. Mamy tu w końcu czas. Możemy sobie poczekać na ziemniaki.

Zrozumiał, że teraz może sobie już pójść, i tak właśnie zrobił.

Ludzie od przeprowadzki wnieśli wszystko do magazynu i mógł teraz zacząć odpakowywać skrzynki. Ułożył ładnie na miejscu chusteczki do przykrywania twarzy i koszule trumienne, postawił też na miejsce wazony do kwiatów oraz postumenty do dekoracji kwiatowych. Skrzynki ze świeczkami w kubeczkach oraz zwykłymi świecami wsunął po prostu na półki. Następnie wypakował nową lampę do pracy, którą chciał mieć na biurku, i podłączył ją do prądu, wyjął teczki i segregatory, układając je w gotowości. Pani Gabrielsen zadzwoniła zapytać, jak mu idzie.

– Wszystko zgodnie z planem – powiedział. – Ale mam później sporo innych spraw do załatwienia, czy w biurze jest coś bardzo pilnego?

Nadeszły dwa nowe zlecenia, jedno ze Świętego Olava, drugie z domu opieki. Ponieważ żadne z nich nie wiązało się z koniecznością obrządzania zwłok w prywatnym domu, mogły zająć się obydwoma, powiedziała. Ani ona, ani pani Marstad nie lubiły wizyt domowych, gdzie trzeba było przygotować zmarłego do pogrzebu na miejscu, jeśli jednak w grę wchodziła jedynie wstępna rozmowa dotycząca nekrologu oraz wyboru trumny i podobnych spraw, radziły sobie z tym nieźle. Uzgodnili, że każda zajmie się jednym zleceniem.

Pojechał do firmy Expert w Nidarvoll, gdzie sam dwa lata temu kupił nowy odkurzacz. Nie zamierzał na pewno kupować takiego samego, bo jego końcówka była zupełnie beznadziejna, odwracała się w każdym innym kierunku niż pożądanym.

Znalazł ładny, mały, czerwony odkurzacz i nawet sprawdził, czy końcówka odwraca się prawidłowo, przeciągając ją kilkakrotnie po podłodze w sklepie. O pralkach nie miał zielonego pojęcia, jego własna stała tam sobie przez kolejne lata i zawsze działała.

– Ta tutaj ma obroty równe tysiąc sześćset – powiedziała sprzedawczyni. – Wtedy ręczniki i pościel wyjmują się prawie suche, wystarczy je na chwilę powiesić albo wrzucić do suszarki. Ma pan suszarkę?

– Nie, ale to nie ja mam... Ile ona kosztuje?

Sam suszył ubrania na rozkładanej suszarce w dużym pokoju, rozstawiał ją na podłodze, kładąc się do łóżka, a następnego ranka wszystko było suche.

– Przy tej pogodzie nie potrzeba chyba żadnej suszarki, jeśli tylko można powiesić pranie na zewnątrz – rzekła sprzedawczyni. – Ale zimą jest za to niezastąpiona.

Kiedy wrócił, siedziała na dworze obok staruszka. Z butelką piwa w ręce. Stary dzierzył szklankę do mleka z małym łykiem piwa na dnie. Zaparkował samochód, wyjął karton z odkurzaczem z bagażnika, wniósł go do kuchni, wypakował i położył dodatkowe worki do odkurzacza na stole ze sztucznego marmuru. Pusty karton wyniósł na zewnątrz i włożył go z powrotem do bagażnika.

– Stoi w kuchni – powiedział, przecierając dłonią czoło, ręka od razu zrobiła się wilgotna. – A tak w ogóle, ile jest stopni w cieniu?

– Dwadzieścia sześć – odrzekła.

– Tak mi się właśnie jakoś wydawało... Jutro przyjedzie pralka. Zabiorą ze sobą starą i ją zutylizują. Kupiłem też suszarkę. Może stać na palce.

– Naprawdę?

– Przyda się na zimę. Tak powiedzieli w sklepie.

– Na zimę...?

– Kiedy nie można już suszyć na dworze.

– To wobec tego bardzo ci dziękuję – powiedziała, przytykając butelkę do ust. Widok kobiety pijącej piwo prosto z butelki nie należał do specjalnie przyjemnych. Tego samego wieczoru zgolił sobie brzytwą włosy z górnej części klatki piersiowej. Przy okazji załatwił też włosy na karku, tam zawsze za bardzo zarastał, jakoś z roku na rok było tego coraz więcej.

Jutro nałóż T-shirt do marynarki. Zacznie od tego średniobrazowego.



ROZDZIAŁ 9

Proszę, weź moją bułkę, Krumme, ja tego nie mogę jeść, toż to czysty węglowodan. I złap stewardesę, jak będzie przechodziła, chcę drugi kieliszek starki duńskiej.

– Ależ myszko, jest dopiero dziesiąta rano, a wypileś już dwa kieliszki, tyle chyba powinno wystarczyć.

– Nie! – odparł Erlend. – Zupełnie nie wystarczy.

Krumme ujął jego dłoń, ale Erlend nie przyciągnął jego ręki. Siedzieli blisko siebie w ciasnym, małym samolocie linii Wideroe, Neufeldt cztery rzędy za nimi, Jytte i Lizzi prawie zupełnie z przodu. Była czysta, klarowna pogoda, a pod nimi rozciągała się Norwegia. Erlend nie miał jednak pojęcia, jak daleko już są ani nad jakim masywem górskim właśnie przelatują. Pasażerowie duńscy wokół nich przyciskali twarze do okien, w podnieceniu wymieniając uwagi na temat widoków, Duńczycy mieli pełnego fioła na punkcie gór, im były większe i wyższe, tym lepiej. Może teraz widzieli w dole Jotunheimen. Nie mógł to być jeszcze masyw Dovre, skoro została im nadal godzina podróży. Wzgórza Setesdal...? Rondane...? Ledwo pamiętał te nazwy ze szkoły. Geografia norweska nigdy nie była jego mocną stroną, a już na pewno nie poprawiła się przez ostatnie dwadzieścia lat.

Tak bardzo chciałby, żeby ta pierwsza wycieczka mogła odbyć się bez Neufeldta, tylko on i Krumme, no i panie. To była wyłącznie jego wina, on ciągle wszystko odkładał, ponieważ Torunn wydawała się jakaś taka nieobecna. A teraz było już za późno. Pieprzony Neufeldt będzie pętał się przy nich i przejmował wszystko w ramach swojego projektu. I to też była jego własna wina, to on przecież pierwszy zaproponował Krumme skorzystanie z pomocy Neufeldta. Że też można było okazać się takim durniem, powinien był oczywiście najpierw osobiście spotkać się z geniuszem, zanim poleci jego usługi. Bo wtedy nigdy by go nie zarekomendował. Nigdy! Nawet gdyby był ostatnim pozostałym przy życiu architektem w całej galaktyce. Gotowy do podróży ubrany był w dokładnie takie same ubrania jak w ten wieczór na tarasie w domu, jego całkowity brak gustu przekraczał wszelkie możliwe wyobrażenia. Trzeba było mieć nadzieję, że przynajmniej wyprał te ubrania w międzyczasie. I że może ma ze sobą jakiś inny strój w tej małej walizeczce, którą zabrał jako bagaż podręczny. Ale wszystko, co Erlend był sobie w stanie wyobrazić jako zawartość tej ohydnej, małej walizki, to była szczoteczka do zębów, pasta i jakieś bokserki na zmianę. Neufeldt nie potrzebował w końcu szczotki do włosów, używał do tego celu tylko własnych dziesięciu palców. A facet musiał przecież zarabiać miliony!

– Przepraszam! Czy mogę dostać kieliszek starki duńskiej? – powiedział do stewardesy, która, dzięki Bogu, w końcu przeszła obok niego. – Albo nie, poproszę dwa.

– Nie chciałbym... – rzekł Krumme.

– Dwa kieliszki poproszę! – powiedział Erlend. – I jeszcze piwo.

Pierwszego shota wychylił jednym haustem, drugi kieliszek ustawił sobie elegancko obok piwa na małym, składanym stoliku.

– Piwo ma mnóstwo węglowodanów – powiedział Krumme.

– Oj tam, oj tam. Ale jeśli mam wybierać pomiędzy piwem a zeszlą bułką pełną konserwantów, to na pewno nie będę się nad tym zastanawiał godzinami.

– Nie rób się taki, myszko. Przecież to będzie wspaniała wycieczka. Pomyśl, jakie to ciekawe dla Jytte i Lizzi. One tak kolosalnie się cieszą.

– Chciałbym tylko, żebyśmy byli tu we czwórkę. Bez tego nadętego, pompatycznego bezguścia...

– Bezguściem to on nie jest, Erlendzie. Pomijając kwestię jego wyglądu. W tej sprawie jest dla siebie dość pobłażliwy, tyle muszę przyznać. Ale sam wiesz doskonale, że my dwaj nigdy nie wpadlibyśmy sami na ten pomysł z pionowymi ścianami ze szkła. Pomyśl lepiej o tym, jakie to wszystko będzie wspaniałe, jakie kolosalnie inspirujące!

– Właśnie użyłeś słowa „kolosalnie” dwa razy w ciągu niecałych trzydziestu sekund. A my moglibyśmy wpaść na to sami. Z czasem. Przecież to jest oczywista sprawa, jeśli chce się powiększyć przestrzeń mieszkalną. Zdrówko.

– Ale to przecież Kim w końcu...

– Tak, tak, tak! Gadasz o tym w kółko! Porozmawiajmy lepiej o czymś innym.

– Na przykład o dzieciach – zaproponował Krumme, chwytając go ponownie za rękę. Erlend poczuł, jak alkohol w połączeniu z myślą o dwójce maluchów naprowadza go powolutku na zmianę kursu w stronę poprawy humoru.

– Już niedużo czasu zostało do badania USG – powiedział, podnosząc dłoń Krumme do ust i całując go w przegub. – A wiesz, że potrafią już ruszać górną wargą i połykają też wody płodowe. Akurat to jest nieco obrzydliwe, jak się nad tym głębiej zastanowić. Ale w następnym tygodniu wyrosną im włosy na głowie, no i brwi. Pomyśl, że można już żyć od tygodni, nie mając fryzury i nawet śladu brwi!

– A ile już mają długości, skarbie?

– Osiem i pół centymetra.

Wykonał ruch kciukiem i palcem wskazującym, mający w przybliżeniu zobrazować ten rozmiar.

– Zaraz, poczekaj! – zawołał Krumme. – Mam w kalendarzu wpiętą taką miarkę w centymetrach!

Wyplątał się mozolnie z pasa bezpieczeństwa i odszukał swój neseser na półce z bagażem podręcznym.

Z pełnym nabożeństwem w spojrzeniu i z głową opartą na ramieniu Krumme, Erlend gapił się na drobne kreski pomiędzy liczbą osiem a dziewięć, wyobrażając sobie miniludziki.

– Moje dziecko na pewno jest nieco krótsze – wyszeptał Krumme.

– Nie – odparł Erlend. – Indywidualne różnice ujawniają się dopiero dużo później.

Zaczął rozmyślać o wszystkich ubrankach w biurowej szafie, usiłując wyobrazić sobie, w jaki sposób ośmioipółcentymetrowa Eleonora zdoła je kiedykolwiek sobą wypełnić, jak będzie biegać w nich, brudzić je, **wyrastać** z nich!

Kiedy wcześniej tego samego dnia spotkali się z Jytte i Lizzi na lotnisku Kastrup, po raz pierwszy obie ubrane były w nowe spodnie ciężowe. Paski w dotychczasowych spodniach zaczęły je uciskać, poinformowały. Bardziej Lizzi niż Jytte, ale takie rzeczy wyglądały odmiennie u różnych kobiet, ponieważ każda **nosiła** dziecko w inny sposób.

– Kiedy kładę się na brzuchu, to mam takie uczucie, jakbym leżała na piłce tenisowej – powiedziała Jytte.

– Ale w tej sytuacji nie wolno ci leżeć na brzuchu! – zawołał Erlend. – Zgnieciesz je na płask! Zabijesz!

– Ależ Erlendzie, spokojnie, ono tyle znieś. Przecież dookoła ma wody płodowe – odpada Jytte.

Samochód z wypożyczalni na lotnisku Vaernes miała prowadzić Jytte. Nieznany samochód w nieznanym mieście nie stanowił dla niej żadnego problemu, zanim przekwalifikowała się na aromaterapeutę, pracowała przez kilka lat jako nauczycielka w szkole jazdy. Krumme jeździł tak rzadko, że Erlend nie miał nerwów, żeby siadać w prowadzonym przez niego samochodzie, a on sam nigdy tam nie jechał autem. Po co miałby to robić, skoro istniały taksówki. Albo matka własnego dziecka, siedząca tuż obok z wydrukowaną szczegółową mapą pobraną z Internetu. Poza tym w samochodzie był GPS.

– O nim zapomnijmy – rzekła Jytte. – Nienawidzę GPS-u, nie cierpię tego lodowatego głosu, dostaję od niego szału. On jest całkowicie pasywno-agresywny. „Teraz skręć w prawo. Teraz skręć. TERAZ SKRĘĆ!” Agresja pod koniec przestaje być taka pasywna...

– A ja chciałbym taki mieć – powiedział Krumme. – Po tym, jak było się na mieście i wypilo kilka koniaków za dużo, a trzeba trafić do domu, wspaniale byłoby mieć w kablu owiniętym wokół szyi kobiecey, pasywno-agresywny głos, który mówiłby mi, czy mam iść w prawo, czy w lewo.

– Masz przecież mnie – rzekł Erlend. – Mam w mózgu siódmy zmysł, który niezależnie od tego, gdzie aktualnie znajduję się w Kopenhadze, prowadzi mnie zawsze do jacuzzi.

Wynajęty samochód był ogromny, mieli się w nim zmieścić w piątkę, plus nieco bagaży i toreb ze sklepu wolnołowego. Nie miał pojęcia, jaka to jest marka. Dla niego wszystkie samochody były jednakowe.

– Chcę siedzieć z przodu – powiedział Erlend. Sama myśl o siedzeniu wciśniętym gdzieś koło okropnych kolan Neufeldta...

– To możesz trzymać mi mapę – rzekła Jytte.

– Odczytywać ją, masz na myśli – odparł Erlend.

– Sam przecież powiedziałeś, że ledwo rozpoznajesz to miasto. Poza tym mam wrażenie, że jesteś trochę wstawiony. Jak będziemy jechać do gospodarstwa, będziesz mógł mówić, co i jak. Ale najpierw musimy znaleźć hotel. Ruszajmy, zanim padniemy z gorąca. I pošlijmy serdeczną myśl temu, kto wynalazł klimatyzację.

Kiedy ruszyli z Værnes, zarówno Lizzi, jak i Jytte głośno zachwyciły się krajobrazem. Jechali wzdłuż fiordu Trondheim, otoczonego małymi, żyznymi wzgórzami, z widokiem na Tautrę i góry Fosen, rozplywające się dalej w gorącej mgiełce i błękitach.

– Ale naj- naj- najpiękniej jest w Byneset – powiedział Krumme. – O wiele ładniej niż tutaj. A i miasteczko jest ładne. Już się cieszę na spotkanie z nim, przecież będziemy mieli bazę w odległości zaledwie dwudziestu minut jazdy. Ma tysiąc lat i **taaaaaką** katedrę!

– Powinniśmy mieć tutaj samochód – rzekła Lizzi. – Czekający w gospodarstwie. Nie możemy liczyć na samochód Torunn.

– Oczywiście, że będziemy mieli samochód – odparł Krumme. Niedużego minivana, będzie nas przecież szóstka.

– Coś podobnego, jaki żyzny jest ten krajobraz, a zaraz po drugiej stronie są góry! Wyglądają prawie jak ciała kobiece! – powiedziała Jytte.

Erlend spojrział na nią, przyglądał się jej opalonym, silnym ramionom opartym o kierownicę, radości w oczach, świeżości, pod tą czerwoną, jedwabną spódniczką nosiła jego dziecko, to było nie do pojęcia.

– Trochę przypomina Nową Zelandię – rzekł Neufeldt, nie dodając już nic więcej, nie powiedział, że jest pięknie, charakterystycznie ani zupełnie inaczej niż w Danii. W końcu mogło się zdarzyć, że nienawidził Nowej Zelandii jak zarazy. Naprawdę trudno było go znieść. Poza tym usiadł na środku tylnego siedzenia, przyciśnięty prawym bokiem do Krumme.

– Czy opowiadałem wam o mojej ostatniej wystawie? – zapytał Erlend. – Zrobienie jej zajęło mi tylko dwa dni, no ale w końcu płaci się za pomysł. Oddałem ją przedwczoraj.

– Opowiedz! – rzekła Lizzi.

– To dla sklepu z ubraniami, wiecie, z takimi paskudnymi. Ze spodniami zwisającymi do kolan i **kapturem** przyszytym do wszystkiego, co wkłada się na górę dała. Mieszanka Gotów, ulicy i Eminema, coś w tym stylu. I co można tam, kuma, zrobić poza naciągnięciem ubrań na manekiny?

– Nie naciągać ubrań na manekiny – powiedział Neufeldt.

– To nie jest takie proste – odparł Erlend. Co za idiotyczna propozycja. – Ubrania muszą być widoczne. Oczywiście, że można je rozwiesić na sznurku i odpuścić sobie manekiny, ale ciuchy muszą być wyraźnie wyeksponowane. Klienci kupujący te ubrania często szwendają się po nocy, dlatego sama wystawa jest szczególnie ważna. Dorosły klient, widząc coś interesującego na wystawie, wchodzi do sklepu, żeby przyjrzeć się temu dokładniej, wystawa jest tylko rodzajem przystawki, przynętą skłaniającą do działania, czyli do wejścia. Wtedy sprawę muszą przejąć pracownicy. Ale tutaj wystawa musi sprawić, aby wrócili do sklepu być może wiele dni później. Wtedy przesłanie witryny musi być naprawdę **mocne**. Powinno wysyłać nieco przesadną informację, *message*.

– Przejdź zatem do rzeczy – powiedział Neufeldt. Erlend wciągnął powietrze, wypuszczając je powoli przez nos. Gdyby teraz oderwał GPS-a od tablicy rozdzielczej i rzucił go lewą ręką do tyłu, mógłby zmienić genialną głowę Neufeldta w krwawego pomidora. Kolana znajdowały się teraz jeszcze bliżej, powinien mieć ze sobą młotek, coś w rodzaju torpedy, i w te kolana...

– A więc zrobiłem wystawę z wystawy!

– Teraz nie rozumiem – rzekła Jytte.

– Mam w końcu dość duży krąg znajomych, więc skontaktowałem się z graficznymi. Z samą elitą, gdzie ważny jest status i podpis pod dziełem. Od nich dowiedziałem się, kto akurat jest najlepszy i ma najwięcej dzid: w dobrych miejscach.

– Dwid? – zapytał Neufeldt.

– Uważają to za twórczość. A obecnym królem w branży jest josF. I to właśnie on otagował dla mnie sztuczną wystawę! Na odpowiednią grupę docelową działa to jak magnes! Ustawiłem po prostu okno pół metra za właściwą wystawą. Za nim znalazły się stłoczone w grupę manekiny, z głowami blisko siebie, tak jakby stały tam, knując jakieś przestępstwo. To właśnie okno otagował josF, a przed nim zrobiliśmy kawałek chodnika ze starego asfaltu i paru kostek brukowych. Posadziliśmy tam kilka kepek trawy, rzuciliśmy parę niedopałków i dwie puste puszki po farbie w spreju. To wygląda **jak cholera** idealnie autentycznie. Ci w sklepie byli wniebowzięci. A najlepsze jest to, że teraz nikt nie ma odwagi otagować **właściwego** okna. Nikt nie namaluje niczego na podpisie josF. To byłoby czyste samobójstwo.

– Ileś wziął za tę robotę? – zapytała Jytte.

– Dwadzieścia patoli i trzy **niewiarygodnie** brzydkie bluzy z kapturem – odrzekł Erlend.

– To brzmi oryginalnie – powiedziała Lizzi. – Jesteś naprawdę zdolny.

– Czy nie zbliżamy się już do centrum? – zapytał Neufeldt.

Hotel położony był w nowej części miasta, gdzie stało wiele niedawno wybudowanych, pięciopiętrowych domów mieszkalnych. Minęli Royal Garden, tutaj nie chciał już mieszkać, miejsce przywoływało wyłącznie bolesne wspomnienia, straszny czas umierania matki, nie mówiąc o totalnej porażce, jaką była ostatnia wyprawa.

Pomyśleć, że można wdepnąć prosto w samobójstwo własnego brata z uśmiechem nieświadomości na ustach i torbami pełnymi niespodzianek. Co za porażka. Miał wielką nadzieję, że w czasie tego pobytu nie grozi mu kolejny pogrzeb, teraz już chyba, na Boga, wystarczy.

Kiedy weszli do recepcji hotelu Rica Nidelven, po tym jak Jytte dokonała mrozącego krew w żyłach parkowania, wjeżdżając z milimetrową dokładnością do podziemnego garażu, Neufeldt okazał nagle entuzjazm, jakiego Erlend wcześniej z jego ust nie słyszał: – To dopiero nazywa się recepcja hotelowa! Po prostu wspaniała! Ta wysokość pomieszczenia w połączeniu z jego głębią, no i popatrzcie, jak znakomicie wpuścili do środka krajobraz! Rzeka. Gra wody!

A on tutaj, siedząc w samochodzie, wyjaśniał szczegóły otagowanej wystawy. Nagle poczuł ukłucie lęku na myśl, że Neufeldt zobaczy gospodarstwo i dowie się, że on stąd pochodzi, że to są jego pieprzone korzenie. Zastrane miejsce, które wydało na świat równie zastranego faceta, chwającego się swoimi wystawami.

– Pośpiesz się i zamelduj nas, Krumme, ja muszę do łazienki, chyba coś zjadłem.

– Albo wypieś – rzekł Krumme.

Uzgodnili, że spotkają się w recepcji za godzinę. Pójdą wtedy do sklepu i kupią mnóstwo dobrych składników potrzebnych do planów kulinarnych, jakie Krumme zamierzał realizować w Neshov.

– Jytte! Zapytaj w recepcji, gdzie tutaj sprzedają naprawdę dobre jedzenie, my teraz lecimy, ja muszę do łazienki! – powiedział Erlend i podszedł szybko do drzwi windy, ciągnąc za sobą z cichym szumem nową aluminiową walizkę marki Rimowa. Wiedział, że jeśli chodzi o Neufeldta, to i tak rzucał perły przed wieprza. Krumme zadyszany podążył za nim. – Naprawdę, aż tak źle z twoim żołądkiem?

– Nie. Z głową.

Rzucił walizkę na sofę, podczas gdy Krumme radośnie chwalił piękny, dwupoziomowy apartament.

– Chodź i zobacz, myszko, co za widok! Jakie kolosalnie piękne jest to miasto.

– Znów to powiedziałaś...

W walizce miał dodatkową butelkę wódki duńskiej i trzy butelki Bollingera. Poza tym zabrali tyle, ile wolno wwieźć, również na panie. Powinni jakoś przeżyć od piątku do niedzieli. Otworzył butelkę wódki i wyjął kieliszek do wina z kredensu z lustrem, gdzie królował duży kosz z owocami. Owoce pokryte były kroplami chłodnej wilgoci, ktoś musiał je świeżo spryskać tuż przed ich przyjazdem. Napełnił kieliszek po brzegi i wypił dwa duże łyki.

– NIENAWIDZĘ tego faceta! On jest po prostu **ciężkim idiotą!**

Krumme odwrócił się od widoku za oknem i długo patrzył na Erlenda, zanim odezwał się: – Wiesz, Erlendzie, nieczęsto mam ciebie dosyć, ale tym razem... Może nie tyle ciebie, ile całej tej afery z Kimem. Calutki świat go ceni, przyjeżdża tutaj z nami zrobić rysunki, które dołączymy do wniosku o pozwolenie na przebudowę i wszystkich tych papierów potrzebnych, żeby zrealizować ten projekt. Powiedz mi, żałujesz?

– Czego? Dzieci...?

– Nie! Że chcemy zrobić z Neshov miejsce na wakacje!

– Boże święty, Krumme, ja tylko dostaję szału od jego osoby...

– Daj sobie z tym spokój.

– Ach tak. Ze względu na ciebie mam sobie po prostu zrobić małą przerwę. A czy bardzo wtulał się w ciebie na tylnym siedzeniu? Macał cię w czułych miejscach, korzystając ze swobody swoich workowatych szortów?

Krumme odchylił głowę do tyłu i śmiał się tak serdecznie, jak tylko pozwalało na to jego nieduże, zaokrąglone ciało.

– Przepraszam – powiedział Erlend, opróżniając kieliszek.

Obawę, że Neufeldt będzie patrzył na niego jak na jakiegoś zasranego parobka, będzie musiał dźwigać samotnie. Był czas i miejsce na wszystko. A przynajmniej **na niektóre rzeczy**. Opróżnił pokojowy barek z napojów gazowanych i wody mineralnej, które wystawił na podłogę pod biurkiem. Następnie ułożył butelki Bollingera ciasno jedną na drugiej i mocno zamknął drzwi. Otworzył torebkę orzeszków ziemnych i nalał sobie kolejnego shota, słuchając jednocześnie dźwięków dobiegających z łazienki, gdzie Krumme brał już drugi tego dnia prysznic. Rozejrzał się dookoła, to był naprawdę uroczy, nieduży apartament. Z sypialnią na górze, po schodkach, na pewno równie piękną. Ale Krumme nie miał siły się kochać, kiedy było tak gorąco, a on sam też nie miał pary, żeby wejść na schodki i zobaczyć, jak jest na górze. Zamiast tego otworzył jedno z okien i wychylił się na zewnątrz, zapalając papierosa.

Kiedy opuszczali hotel samochodem wyładowanym po brzegi torbami ze sklepu wolnocłowego oraz sieci Ultra, szczerym gestem pozwolił Lizzi siedzieć z przodu razem z Jytte. Krumme zamierzał przygotować małże na parze z chili i kolendrą, a następnie puścić wodze fantazji w kwestii świeżego halibuta z mnóstwem dodatków. Był pewien, że w Neshov nie mają miksera z rączką, więc też musieli go kupić, potrzebny był do zrobienia zimnego, zielonego sosu do ryby, jaki zamierzał skomponować z mięty, kwaśnej śmietany, czosnku i paru innych smakowitych szczegółów. Monopolowy znajdował się tuż obok sklepu Ultra i Erlend czuł, że przyciąga go jak magnes.

– Kupimy kilka dodatkowych butelek, które będziemy mogli zostawić Torunn. Tam na pewno jest sucho jak na pustyni Gobi – rzekł. Kupił dwie butelki koniaku dla niej i kolejne trzy Bollingera dla siebie, po czym z twarzą pokerzysty zapłacił. To nieprawdopodobne, żeby kraj z takimi cenami alkoholu w ogóle mógł wydać na świat jakichkolwiek alkoholików, a jeśli nawet, to musieli pochodzić z najwyższych warstw ekonomicznych bądź wygrać fortunę na wyścigach.

Nalegał, by móc usiąść pośrodku z tyłu i wskazywać Jytte drogę, chodziło mu o oddzielenie ciała Krumme od Neufeldta. To już raczej sam wytrzyma jakoś fizyczny kontakt z nim. Dyskretnie sprawdził zapach ciała Neufeldta, poczuł jednak tylko słabą woń świeżego potu, nie starego, oraz wody do ciała, którą nie do końca był w stanie umiejscowić, ale mógł to być Calvin Klein. To przemawiało na korzyść faceta, jeśli nie kupował dezodorantów w sieci „Superbrugsen”.

– Tam na skrzyżowaniu jedziesz po prostu według znaków na Flakk. Teraz jesteśmy w Ila – powiedział Erlend. – Tutaj w zasadzie kończy się miasto. Jako takie. Jak myślicie, czy mogę zapalić w samochodzie? Przecież ma klimatyzację.

– Nie – rzekł Krumme.

Ponownie jechali wzdłuż fiordu, który w upale przypominał równą, błękitną linię mgły. Minęli przystań promową i powoli pojawiły się przed nimi gospodarstwa, skrawki lasu, rozpościerające się szeroko, zielone pola zbóż oraz pasiaste zagony truskawek. Wyprzedzili trzy traktory i napotkali kolejne. Żółta linia dzieląca drogę zniknęła. Kiedy minęli Rye i Opland, a przed nimi leżało całe Byneset, Jytte zjechała na bok i zatrzymała samochód.

– Muszę wyjść popatrzeć – powiedziała. – Wyłączę silnik, bo chcę też posłuchać.

Uderzył ich podmuch gorąca od asfaltu i żar słońca. Stali cicho na poboczu. Odległe dźwięki traktorów, buczenie owadów – to wszystko, co było słychać. Na małej łące w oddali, dokładnie tam, gdzie wzgórze zaokrągliło się i zniknęło w fiordzie, pasło się stado krów, zwierzęta przypominały figurki z szyszek, nie widać było żadnego ruchu.

– Co za powietrze – powiedziała Lizzi. – Całkowicie czyste. Całkowicie! A my tam siedzimy w Amager i wdychamy to, co **uważamy** za powietrze. A tak naprawdę jest to smog z Kastrup.

– Pomyślcie, jaka to będzie kolosalna przyjemność dla dzieci przyjechać tutaj – rzekł Krumme. – To będzie szczęśliwy raj ich dzieciństwa.

– Wiosną pachnie tu zupełnie inaczej – powiedział Erlend. – Kiedy nawożą pola.

– To zdrowy zapach – odparła Jytte. – Bo on oznacza mniej nawozów sztucznych. I chyba szybko znika.

– Nie dość szybko dla mnie – rzekł Erlend. – Ale może nie musimy przyjeżdżać tu akurat wtedy.

– Oczywiście, że będziemy – powiedział Krumme. – Wiosna jest najwspanialszą porą roku.

Kiedy około trzeciej wjechali na podwórko, obok samochodu Torunn stał zaparkowany wielki SUV. Mały czarny szczeniak podbiegł do ich samochodu tak szybko, że Jytte musiała gwałtownie zahamować, żeby go nie rozjechać. Opalony mężczyzna w jasnych dżinsach i białym T-shircie podbiegł i schwycił szczeniaka. To musiał być ten zmiennik o beznadziejnym imieniu. Erlend w głębi duszy nazywał go Świnką Chram, ale widząc człowieka z bliska, stwierdził, że to do niego nie pasowało. Przełknął ślinę. Oto był mężczyzna z mięśniami, które nie pochodziły z treningu na siłowni, jego ramiona i barki wydawały się silne i zdecydowane, ładnie ukształtowane, ale bez przesadnej rzeźby. Kiedy odwrócił się i odszedł nieco na bok, żeby Jytte mogła dojechać do miejsca, gdzie zaparkowane były inne samochody, Erlend mógł zawiesić oko na szerokich plecach, na miejscu, gdzie bawełniany materiał napinał się między łopatkami oraz dalej, gdzie plecy przechodziły w dwa idealnie ukształtowane pośladki z charakterystycznym, niedużym zagłębieniem po zewnętrznej stronie; to świadczyło o doskonałym napięciu mięśni, pupie ze stali. Dżinsy mężczyzny opadały mu lekko na biodrach, opadały w ten właściwy, trochę niedbały sposób. Choćby było nie wiem jak gorąco, będzie musiał namówić dziś na coś Krumme, czy będzie chciał czy nie, bo ten Kaj Roger z daleka pachniał hetero, a nawet gdyby **nie...** On i Krumme już dawno ustalili, że będą żyli w monogamii. Mieli wielu przyjaciół, którzy nie traktowali czystego seksu jako niewierności, jednak pod warunkiem przestrzegania pewnych zasad: nigdy więcej niż jeden raz z tym samym facetem i bez całowania się w usta. Nawet gdyby Erlend w tej sekundzie wciągnął za sobą zmiennika do stodoły i oddał się tam dzikiemu, przepoconemu seksowi na balotach słomy, kochałby potem Krumme tak samo i ani deka mniej. Ale tym, co go powstrzymywało od działania w takich sytuacjach, była myśl, że oto **Krumme** w tej sekundzie wciąga za sobą zmiennika do stodoły i oddaje się tam dzikiemu, przepoconemu seksowi. Ta myśl była nie do zniesienia. Napotkał spojrzenie Krumme i wiedział, że widzieli i pomyśleli sobie dokładnie to samo. Erlend przycisnął udo do uda Krumme.

– Co za upał – powiedział Krumme.

– Nie jest **aż tak** gorąco – odparł Erlend.

– Może nie...

Torunn wyszła im na spotkanie, ojciec siedział w cieniu drewni i gapił się na nich, nie wstając ze stołka. Drzwi do chlewu były szeroko otwarte.

– Teraz czujecie ten zapach – powiedział cicho Erlend. W głębi stodoły zauważył coś w rodzaju rampy z nowusieńkiego drewna, przymocowanej błyszczącymi okuciami do starej drewnianej ściany. Tam w środku był pewnie skład trumien Margida. Ciekaw był, co też

Neufeldt powie na to, że przechowują w gospodarstwie sporą liczbę pojemników na zwłoki. Wykonali wszelkie rytuały związane ze ściskaniem sobie rąk i przedstawianiem się, zarówno Jytte, jak i Lizzi uściśniły Torunn, chwając piękne miejsce i mówiąc, jak miło im było móc tutaj przyjechać, że tak bardzo cieszyły się, że w końcu ją poznają. Nie brzmiało to nieszczerze, Erlend wiedział, że to nie są zwykłe frazesy, naprawdę tak myślały, w końcu to miała być norweska ciocia ich dzieci. Torunn odpowiadała jednak tylko pustym „dziękuję”, „miło mi” i „witajcie”. Kiedy przyszła kolej na niego, szeroko otworzył ramiona.

– Brataniczko, chodź do wujka Erlenda!

Objął ją mocno, czując opór, niechęć, której nie rozumiał. Schudła i nie patrzyła mu w oczy. Może cierpiała z powodu zawiedzionej miłości. Podczas gdy pozostali zachwycali się szczeniakiem, on powiedział cicho, nie wypuszczając jej z objęć:

– Jak się masz, mała brataniczko, hm? Mam dla ciebie tyle dobrych rzeczy. Mnóstwo ze sklepu wolnocłowego, kosmetyki z Kastrup i dwie butelki koniaku tylko dla ciebie, my nie będziemy ich tykać. I papierosy! A Krumme robi pyszne jedzenie...

Puścił ją, zauważył stojący na podwórku długi drewniany stół.

– A więc **znaleźliście** go? Ach, ten stół wyobrażałem sobie dokładnie w tym miejscu! Ale te potworne krzesła zupełnie do niego nie pasują! Do stołu są gdzieś ławy, nie znaleźliście ich? I co tam położyliście na tych krzesłach, zasłonki? Tak! To są zasłonki! Ależ Boże święty, Torunn...

– Są śliczne – rzekł Neufeldt. – Bardzo etniczne.

– Etniczne...? – odparł Erlend.

– Niespójne. Idealnie niedopasowane. Wspaniałe. Przecież nie ma tam dwóch materiałów o tym samym wzorze, no i te kolory! Popatrzcie, jak odbijają się od reszty barw i konturów zupełnie niezależnie, stanowią pewne **pieces**¹⁵, na tle zielonej natury i białych oraz tak charakterystycznie po chłopsku czerwonych ścian.

– A tam stoją silosy! – powiedział Erlend, wskazując palcem kierunek.

– Nie jestem ślepy – rzekł Neufeldt.

– Musimy zanieść zakupy do środka – powiedział szybko Krumme, popychając Erlenda. – Inaczej za chwilę będziemy mogli jeść małże prosto z bagażnika.

Erlendowi udało się zostać w kuchni samemu z Krumme na dwie sekundy, kiedy to syknął: – Facet jest niby architektem! I nagle zaczyna wypowiadać się o wzorach! Te krzesła trzeba wyrzucić! Sam znajdę ławy w stodole, a na nich położę białe prześcieradła! A jeśli nie znajdę białych prześcieradeł, to, do kurwy nędzy, pokroję stare obrusy adamaszkowe matki, na których będziemy siedzieć i pierdzieć, na tym podwórku nie będzie żadnych pieces, chyba że ja sam je tam umieszczę z jakąś wyszukaną intencją!

– Dobrze, już dobrze, myszko... Obiecałeś.

Torunn przyszła pomóc im znaleźć miejsce w lodówce na wszystko, co przywieźli do jedzenia, musieli popychać jej rzeczy szczelnie wzdłuż brzegów. Erlend poszedł do zamrażarki, niosąc trzy butelki szampana, otworzył pokrywę i stał tam w zimnym podmuchu, słuchając własnego, szalejącego pulsu. Odłożył butelki i zbadał zawartość. Zamrażarka wyglądała tak, jakby przeszła przez nią burza śnieżna, była całkowicie pokryta szronem, a paczki i woreczki plastikowe obrosnięte były zbitymi kryształkami lodu. Na dole w rogu stały kartony po mleku obwiązane gumkami, podniósł jeden i oskrobał z lodu niewyraźne litery napisane flamastrem. „Ciasto na gofry-99”. Gumka pękła mu pod palcami, odstawił karton po mleku na miejsce i wkopał resztki

¹⁵ *Pieces* (ang.) – kawałki, małe całości.

gumki pod zamrażarkę. To urządzenie nigdy nie mieściło w sobie prawdziwego szampana do pospiesznego schłodzenia, to akurat było pewne.

Wtedy przyszło mu do głowy, że nawet nie **przywitał się** z ojcem, i pośpiesznie wyszedł na zewnątrz. No cóż, powinien skupić się na jasnej stronie tego zjawiska, a mianowicie na tym, że Neufeldt patrzył na niego w kontekście **etnicznym**, a nie jak na wiejski pomiot.

Zmiennik zaoferował mu pomoc w odszukaniu łąw w stodole, a Erlend niezwłocznie tę pomoc przyjął. Neufeldt usiadł obok ojca i zaczął wypytywać go o gospodarstwo, ojciec odpowiadał nerwowo, nie był przyzwyczajony do poświęcania mu uwagi.

– Od pokoleń, tak... – usłyszał odpowiedź ojca.

Neufeldt przyniósł im po piwie i widok ojca z butelką przytkniętą prosto do ust stanowił przeżycie, które musiał w milczeniu w siebie wchłonąć, zajęło mu to kilka długich sekund, w czasie których zmiennik szedł w stronę stodoły, a Erlend podążał za nim. Jedną rzecz była pewna: Neufeldt **nie zostanie** wprowadzony w żadne rodzinne tajemnice, kto jest czyim bratem, a kto ojcem, nie wejdzie w ich osobistą sferę i nie będzie grzebał wśród świeżo wykopanych psych zwłok. Będzie musiał pamiętać, żeby powiedzieć o tym również Jytte i Lizzi, one przecież znały całą historię związaną z ojcostwem. Mignęły mu, idąc ręką w rękę między budynkami, szły w dół ku plaży, ścieżką wzdłuż kamiennego płotka rozdzielającego dwa pola. Na dole stała szopa na łodzie, może wejdą do środka i będą się kochać. Szczeniak leżał w cieniu pod długim stołem, wykończony powitaniami i ganianiem, obok niego stał biały pojemnik po lodach waniliowych napełniony wodą, na jego powierzchni pływały pyłki traw i drobne drzazgi.

– Jesteś dosyć niepodobny do swoich braci! – rzekł Kaj Roger.

– Mam taką szczerą nadzieję – odparł Erlend.

– Szczególnie do Tora. Ale masz odrobinę wspólnego z Margidem, gdzieś coś tutaj nad oczami.

– On tu pewnie teraz cały czas przyjeżdża, po trumny. Boże święty...

– Nie wiem, jak często tu bywa. Ale te dodatkowe korony są ważne dla Torunn...

Stali w półmroku, otoczeni zardzewiałymi kosiarkami, beczkami, starymi narzędziami i setkami niezidentyfikowanych rzeczy, stanowiącymi zbiory Tora, ustawionymi jedne na drugich, powtykanymi pomiędzy inne przedmioty. Gruba warstwa kurzu pokrywała każdą poziomą powierzchnię, a w promieniach słońca, przeciskających się przez szpary w ścianach z desek, wisiały stare, opuszczone pajęczyny.

– O rany, zapomniałem, jak strasznie boję się pajaków! – powiedział Erlend. – Nie odważę się dotknąć **ani jednego** z tych rupieci!

Kaj Roger roześmiał się głośno. – No to pokazuj palcem! Jeśli masz pomysł, gdzie te łąwy mogą się znajdować, to odsunę z drogi i pająki, i inne konieczne rzeczy!

– Poza tym mam na sobie dość drogie spodnie, właśnie o tym teraz pomyślałem...

– Spokojnie! Ja przesuwam, ty się zastanawiasz, podejmujesz decyzję i wskazujesz palcem!

– Czy jesteście parą, ty i Torunn?

– Co?! – Kaj Roger spojrział mu w oczy, zrobił się nagle poważny, głęboko wciągnął powietrze i równie gwałtownie je wypuścił, opuszczając spojrzenie ku zakurzonej podłodze. – Nie. Ona jest zupełnie nieobecna... Nawet szczeniak jej nie interesuje. A w każdym razie niespecjalnie.

– Ale czy interesujesz ją ty? – zapytał Erlend, zapalając papierosa.

– Nie mam pojęcia. Nie da się do niej zbliżyć. Jestem tutaj i rano, i wieczorem, ale ona patrzy na mnie jak na powietrze – rzekł Kaj Roger, odwracając się plecami i wyciągając jakieś sznury, zaplątane w przeciętą w połowie drabinę.

– A ciebie ona obchodzi? – rzekł Erlend.

– Oczywiście, że tak, obchodzi mnie jak cholera. Dzisiaj przyjechałem specjalnie poza porą obrządku, żeby się z wami przywitać, ale kiedy to powiedziałem, wzruszyła tylko ramionami.

Torunn musiała zwariować albo była chora. Może miała raka, cukrzycę albo guza mózgu i nic o tym jeszcze nie wiedziała. On natomiast czuł się niewierny od samego stania tutaj i rozmawiania z tym mężczyzną. Uważał siebie za dobrego znawcę ludzi, a to tutaj był facet z najwyższej półki. Miły, mądry i cierpliwy, i... kolosalnie cudowny.

– Czy wy...

– Nie. Nawet się nie pocałowaliśmy – rzekł Kaj Roger. – Po lecie będę musiał znaleźć sobie inną robotę, nie mogę tak tutaj przychodzić. Czuję się jak kompletny idiota, ale przecież ktoś musi jej pomóc, jest z tym wszystkim zupełnie sama.

– Czy ty też pochodzisz z gospodarstwa?

– Tak. Ale to mój brat je dziedziczy, przejął wszystko już kilka lat temu.

– A więc lubisz nie tylko Torunn, ale też gospodarstwo...?

Kaj Roger roześmiał się. – Nie mogę do końca powiedzieć, żebym lubił też to gospodarstwo w jego obecnym stanie, tutaj przecież zupełnie nic nie wygląda jak należy. Uporządkowanie tego to straszna praca, trzeba by znaleźć jakiś sposób na jego prowadzenie albo może zupełnie zmienić koncepcję. Ale Torunn nie chce o tym rozmawiać, to jest temat tabu... Kurwa, stoję tutaj i opowiadam d takie rzeczy, a ledwie cię znam...

– Daj spokój, geje często mają właśnie taki wpływ na ludzi, cały czas mi się to przydarza.

– Jesteś przecież jej wujem, więc to chyba w porządku...

– Właśnie! I teraz my tu przyjechaliśmy. Teraz sprawy ruszą z kopyta! – rzekł Erlend z lekką dumą z powodu faktu, że pamięta takie typowo norweskie wyrażenia.

– Przecież za chwilę wyjedziecie.

– Dodam jej odwagi, bądź spokojny. A teraz musimy znaleźć ławy. Zobacz tam w kącie, pod tą łodowarką do siana. Mają tak około trzech metrów długości. I zjedz z nami dziś wieczorem kolację na podwórku, zostaw samochód albo idź na piechotę do domu. Będą spore ilości alkoholu do posiłku.

Kaj Roger zaczął wyciągać łodowarkę do siana, była całkowicie zardzewiała, a końce jej zębów i części wysięgników rozpadły się od erozji, przypominały teraz brązową koronkę.

– Nie wiem, czy Torunn chciałaby, żebym ja...

– Zaufaj mi, Kaj Roger. Wszyscy mi ufają – rzekł Erlend, zawieszając wzrok na barkach i ramionach, spoconym karku, zgrabnej pupie.

Torunn naprawdę musiała być chora albo oszaleć.



ROZDZIAŁ 10

To ja wysprzątałam jadalnię od góry do dołu, a teraz mamy tam nie jeść?

Erlend biegał wokół z białymi prześcieradłami i starannie dekorował nimi długie ławy. Najpierw ułożył wzdłuż zasłony, potem jeszcze kilka warstw wełnianych kocy, a dopiero na wierzchu znalazły się prześcieradła.

– Nie będziemy przecież siedzieć w tej gorącej jadalni! – powiedział.

– Ale myślałam... na wypadek, gdyby padało – odrzekła.

– Ale i tak nie musiałaś jej sprzątać! Wtedy nie widać kurzu! Jesteś zanadto skupiona na problemach, Torunn! To nie jest zbyt zdrowe podejście.

Poszła do łazienki, zamknęła drzwi i usiadła na skraju wanny, czując pod dłońmi zimną emalię. Gapiła się na klucz, dziurkę od niego, klamkę z białym plastikiem, osadzonym wokół błyszczącego metalu. No i po co wymuskała ten salon, on oczywiście miał rację. Rzecz jasna, że powinni zjeść na dworze. A gdyby padało, nie byłoby słońca i kurz pozostałby niewidoczny. Już, do cholery, nie potrafiła nawet rozsądnie myśleć! Opłukała twarz wodą i spryskała się nieco pod pachami. Mieli zacząć jeść o dziewiątej, kiedy tylko ona i Kaj Roger skończą w chlewie. O dziewiątej! I Kaj Roger miał jeść z nimi. Słyszała ich tam na podwórzu, głosy pań Dunek i Kaja Rogera, bawili się ze szczeniakiem, Kaj Roger na pewno szczegółowo opowiadał o wszystkim, czego piesek się już nauczył, no i jakie robi psoty.

Kiedy zeszła na dół, Erlend właśnie wynosił z jadalni talerze obiadowe, te białe, z wąskim, złotym paskiem wzdłuż krawędzi. Radio stało w otwartym kuchennym oknie, nastawione na stację muzyczną.

Krumme szalał po kuchni, tak jakby był w niej panem. Miał na sobie kolorową, hawajską koszulę, wiszącą luźno nad jego wielkim brzuchem, a w uchu błyszczał mu diament. Twarz miał mokrą od potu. Siekał różne warzywa i układał je na półmiskach, a potem przykrywał folią. Teraz wyjmował pestki z papryczki chili.

– Weź sobie piwo i ciesz się życiem! – zawołał. – Jutro musimy kupić więcej. I wtedy zjemy sobie fantastyczną pierś z indyka, którą zabrałem z domu, zamarynowaną w oleju, musztardzie, sosie sojowym i...

– Brzmi dobrze.

– Wiesz co – powiedział i roześmiał się, pociągając długi łyk piwa z butelki – kiedyś w domu czyściłem i kroiliśmy chili, a strasznie mi się chciało sikać, no i w ogóle **nie pomyślałem!** Tak jakby mózg mi się całkiem odłączył. No i sama rozumiesz, co się stało, kiedy wyciągnąłem wacusia! Myślałem normalnie, że umrę! I nie miałem pojęcia, co zrobić! Skończyło się tak, że nalałem śmietanki do szklanki i wsadziłem go tam, no i tak stałem, jak wrócił Erlend!

Odchylił głowę w tył i rechotał głośno, ona też wydała z siebie jakiegoś przypominającego śmiech dźwięki, potem podniosła butelkę do ust i upiła z niej małej łyżeczki.

Dziadek siedział z kolejnym piwem na plastikowym krześle pozbawionym przykrycia z zasłony i uśmiechał się, pokazując brązowe linie w kącikach ust.

– Mamy jakieś duże wazony, Torunn? – spytał Erlend.

– Gdzieś tam na pewno są, poszukam.

– Jytte i Lizzi, na pewno dacie radę zebrać parę ślicznych bukietów, trzeba ozdobić stół, zrobimy go wspólnie na cacy!

– Tak właśnie uczynimy! – zgodziła się Lizzi.

Lizzi była wysoka i pełna gracji, Jytte – mała i okrągłutka, dużo się śmiały i często dotykały nawzajem. Architekt spacerował wokół silosów, poklepywał je, mierzył wzrokiem z góry na dół. Nie wyglądał na światową sławę, jak o nim mówił przez telefon Erlend. Może człowiek taki się **staje**, kiedy jest multimilionerem, że po prostu nie zwraca już uwagi na własny wygląd. Ale to zupełnie nie dotyczyło Erlenda, który też w końcu był multimilionerem.

Wiedziała, że w kredensie w jadalni stoją wielkie, kryształowe wazony, poszła je przynieść. Były tak ciężkie, że ledwie dawała radę unieść po jednym w każdej ręce.

– Kryształowe wazony! Doskonale! Nie będzie obrusów, zostawimy tylko kryształy i porcelanę na tle poszarzałego drewna, żyjemy w końcu w czasach kontrastów! – zawołał Erlend, biegnąc w podnieceniu wokół stołu, by znaleźć najlepsze rozmieszczenie. Potem przyniósł dzbanki pełne wody i wlał ją do wazonów.

Kiedy Jytte i Lizzi wróciły ze spaceru z bukietami z trybuli i jastrunów, przeplatanych długimi kłosami zielonej pszenicy, chciały pójść razem do chlewu i zobaczyć świnię.

– Nie mam żadnych zapasowych kombinezonów – powiedziała Torunn.

– Ale ja mam. W samochodzie – rzekł Kaj Roger i pobiegł je przynieść.

– Są całkiem czyste? – zawołała za nim Torunn.

– Ależ tak!

– Dla nas nie ma to przecież żadnego znaczenia – powiedziała Jytte.

– O, nieprawda – zaprotestowała Torunn. – Nie mogły być wcześniej używane w innym chlewie, regulują to przepisy o ochronie przed zarażeniem, bardzo surowe. Takie surowe, prawdę mówiąc, że wy, skoro jesteście z innego kraju, nie powinniście w ogóle wchodzić do chlewu. Dlatego nie możecie dotykać zwierząt.

– Ale przecież nie zbliżyliśmy się nawet do duńskiego chlewu od dzieciństwa – powiedziała Lizzi.

– Takie są przepisy, nie chodzi o to, żeby utrudniać sobie życie – odrzekła, rozciągając wargi w uśmiechu.

– Czy wy jesteście ze sobą, ty i Kaj Roger? – spytała Lizzi.

– Nie.

– Dlaczego nie? On wygląda na chodzący ideał!

Ale ja nie jestem ideałem, chciała powiedzieć. Na szczęście właśnie przyszedł z kombinezonami i mogli wejść do środka.

Maciory były ospałe i powolne w ruchach, ale słysząc nieznanne głosy, zaraz stały się czujne.

– Boże święty, ależ one są **ogromne!** – krzyknęła Jytte i chwyciła Lizzi za rękę. Torunn wypełniło nagle intensywne uczucie zazdrości. Ona sama też kiedyś tak patrzyła na świnię, z dziewczęcą ekstazą i z wielkim podziwem dla ojca. Poczuła uderzenie tęsknoty za jego obecnością, z czasów sprzed wypadku, kiedy rozciął sobie nogę i stracił kontakt z chlewem, zgubił cel w życiu i sens robienia czegokolwiek. Usłyszała własny głos powtarzający to, co ojciec opowiadał jej za pierwszym razem, o tym, jakie są ciężkie, o problemach z nogami, które

musiały dźwigać to długie ciało, o hierarchii wśród macior. Ale słyszała też, że jej głosowi brakowało tego radosnego entuzjazmu, który przejawiał ojciec. Pamiętała błysk w jego oku, kiedy opowiadał, ramię z dumą poklepujące boksy, tak jakby były niepojętym skarbem, którym się z nią dzielił. Jak strasznie go zawiodła.

– Ależ ile tu much! – zawołała Jytte.

– Nie da się ich pozbyć – powiedziała Torunn. W tym upale na każdej maciorze siedziało co najmniej pięćdziesiąt sztuk. – Ale byłoby gorzej, gdyby to były jakieś żądłące owady.

– Pozwól nam teraz zobaczyć prosiaki! – rzekła Jytte. Poszły za nią obie, trzymając się za ręce i aż zapiszczały na widok pierwszego stadka maluchów, które stały, tłocząc się ciasno w tyle boksu. Małe, kleiste ryjki badawczo węszyły. Kiedy przychodziła tu tylko z Kajem Rogerem, czekały z przodu boksu, złąknione rozmowy i poklepywania.

– Ale słodziutkie... Jakie doskonałe i malutkie... Zobacz tego małego, tam. Boże, on jest przecież dwa razy mniejszy od największego! – powiedziała Lizzi.

Torunn opowiedziała o sutkach maciory, o tym, że wszystkie prosiaki w ciągu paru pierwszych dni przydzielają sobie stałe cycki, ale zawsze znajdzie się ktoś, kto wypada z obiegu i staje się ofiarą nękania.

– Mogłabyś jednego podnieść? Kurczę, że też my nie możemy same go potrzymać... – powiedziała Jytte.

Torunn pochylała się i wyciągnęła jednego malucha za tylną nogę, jak nauczył ją ojciec.

– Co ty ROBISZ?! – krzyknęła Lizzi. – To wygląda straszliwie boleśnie!

– Ja też tak myślałam. Kiedyś. Ale jeśli podniesiesz go tak jak na przykład szczeniaka, będzie się darł, jakby miał zaraz umrzeć.

Prosiak spokojnie leżał w jej ramionach, od kiedy tylko go mocno chwyciła, i stała tak, a Jytte i Lizzi podziwiałały go z bliska. Spoglądał niebieskimi oczkami spod białych jak kreda rzęs i węszył w ich stronę.

– Jest tak słodki, że mleko mi cieknie – szepnęła Jytte przejęta.

– Boże. Tak – zgodziła się Lizzi. – Ten mały nosek. Zupełnie doskonały.

– No, ale teraz muszę już ruszać do pracy – powiedziała Torunn i włożyła małego z powrotem do boksu, gdzie pobiegł do rodzeństwa, które otoczyło go, obwąchując.

– A co zwykle robisz? – spytała Lizzi.

– Robię...? Znaczy chodzi ci o to, co się robi w chlewie?

– Tak.

– Zamiatą się gnój, zmienia słomę, przynosi paszę i torf, sprawdza, czy wszystkie zwierzęta wyglądają na zdrowe. Dzisiaj myślę, że spryskam też porządnie korytarz, to trochę pomaga na muchy i chłodzi przy okazji.

– Możesz też chyba popryskać świnię?

– Nie, zrobi się strasznie brudno. Ale wycieram je trochę mokrymi szmatami...

– No właśnie! – krzyknął Kaj Roger z drugiego końca chlewu. – Mają osobiste mycie! To prawie świńskie spa!

Jytte i Lizzi zaśmiały się głośno, dźwięk odbijał się od ścian, kilka świń, które siedziały na tyłkach, podniosło się i potrząsało w ich stronę głowami i uszami. Nieczęsto słyszały śmiech.

Kiedy wyszli na podwórko, stół był już zastawiony. Zauważyła serwetki, te świąteczne. Nigdy nie kupowała serwetek, więc Erlend musiał je znaleźć w kredensie. Kaj Roger przyniósł szczeniaka z samochodu, w którym zawsze pozwalał mu leżeć, kiedy on sam pracował w chlewie. Architekt już siedział na szczycie stołu, dziadek z przeciwnej strony. Podwórze wyglądało zupełnie inaczej niż to, które znała. Kwiaty w lśniących kryształach na starym stole,

tylu ludzi naraz, zapachy kulinarne, których tu nigdy wcześniej nie czuła, czosnek i zioła, białe prześcieradła na ławach, łopoczące na wietrze. Kolory nad starym, tradycyjnym domem przechodziły od różu do pomarańczowego, jutro będzie tak samo ciepło i bezchmurnie jak dziś. Jytte i Lizzi pomogły Krumme w kuchni i przyszły z misami pełnymi małży i z chlebem pokrojonym w kosteczkę.

– Sos ailloli przyniosę sam – zawołał Krumme przez otwarte okno w kuchni.

– Może powinniśmy byli zawiadomić też Margida – rzekł Erlend. – Ale przecież wie, że przyjechaliśmy, na pewno się pojawi.

– Muszę wziąć prysznic przed jedzeniem – powiedziała Torunn.

– Bzdury – zaprotestował Erlend. – Cały dzień czujemy już ten zapach! Czas na szampana!

– Przecież ja też się nie wykąpię – powiedział Kaj Roger, dotykając delikatnie jej ramienia.

– Wolę piwo – oświadczył architekt.

– Wyobraźcie sobie, **nie** lubić szampana! – zawołał Erlend i roześmiał się, odbierając od Lizzi koszyk z chlebem i stawiając go pośrodku stołu. – Ja po prostu nie mógłbym **żyć**...

– **Uwielbiam** szampana – odparł architekt.

– Jak to?! Co **masz na myśli**?! – zapytał Erlend.

– Ale nie pijam Bollingera. To taki sikacz.

– Sikacz? Powiedziałeś SIKACZ?!

– Tak.

– KRUMME! – wrzasnął Erlend. – Twój **Kim** twierdzi, że nasz Bollinger to **sikacz**!

Krumme wypadł z ganku, dzwigając w każdej ręce po głębokim talerzu.

– Gdybyś miał **Agrapart Blanc de Blancs**, cieszyłbym się na samą myśl o kieliszku – powiedział architekt i powoli przecesał obiema rękami włosy. Torunn przyglądała się, jak ciało Erlenda wyraźnie zeszywniało.

– Millennium...? – spytał.

– Mój ulubiony – odrzekł architekt. – A kiedy posmakuje się tego, co najlepsze, pijąc coś niższej klasy, czuje się tylko smutek.

– Ludzie są tacy różni – powiedział Krumme. – Przyniosę dla ciebie piwo, Kim. A ty przynieś szampana, myszko. No już.

Weszli razem do środka, Krumme wciąż z talerzami w dłoniach, parę sekund później zamknął okno w kuchni i drzwi wejściowe, Torunn słyszała tylko świszczący falset Erlenda, ale nie rozumiała słów. Głosu Krumme nie dało się wychwycić. Jytte i Lizzi stały cicho obok siebie, Lizzi objęła ręką ramiona Jytte.

– Dlaczego tak powiedziałeś? Nie lubicie się czy jak? – zapytał Kaj Roger i usiadł obok dziadka, naprzeciw architekta. W jego głosie słychać było gniew. Torunn pomyślała, że pójdzie przynajmniej umyć sobie ręce i pachy. W kuchni, płynem do naczyń Zalo. Zawsze od razu po chlewie szła prosto pod prysznic.

– Trzeba go trochę utemperować – wyjaśnił architekt.

– Czy ty też jesteś gejem? To jakieś sprawy z zazdrością? – zapytał Kaj Roger.

– Wyluzuj – powiedział architekt.

– Myślę, że to ty powinieneś wyluzować! – odparł Kaj Roger.

– Nie chciałbym... – zaczął dziadek.

– DOŚĆ! – krzyknęła Torunn. – Kurwa, nie możecie dać sobie na wstrzymanie? Jedzenie stoi na stole, teraz jest na to czas.

Żeby tylko jakoś przetrwać ten posiłek, zobaczyć, jak wsiadają do wynajętego samochodu i znikają, jak Kaj Roger zbiega alejką ze szczeniakiem na smyczy, wejść wreszcie do łazienki i wykapać się, wziąć sobie szklaneczkę koniaku i zapalić papierosa, siedząc na parapecie okna w

pokoju... Zniosła już te dwie butelki do swojej sypialni. A za zasłoną stała i czekała szklaneczka z duraleksu. Weszła do domu. Erlend siedział w kucki przy piecyku w kuchni, twarz miał ukrytą w dłoniach i płakał, kołysząc się w przód i w tył. Krumme stał z dłonią opartą na krawędzi stołu z laminatu, a jego gruby podbródek wbijał się w gęstą wełnę na klatce piersiowej.

– Co tu w zasadzie w ogóle się dzieje? – zapytała.

– Erlend czuje się zmiażdżony – odpowiedział Krumme i podniósł głowę. Zarejestrowała na jego twarzy rozpacz, ale nie poczuła empatii.

Znalazła w szafce pod zlewem butelkę płynu Zalo i odkręciła krany tak, żeby woda miała właściwą temperaturę, namydliła dłonie i przedramiona, płukała długo i dokładnie, słuchając pryskającej wody i szlochów Erlenda.

– Porozmawiam z nim – powiedział Krumme.

Erlend zaszlochał głośniej.

– Zmiażdżony przez co? – zapytała. – Przez tego pajaca, co wygląda jak menel?

Szloch natychmiast ustał. – Co powiedziałaś, Torunn? – dał się słyszeć nosowy głos Erlenda.

– Menel.

Podniósł się powoli, urwał sobie parę listków z rolki kuchennej i wysmarkał się co najmniej pięć razy, dysząc dramatycznie otwartymi ustami. Następnie wrzucił papier do pieca, przetrął kilkakrotnie oczy, wyrównał kancik na spodniach i powiedział:

– No to ja przyniosę szampana. Leżał w zamrażarce i lodówce, więc powinien być doskonały, chociaż musimy go pić z kieliszków do czerwonego wina. A ty, Krumme, wynieś znowu ailloli. Chciałbym też, żeby towarzyszyła nam moja świeżo wypucowana Zalo bratanica. Małże czekają.

Nie mogła się nadziwić, skąd Krumme bierze dla niego tyle cierpliwości. Że też miłość może być **tak** silna. Krumme usiadł naprzeciw niej i Erlenda, widziała, jak jego bosa stopa głaszcze nogę Erlenda, kiedy usiedli. Krumme musiał się trochę skrócić, żeby dosięgnąć, ale zrobił to w sposób, który na pewno uważał za dyskretny. Erlend nie dał nic po sobie poznać, uśmiechnął się do Torunn i otworzył szampana szybko i z dużą wprawą, wypuszczając gaz z butelki, zanim wyjął korek. Kufel architekta zignorował całkowicie, a kiedy skończył nalewać szampana, napełnił z przesadną elegancją szklanki Lizzi i Jytte wodą mineralną Farris.

– Zdrowie! Niech szczęście, bogactwo i pomyślność spływają na nasze głowy! Kaskadami! – wzniósł toast.

– I za Neshov – dodał Krumme. – I za Torunn.

– I za dzieci, które się narodzą – powiedziała Lizzi.

– I które, dzięki Bogu, wkrótce będą miały włosy na głowie – dodał Erlend. – I brwi.

Musieli pokazać dziadkowi, jak najpierw opróżnić muszlę małża, żeby później używać jej przy jedzeniu jako szczypec.

– I jako łyżeczki. Do tego cudownego sosiku z dna – powiedziała Jytte.

– Mamy przecież w środku łyżeczki – zdziwił się dziadek.

– Ale to nie smakuje tak samo – wyjaśniła Jytte.

– To było znakomite – powiedział Kaj Roger. – Szkoda, że nie wydajesz takiego przyjęcia co wieczór, Torunn!

Dziadkowi trzęsły się ręce, wysilał się, ale nie udawało mu się. Torunn przyniosła mu widelec i łyżkę, które przyjął z wdzięcznością.

– Ale było bardzo dobre – powiedział przepraszająco i zaraz zaczął dłubać w następnej muszli. Z podbródka kapał mu przezroczysty sos.

– Będzie więcej – zapewnił Krumme. – Ale na tej kuchence nie jest łatwo gotować. Gazowa jest znacznie szybsza od elektrycznej, ale jednak...

– Przykro mi – powiedziała Torunn.

– Ależ Torunn, nie chciałem krytykować **ciebie**, skarbie! – rzekł Krumme i wyciągnął do niej rękę przez stół.

Pozostali zobaczyli, że płacze, jeszcze zanim ona sama to poczuła. Erlend objął ją ramieniem.

– Ależ kochana – powiedział i odgarnął jej włosy z czoła, założył część z nich za ucho, pogłaskał ją po ramieniu, muskał delikatnie.

– Przepraszam – szepnęła. – Jestem tylko taka strasznie zmęczona...

Architekt podniósł się i powiedział: – Muszę zrobić zdjęcie.

– Teraz? – spytał Erlend. – Kiedy Torunn płacze?

– Ten stół jest po prostu *beyond*¹⁶! Kryształowe wazony i antyczne drewno, letnie kwiaty i na dodatek bożonarodzeniowe serwetki! I płaczący ludzie jako kropka nad „i”! No i to światło! Norweska jasna noc! Kocham to miejsce! A silosy będą powalać na kolana! Obiecuję!

– No dobra – zgodził się Erlend. – Skoro tak, to rób sobie to zdjęcie. Ale uważaj przy kontroli celnej po drodze do domu, jeśli zostało ci jeszcze coś z tego, co właśnie w siebie wpakowałeś. Piwo tak nie działa.

– Nie bój nic, zanim odjedziemy, wszystko pójdzie – uspokoił go architekt i wyjął z kieszeni mały aparat cyfrowy.

– Kim ma też wykształcenie fotograficzne – wyjaśnił Krumme.

– Tego nie wiedziałem – powiedział Erlend. – I jakie jeszcze ma wykształcenie? Położna? Astrofizyk? Astronauta amator? Chodź, Torunn, weźmiemy sobie buteleczkę, pójdziemy za dom popodziwiać przez chwilę zachód słońca nad górami Fosen. Danie główne chyba może trochę poczekać, co, Krumme?

Usiedli w trawie. Za domem, a przed polami, biegł pas zwykłej ziemi. Trawa była ciepła i nieskoszona, leżała płasko, poszarzała od upału.

– Musimy tu zrobić kącik wypoczynkowy – powiedział Erlend. – Wymurować ładny mały tarasik, na którym będziemy siadywać wieczorami. Jak się siedzi na środku podwórza, człowiek **nic** przecież nie widzi.

– No tak...

– Naprawdę jesteś aż taka zmęczona? Daj kieliszek. Kaj Roger przecież ci pomaga?

– Ciągle chce mi się spać. Bez przerwy.

– To znaczy, że masz depresję. Musisz porozmawiać z lekarzem. Dostać pigułki szczęścia.

– Nie.

– Chorujesz z miłości? Chodzi o tego gościa z Oslo, z którym wdałaś się w kłopoty?

– Christer? Nie, od dawna już o nim nie myślałam...

Inna planeta. Wyprawa psim zaprzęgiem w Maridalen. Trzaskający mróz, a jednak ciepło razem z Christerem. Kozuch i kakao, psy, ciepło od kominka i zdrada. Homofobiczny zasraniec, który uważał, że wszystko jej pasuje tylko dlatego, że był dobry w łóżku. Zastanowiła się, która teraz jest godzina w Tokio, Christer by wiedział, siedząc tam przed ekranem komputera, kupując i sprzedając walutę, zamknięty we własnym egoizmie. Przymknęła oczy, zanurzyła się w tym na króciutką chwilę, tylko na moment. Wycieczki samochodem do jego chatki w lesie, oczekiwanie odczuwane głęboko w brzuchu, jego niedźwiedzie ramiona wokół niej, jego zapach. Takie to banalne i takie cudowne. I niebezpieczne. Tak jakby całkiem się zatracić i polubić ten stan.

¹⁶ *Beyond* (ang.) – poza, ponad wszystko.

Dzięki Bogu miała na tyle rozumu, żeby w porę od niego odejść, zanim całkiem zdążył ją unicestwić, zmienić w kawałek siebie i nic innego. Być z nim to byłoby tak, jakby zupełnie przestać istnieć.

– Kaj Roger szaleje za tobą.

– Nieprawda. – Otworzyła oczy i wpatrywała się w pożar rodzący się na zachodnim niebie. Słońce przesłonięte było płonącymi barwą warstwami wilgoci, z poziomymi paskami niebieskiego atramentu, dlatego ludzie nazywali to pięknem, przecież to tylko mieszanka meteorologii i fizyki, a najbardziej widowiskowe zachody zawdzięczamy zanieczyszczeniu powietrza, jak kiedyś przeczytała.

– A owszem. I jest zrozpaczony, że go nie zauważasz.

– Widuję go przecież codziennie.

– Weź się w garść. Wiesz, co mam na myśli. No i wiesz, Torunn... on jest po prostu... nie mogę znaleźć słów... To po prostu **ciacho**, no, wreszcie znalazłem.

– Na pewno chodzi mu o gospodarstwo.

Erlend zmienił pozycję na trawie. – Boże, mam nadzieję, że nie będę miał zielonych plam na spodniach. Nie chodzi o gospodarstwo. Chodzi o ciebie. I o gospodarstwo również. To na wsi normalne. Lecieć na dziedziczkę ziemi. I na dziedziców też, a jakże. To zupełnie naturalna skłonność, którą **musisz** potraktować poważnie. To po prostu się ze sobą łączy! Czy ty nie możesz dać facetowi chociaż **szansy**?! Daj swój kieliszek, proszę.

– Wypij sam resztę, jestem zmęczona.

– Ale przecież teraz będziemy jeszcze jeść danie główne! A wiesz przecież, że Krumme jest bogiem garnków!

– Przy mojej beznadziejnej kuchence.

– Którą moja beznadziejna matka całkiem wykończyła. To nie twoja wina.

– Margido chciał kupić nową. Ale zamiast tego kupił odkurzacz, pralkę i suszarkę.

– Tak? To bardzo szczerze z jego strony!

– Można się wykupić od tak wielu spraw – powiedziała Torunn.

– O wilku mowa... Słyszę samochód, to może być tylko jeden człowiek. Muszę chyba pójść się przywitać...

Margido włożył jasny garnitur na błękitny T-shirt, wyglądał o dziesięć lat młodziej, zupełnie jak nie on. Niedługo normalnie będzie już tylko w chlewie, pomyślała sobie. Margido kolejno ścisnął dłonie gości przy stole.

– Planowałem przyjechać nieco wcześniej, ale mamy pełne ręce roboty. To przez te upały – powiedział. – Muszę zabrać... trochę towaru i zawieźć do Świętego Olava.

– Trumnę? Jak rozumiem, stodoła jest pełna trumien? – spytał architekt i zaśmiał się z otwartymi ustami, pokazując żywo ruszający się język. Nie było wątpliwości, że Erlend miał rację: po samym piwie człowiek tak się całkiem nagle nie zachowuje.

– Zgadza się – potwierdził Margido.

– Mówisz, że przy upałach jest dużo więcej roboty niż zwykle?

– Starsi ludzie źle je znoszą. Poza tym z wystawieniem trumny w kościele musimy czekać aż do dnia pogrzebu. Zimą można to wszystko przygotować poprzedniego wieczoru i uniknąć w ten sposób korków. Jest wtedy znacznie prościej.

– No tak, nie możesz przecież jechać jak szalony w środku dnia z nieboszczykiem na pace! – zawołał architekt.

– Usiądź, Margido – powiedział Krumme. – Zjemy razem pieczonego halibuta w sosie miętowym, Erlend przyniesie zaraz dodatkowe nakrycie.

- Nie, ja...
- Ależ tak. Musisz przynajmniej spróbować.

Zaoferowała, że zrobi kawę, bo zarówno Erlend i Krumme, jak i Jytte, i Lizzi chcieli się napić po jedzeniu. Mogła dzięki temu wyjść do kuchni i pobyć chwilę sama. Margido pojechał, architekt dostał pozwolenie na obejrzenie magazynu trumien i śmiał się potem po odjeździe Margida przez dziesięć minut bez przerwy.

– Etniczny styl wchodzi na nowy poziom! – krzyczał. – Teraz brakuje już tylko prawdziwego norweskiego skrzata, który mieszkałby sobie w tamtej krzywej chatce!

Było już prawie wpół do jedenastej, też mi pora na kawę, no ale oni nie planowali porannego obrządzania chlewu, obudzą się w wygodnym hotelu. Obserwowała ich ponad nylonową zasłoną, kiedy czajnik szumiał. Wieczorne światło w kolorze indygo spływało na nich i rzucało niebieskie cienie, usta poruszały się niemo, okno wciąż było zamknięte po tym, jak Krumme je zatrzasnęła. Przez szybę słyszała śmiech Jytte, bukiety stały jędrne i napuszone, włosy poruszały się leniwie. Dziadek wycierał chlebem swój talerz, odgryzając raz na jakiś czas kawałek. Dobrze, że mógł wziąć udział w takim wieczorze. A ojciec... Jakby się czuł nad małżami i miętowym sosem, był to zupełnie surrealistyczny scenariusz.

Kiedy wyjmowała z szafki filiżanki, stanęła na dłuższą chwilę i patrzyła na kubek stojący w głębi półki, kubek w kształcie świni z ogonkiem służącym za uszko. Kupiła go dla niego na Boże Narodzenie tuż przed śmiercią babci. Nie ruszała go od czasu, jak tu przyjechała. Teraz szybko go wyciągnęła i wrzuciła do wiadra na śmieci pod zlewem.

Będzie musiała pójść i położyć się, zanim oni odjadą, długo już nie wytrzyma. Wszystko, o czym rozmawiali, to były dzieci i szczeniaki.

– Torunn, postanowiłaś nie mieć dzieci? – spytała Jytte i nalała wrzątku do filiżanki z neską. Erlend zrobił całe przedstawienie na temat nieznamości właściwej ilości proszku w stosunku do wielkości filiżanki, Krumme musiał mu pomóc.

– Nie. Tak się po prostu złożyło – odpowiedziała.

– Masz trzydzieści siedem lat? – rzekła Lizzi.

– Tak. Niedługo kończę trzydzieści osiem.

– To jeszcze nie jest za późno! Moja przyjaciółka urodziła pierwsze dziecko, mając czterdzieści dwa lata. Zdrowe i piękne!

– Nie sądzę... – zaczęła.

– Pomyśl, jak to by było super z tyloma dziećmi, kiedy przyjedziemy tutaj z naszymi maluchami! – zawołał Erlend. – Prawdziwy zjazd rodzinny! Ach, Torunn, musisz brać się do dzieła!

Trącił łokciem Kaja Rogera, który wolał patrzeć w zupełnie inną stronę niż ta, gdzie była Torunn.

– Muszę się teraz położyć, rano mam chlew – powiedziała, wstając.

Dziadek już wcześniej poszedł spać, po licznych ukłonach i podziękowaniach skierowanych w stronę Krumme.

– Już? Jeszcze nie ma nawet jedenastej – rzekł Erlend.

– Ja podobnie – powiedział Kaj Roger. – My tu na wsi musimy wcześniej wstawać, dzięki za wspaniały wieczór i świetne jedzenie. Chodź, Borat! Będziemy mieli spacer i dziś, i jutro rano!

Krumme obiecał jej, że wszystko po sobie posprzątają i że jutro znowu przyjadą. Architekt pomierzy wtedy silosy, wejdą też do środka i dokładnie wszystko obejrzą. Kaj Roger szukał jej wzroku, ale ona unikała go, omiatając tylko wszystkim spojrzeniem i mówiąc dobranoc.

Wchodząc po schodach, musiała oprzeć się o ścianę, weszła prosto do łazienki i zwymiotowała do toalety. Pomyślała o gepardzie w małej klatce na Majorce, gdzie była na swoich jedynych w życiu egzotycznych wakacjach. Przewodnik autokaru obiecał, że pojedą do małego zoo, więc wpisała się na listę. Ten bezdennie głupi człowiek nie zauważył, że nie było to żadne zoo, tylko miejsce przejściowe dla świeżo złapanych zwierząt, które miały być rozesłane do dużych ogrodów zoologicznych w całej Europie. Flamingi łąziły w kółko z przyciętymi końcami skrzydeł, niezdolne do lotu, przewodnik myślał, że tak właśnie mają wyglądać skrzydła. A w małej klatce, zrobionej ze skrzyni przykrytej siatką, kręcił się wokół własnej osi gepard, skrzynia nie była większa niż metr na dwa. Piana ciekła mu z pyska, ze wszystkich stron tłoczyli się ludzie, usłyszała, że zwierzę złapano zaledwie dobę wcześniej. Patrzyła na niego tylko kilka sekund, więcej nie mogła, nigdy nie zapomni tego spojrzenia, panicznej wściekłości dzikiego stworzenia, pomieszanej z nienazwanym lękiem.

Wtedy usłyszała, jak dzwoni komórka, którą zostawiła ładującą się w pokoju. Wytarła usta papierem toaletowym i mozolnie podniosła się z kolan.

To była matka, dzwoniła już chyba z siedem razy, dlaczego ona nigdy nie odbiera?

– Nie słyszałam sygnału, telefon ładował się w pokoju.

Dlaczego nigdy nie zadzwoni, żeby dowiedzieć się, jak inni ludzie się mają? Dogłądanie świń nie zajmuje jej chyba całej doby?

– Sama nie wiem, dni tak szybko mijają. Możemy porozmawiać rano? Jestem teraz taka zmęczona, zwykle kładę się znacznie wcześniej, ale mamy tu gości z Danii, więc jedliśmy późny obiad na podwórku.

Ach tak, więc to się da zrobić, a obiad w Palmen już nie.

– No wiesz, do miasta jest spory kawałek. Naprawdę muszę iść już spać. Pogadajmy lepiej jutro – powiedziała, doskonale wiedząc, że nie zadzwoni. Rozłączyła się i całkiem wyłączyła telefon. Usłyszała, jak dziadek kaszle, i zrozumiała, że leży tam, nie śpiąc, i słucha dochodzących z podwórza głosów i śmiechu. Czy myślał o dawnych czasach, kiedy korzystali ze stołu na zewnątrz? Może o wieczorach pełnych śmiechu, który ucichł w jedną noc razem z dziadkiem Tallakiem?

Wzięła prysznic i usiadła przy parapecie tylko w cienkim podkoszulku na ramiączkach i w majtkach, nalała sobie odrobinę koniaku i zapaliła papierosa. Na nocnym stoliku leżały zapakowane w celofan pudełka z kremami i zestaw podróżny z cieniami do powiek, tuszem do rzęs i pudrem. Zachód słońca kłuł ją w oczy, podwojony przez odbicie z powierzchni fiordu Trondheim. Wzdrygnęła się, kiedy podniosła szklanekę do ust, i pomyślała o spojrzeniu geparda, wzdrygnęła się, bo nagle zdała sobie sprawę, że zawiedzie ich wszystkich.

Teraz też żywych, poza umarłymi. I nienarodzonych. Nie potrzebowali jej, potrzebowali tylko, żeby tu była. Mogła być kimkolwiek. Robotem z prawem własności. Nikim. Przygryzła sobie mocno kłykcie dłoni, zacisnęła z całej siły powieki, plama pulsującej zieleni przeleciała przez siatkówkę. Ale dziadek... Wlała sobie resztkę koniaku do ust, gdzie płyn zmieszał się ze słabym posmakiem wymiocin.

Zapukała ostrożnie do jego drzwi.

– Nie śpisz? – wyszeptwała.

– Tak...?

Leżał na wznak w siatkowym podkoszulku, w którym co niektóre dziurki były porozrywane i połączone z sąsiednimi. Kudłate siwe włosy wystawały miejscami pośrodku klatki piersiowej. Jytte za oknem śmiała się głośno, brzęczały butelki, głos Erlenda był podniecony i krzykliwy, śmiech architekta mieszał się z chichotem Erlenda.

Białka oczu dziadka błyszczały w wieczornym półmroku za zasłonami, ze zdziwieniem wpatrywały się w nią. Powłóczki poduszek były z flaneli w kratkę, sama je zakładała. Stała w drzwiach.

– Nie wytrzymam tego – szepnęła. – Jeśli oni chcą tu przyjeżdżać, będę musiała pozostać.

– Ją na pewno już niedługo umrę. Mnóstwo ze mną roboty – powiedział tylko niewyraźnie, obie sztuczne szczęki leżały w swojej szklance.

Zaczęła płakać, ale nie weszła dalej do pokoju. Gniótł nerwowo róg kołdry, leżący na wysokości talii.

– Ja po prostu... nie daję sobie z tym rady – wyszeptała.

– Tor...?

– Tak.

– Nie ja...?

– Nie. Ty jesteś jedyny, którego... sama nie wiem. Bardzo cię lubię.

– Lubisz?

– Tak.

Zamknął oczy, nadal do niego nie wchodziła, nie potrafiłaby już wtedy od niego odejść.

– Co miałeś na myśli tego wieczoru? Kiedy drzwi były otwarte – spytała cicho. – Że był... ktoś.

– To, o co pytałaś.

– Bardzo mi przykro z tego powodu, to było paskudne, tak cię wtedy wypytywać. Od razu zaczęłam żałować. Ale teraz zastanawiam się, co miałeś na myśli. Wtedy, kiedy kładliśmy się spać.

Czekała, już miała się odwrócić i odejść, kiedy wyszeptał:

– Żołnierz.

Zamknął oczy. Zapadnięte wargi zaczęły drżeć.

Poczuła, jak serce nagle zaczyna jej mocno walić w piersi.

– Żołnierz...? W którym ty byłeś...

– Tak.

– Norweg? – wyszeptała.

– Nie.

– Ale... dlaczego takie ważne jest dla ciebie święto siedemnastego maja, skoro on był Niemcem? – spytała jeszcze ciszej, ściskając mocno framugę drzwi.

Dziadek odwrócił twarz do ściany, usłyszała ciche westchnienie. Erlend niemal wył ze śmiechu i mówił teraz pokraczną duńszczyzną.

– On nienawidził Hitlera, chciał tu zostać, być... Norwegiem.

– Zostać tutaj? Po wojnie?

– Tak.

– Dożył końca wojny? Byliście ze sobą? Razem...?

Czuła spływające łzy, łaskotały ją, tarła się mocno po brodzie.

Oddychał przez chwilę, nie odwrócił się do niej więcej, słyszała, jak mocno wciąga powietrze przez nos.

– Tak... Ale... Potem go zabrali...

– Przepraszam, już nic nie mów... Nie chciałam. Przepraszam.

– Tu! – powiedział, wyciągnął prawą rękę i wysunął szufladę z nocnego stolika. Pociągnął mocno, z szarpnięciem, które spowodowało, że wylądowała na podłodze, a on nawet nie odwrócił się, żeby spojrzeć. Zamiast tego przekręcił się tyłem do niej, a twarzą do ściany. Teraz wyraźnie słyszała, że płacze, nie próbował tego ukryć. Przeszła powoli przez dywanik, czuła pod

bosymi stopami jego fakturę, schyliła się ku zawartości szuflady, wywalonej teraz do góry nogami na podłogę. Parę wyświechtanych książek, mała czarna lupa, jakieś kredki, listek paracetamolu, nietknięty z wyjątkiem jednej tabletki, nieotwarty zestaw trzech równo złożonych chusteczek do nosa, na plastikowej pokrywie pokrytej szarym kurzem widać było cienkie, złote litery tworzące napis „Hygo Taschentücher“.

I małe zdjęcie, takie do paszportu.

Odwróciła je do światła przesączającego się przez szczelinę między zasłonami, był to młody mężczyzna w niemieckim mundurze, tak strasznie młody, dumnie i otwarcie patrzący prosto na fotografa. Zdjęcie było mocno podniszczone. Stała z tą młodą twarzą między palcami i słuchała jego płaczu, ledwie się trzymała na nogach, chciała dotknąć jego ramienia, ale wiedziała, że to byłby błąd, tyle już wystarczyło. Ostrożnie, zmuszając się do głębokiego oddychania, zebrała drobiazgi do szuflady, zrozumiała, że chusteczki dostał właśnie od tego młodego żołnierza, który pewnie z kolei dostał je z domu. Zapewne od matki, której zależało, żeby jej synek tam na dalekiej północy miał parę ładnych chustek, które można przy ludziach wyjąć z kieszeni. Położyła zdjęcie na wierzchu i wsunęła szufladę na miejsce, odwróciła się i wyszła, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.

Jego życie... Tacy młodzi i naiwni. Pomyśleć, że to mogło się wydarzyć. Wbiła twarz w poduszkę i bezgłośnie krzyczała w nią otwartymi ustami. Tamci pod nią krzatali się w kuchni. Jutro, po obrzędzie w chlewie, kiedy już spakuje swoje nieliczne manatki i odjedzie, nie będzie myślała o dziadku, ale o suszarce stojącej w piwnicy, której nikt nie będzie używał. Być może Margido będzie mógł ją oddać do sklepu i dostać z powrotem pieniądze. Tylko o tym będzie myślała, o niczym innym, nie miała żadnego wyboru, tego bólu nie będzie w stanie unieść, jako dodatku do swojego własnego.

Skuliła się mocno w pozycji embrionalnej, poczuła, jak całe gospodarstwo zaciska się wokół niej, sześć pokoleń, jak klei się jej do skóry.



ROZDZIAŁ 11

Nie znośił pracować w soboty. Niedziele były okej, bo w pewnym sensie weekend już się kończył. Ale w soboty wolał sprzątać mieszkanie, prać i odkurzać, przeglądać rachunki, czytać weekendowe dodatki do gazet. A jednak stał tu w szpitalu, ubrany w rękawiczki i maskę, i zajmował się nieboszczykiem. Jedyne, co było w tym pozytywne, to fakt, że sala była przyjemnie klimatyzowana, można było niemal zapomnieć o fali upałów, która szalała zaledwie o troje drzwi stąd. Na szczęście auto stało na chłodnym parkingu podziemnym. Musi dopilnować, żeby wkrótce zrobić coś w sprawie samochodu. Bez wątplenia potrzebował nowego karawanu. Z klimatyzacją. Między innymi z myślą o letnim przewożeniu trumien do kościołów i dalej.

Kiedy tylko skończy tutaj, chciał pojechać do domu i zagłębić się w swoje zwykłe, sobotnie czynności, nakupować po drodze gazet. A po południu przejedzie się do Neshov. Uważał, że powinien, skoro już oni tu są. Polubił te młode panie, Jytte i Lizzi. Może trochę hałaśliwe, ale sympatyczne, z dobrym uściskiem dłoni. Wyobrażał sobie ich opięte, pękate brzuchy i poczuł wielką ulgę, że są ubrane w nieco luźne sukienki. Nie miał pojęcia, która nosiła dziecko Erlenda. A jedzenie... Ten Duńczyk to dopiero był kucharz! Tak zastawiony stół na podwórzu w Neshov, to musiało być niezłe przeżycie dla starego, chociaż niewiele mówił, jadł tylko, skupiając wzrok na potrawach, ze świąteczną serwetką jak śliniaczkiem pod brodą. Za to ten architekt nie bardzo przypadł mu do gustu. Nadęty gość w zachowaniu, nieciekawym z wyglądu. Chyba też nie zetknął się w życiu zbyt blisko ze śmiercią, sądząc po tym, w jakie radosne podniecenie wprawił go widok magazynu trumien i z jakim zapalem trząsał aparatem. Zupełnie jakby rzędy trumien były świetnym tematem do fotografowania.

Leżące przed nim ciało należało do czternastolatki zmarłej na raka mózgu. Perukę, którą zaczęła nosić, kiedy po chemioterapii wypadły jej włosy, miała teraz zabrać ze sobą do grobu. Kiedy umył dziewczynkę, namaścił i zamknął jej odbyt, ostrożnie naciągnął na zwłoki nieco za dużą pogrzebową koszulę. Nadmiar materiału ułożył pod nią, prawie nic nie ważyła, była jak rozciągnięte, świeżo wyklute pisklą bez piór. Na prawej dłoni miała mały pierścionek z kamieniem w kształcie różowego serca. Wyraz jej twarzy był dosyć dziwny wskutek braku włosów, brwi i rzęs. Widział ślad po tym, jak sama narysowała sobie brwi, i przez parę sekund stał niepewnie, zastanawiając się, czy powinien wyrównać linie. Postanowił to zrobić i znalazł w torbie kredkę do oczu w średnim odcieniu brązu. Delikatnymi pociągnięciami odwzorował prawdziwe brwi dziewczynki. Peruka tworzyła krótką, ciemnobrązową fryzurę z grzywką, naciągnął ją na bliźnię pooperacyjną i błyszczącą, chłodną czaszkę jak na głowę lalki. Stał i przyglądał się jej.

Śmierć. Jego praca.

Śmierć była czymś ostatecznym. Wszystkie decyzje życiowe zostały już podjęte, niczego nie da się zmienić.

Ta czternastolatka nie zdążyła jeszcze dokonać żadnego wyboru życiowego. A co z nim samym, kiedy pewnego dnia będzie leżał, przez kogoś myty i przygotowywany w ten sam sposób. Wtedy wszystko będzie skończone, życie dotrze do mety, przeżyte do ostatniego tchu. Ale aż do najostatniejszej chwili trzeba trwać ze swoimi wyborami, ponosić ich konsekwencje.

Może to dziewczę jednak miało szczęście, nie musząc przechodzić przez całe życie pełne decyzji. Człowiek dowiaduje się, jak katastrofalne były to błędy dopiero wtedy, gdy jest już za późno. Była to makabryczna myśl, na którą jednak pozwolił sobie przez chwilę, a potem zmusił się, aby skierować myśli ku sprawom bardziej zbliżonym do codzienności.

W poniedziałek miał pierwszy raz spotkać się z Pederem, najmłodszym synem Larsa Bovina. Miał przyjść do biura na lunch, a pani Marstad zobowiązała się zorganizować półmisek kanapek z plastrami łososia, rostbefem i krewetkami. Nieczęsto pozwalali sobie na takie luksusy. Przy rozmowach z krewnymi goście raczej nie mieli apetytu, a kiedy byli tylko we troje, każde brało sobie jedzenie ze swojej półki w lodówce, ser, kiełbasę i inne zwykłe rzeczy. Nie jadali halibuta z pieca w sosie mięsowym, pomyślał sobie, najbardziej wyszukaną potrawą były gotowe obiady firmy Fjordland, które podgrzewał we wrzątku, kiedy pracowali do późnego popołudnia.

Złożoną chustę do przykrycia twarzy położył na jedwabnej poduszce obok głowy dziewczynki. Krewni sami ją nakryją w niedzielę wieczorem, kiedy odbędzie się zwykłe wystawienie zwłok z udziałem rodziców i dziadków. Nabożeństwa przy zwłokach nie chcieli. Bardzo rzadko zdarzało się, że gdy umierała na raka młoda osoba, rodzina chciała nabożeństwa przy trumnie. W smutku tych, co zostali, było mnóstwo gniewu, poczucia bezsensu i niesprawiedliwości. Ci rodzice nadal widywali rówieśniczki swojej córki, rozbiegane, zdrowe i beztrudne. W takich sytuacjach tylko bardzo mocno wierzący rodzice mogli chcieć modlitwy przy trumnie. W kościele nie było problemu, tam to w pewien sposób należało do sprawy. Ale stać tak samotnie i słuchać, jak Margido kieruje do nich Słowo Boże, wspólnie się modlić – nie, tego sobie najczęściej nie życzyli. A już zwłaszcza świeccy chrześcijanie, d nie chcieli dopuścić do wypowiedzenia ani jednego słowa, coraz częściej wybierali w takich sytuacjach jeden z większych zakładów pogrzebowych, które mogły zaoferować osobną salę ceremonialną, pozbawioną wszelkich atrybutów religijnych. W takich salach pogrzeby odbywały się według harmonogramu i określonej ceremonii – innej dla świeckich chrześcijan, jeszcze innej dla obcych religii.

Tego by nie zniósł, taki tolerancyjny to znów nie był, sam musiał się do tego przed sobą przyznać.

W tego rodzaju myślach był pogrążony, kiedy zadzwonił telefon, a na wyświetlaczu pojawiło się imię Erlenda. Zdjął jednorazową rękawiczkę z lewej dłoni.

– Tak, tu Margido.

Torunn znikła. Nie było jej. Zaginęła. Erlend krzyczał tak głośno, że telefon trzeszczał, musiał go trzymać w pewnym oddaleniu od ucha.

– Boże święty, ależ o czym ty mówisz? **Zaginęła...**?

Erlend i Duńcyzy akurat przyjechali do Neshov i znaleźli tam starego siedzącego samotnie przy oświetlonej słońcem ścianie i wylewającego strumienie łez! A w pokoju Torunn nie było jej ubrań, zniknęły też jej kosmetyki z łazienki. Erlend sam teraz płakał, podając dłuższy opis jakiegoś kosmetyku, który kupił jej w Kastrup, piekielnie drogiej marki, jedyne, którego postanowiła nie wziąć ze sobą. Uważał to za jakiś **sygnał, wskazówkę!**

– Wskazówkę w jakiej sprawie? Jeśli zabrała ze sobą swoje rzeczy, to przecież **wyjechała**. A nie zaginęła – powiedział Margido. Poczul, że serce zaczyna mu bić gwałtownie i nierówno. Widział, że to nadchodzi, widział i przymknął na to oczy, był za to wszystko

współodpowiedzialny, niezależnie od tego, co Torunn postanowiła zrobić. Albo czego postanowiła nie robić...

Erlend szlochał, Margido słyszał w tle głos Krumme, cichy i pocieszający.

– Przyjadę – powiedział – muszę tylko skończyć tutaj. Będę za jakąś godzinę.

Odwiózł dziewczynkę z powrotem do chłodni, sprawdził ostatni raz, czy wszystko się zgadza na kartce z nazwiskiem i w formularzu, posprzątał po sobie, a potem znalazł samochód i opuścił teren szpitala z obydwoma oknami otwartymi. Myślał o wyrazie jej twarzy poprzedniego wieczoru, o jej ciągle uciekającym spojrzeniu, o tym, że prawie nie jadła i mało co mówiła. Spytał ją, czy pralka dobrze działa, ona przytaknęła ruchem głowy, ale nic nie dodała. Śmiech przetaczał się po podwórzu, wciąż i wciąż, nawet w tej krótkiej chwili, kiedy siedział i próbował ryby, ale ten śmiech otaczał ją tylko, nie docierając do niej. Śledził jej zachowanie, zastanawiał się, co o tym wszystkim myśli, i jedyne, o co ją zapytał, to pralka i jej działanie. Wyprostował się na siedzeniu i zobaczył własne oczy w lusterku, przyglądał się spoconemu, lśniącemu czołu, czuł, jak mokre od potu, śliskie dłonie leżą na kierownicy. Modlił się za nią, składał słowo po słowie, zdanie po zdaniu, kierował je do dobrego Boga, zamiast rozmawiać z nią samą – tą osobą, której to wszystko dotyczyło. Przyjął jej obecność za oczywistość, bo przyjechała tego dnia, kiedy Tor się zranił, myślał, że przyjechała, bo czuła się odpowiedzialna, bo była dziedziczką i musiała przyjechać. Ani razu nie zapytał, dlaczego nagle opuściła Oslo i przejęła całą odpowiedzialność, a nawet wszystkie prace w gospodarstwie, i pozwoliła bez protestu, żeby Tor zwolnił pomoc domową.

Stary siedział z zamkniętymi oczami, głową opierał się o ścianę drewnutni, dłonie położył na udach, wydawał się jakiś bezwładny i oklapnięty. Tak siedziałby ktoś martwy, pomyślał, z całkiem zwiotczalymi mięśniami, trzymany w pionie tylko przez krzesło i ścianę. Erlend siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, pozostała czwórka tkwiła razem z nim przy długim stole na podwórzu. Między nimi stały filiżanki do kawy nie od kompletu i talerz z drożdżówkami, każda z czerwoną wisienką pośrodku oczka kremu, cukiernica i kartonik śmietanki do kawy, słoik z kawą rozpuszczalną i czajnik. Dwa stojące od wczoraj wazon z kwiatami przesunęli na drugi koniec stołu, tak jakby odepchnęli od siebie całe to przyjęcie. Twarze mieli poważne i zmieszane. Teraz musiał przyjąć rolę zawodowca, myśleć konstruktywnie i szukać rozwiązań, nie mógł dać się opanować uczuciom. Kiedy wysiadł z samochodu, podszedł do niego Krumme.

– Wygląda na to, że wyjechała – powiedział Krumme i podał mu rękę, chociaż minęło zaledwie parę godzin, odkąd siedzieli tu razem. – I dziękuję za wczorajszy wieczór.

– To ja dziękuję – odparł Margido. – Nie ma żadnej odręcznie napisanej wiadomości w jej pokoju? Albo gdzieś indziej?

– Nie.

– A telefon? Zakładam, że pewnie do niej dzwoniłście. Dlatego chciałem poczekać, aż przyjadę tu, żeby...

– Erlend dzwonił sto razy i wysyłał SMS-y. Żadnej reakcji.

– A kiedy przyjechaliście, jej już nie było – powiedział Margido. – Tak.

Obszedł stary, klasyczny dom i stanął, kierując wzrok w stronę fiordu. Zadzwoił do Kaja Rogera, który wydawał się całkowicie zaskoczony nowinami. Torunn nie ma? Wyjechała...?

– Na to wygląda. W każdym razie zabrała wszystkie swoje rzeczy. Ale nic nie mówiła, kiedy dziś byliście w chlewie? Że potrzebuje kilku dni spokoju albo coś podobnego...

Nic. Poza tym trudno byłoby wyjaśnić to, że miałyby nagle wziąć sobie niezapowiedziany urlop, akurat kiedy oni przyjechali z Danii. To nie miało sensu.

– No nie, masz rację.

Kaj Roger chciał od razu rozłączyć się i próbować do niej dzwonić.

– To raczej nic nie da. Zupełnie się odłączyła. Nie odpowiada ani na telefony, ani na SMS-y.

Kaj Roger milczał przez chwilę, Margido słyszał, jak szybko oddycha, tak jakby zaraz miał się rozplakać. Czy Margido sądzi, że mogła zrobić sobie coś złego? – usłyszał w końcu.

– Nie mam pojęcia. Wtedy raczej nie zabierałaby rzeczy, po prostu by pojechała. Ale, jak mówię, nie mam pojęcia. Prawdę mówiąc, myślę, że ty ją znasz lepiej niż ja.

Wtedy Kaj Roger powiedział bez ogródek, że Torunn wzięła na siebie odpowiedzialność za samobójstwo Tora. Czuła, że zawiodła go na całej linii, nie mówiąc od razu, że oczywiście z czasem przejmie gospodarstwo, kiedy ją o to spytał, tego dnia, kiedy poszedł do chlewu z pigułkami i wódką.

– Było aż tak źle? – spytał Margido cicho.

Owszem, było. I to wyszło z niej wszystkie siły, tak sądził Kaj Roger, że musiała żyć z tym poczuciem winy, nie wiedząc jednocześnie, co chce zrobić z gospodarstwem.

– To chyba nie pozostaje nic innego, jak tylko czekać, aż się odezwie.

Jeśli się odezwie.

– Nie możemy w ten sposób myśleć. Uważam, że Torunn jest silna i znajdzie jakieś wyjście – powiedział Margido. – Ale chlew...

Tym Kaj Roger na razie się zajmie. I jak tylko skończy wozić żwir, co obiecał dziś zrobić dla sąsiada, od razu przyjedzie do Neshov.

– Wielkie dzięki.

Jytte postawiła przed nim filiżankę z kawą.

– W sumie możemy mimo wszystko pomierzyć silosy – znienacka zaproponował architekt. – Tak na wszelki wypadek.

– No pewnie! – zawołał Erlend. – Niby dlaczego mielibyśmy tego nie robić?

Twarz miał spuchniętą od płaczu, gwałtownym ruchem wyciągnął z kieszeni spodni plastikową buteleczkę i wkroplił sobie przezroczysty płyn do obojga oczu.

– Rozumiem przecież, co tu się dzieje – powiedział architekt.

– Ach tak, a więc **rozumiesz** – odparł Erlend.

– To gospodarstwo musi być prowadzone, tak mi powiedział Krumme, taki jest warunek zbudowania tu mieszkania wakacyjnego.

– A niby kiedy to rozmawiałeś z Krumme o takich rzeczach? – spytał kpiąco Erlend.

– Godzinę temu – odrzekł architekt.

– Kim... – powiedział Krumme. – Czy nie mógłbyś...

– Ale to przecież prawda – potwierdził Margido. – To gospodarstwo podlega obowiązkowi zamieszkiwania i prowadzenia w nim działalności rolnej. W przeciwnym razie zostanie sprzedane. A wtedy prawo pierwokupu ma państwo, które może rozdzielić ziemię między sąsiadów.

– A zabudowania po prostu zostaną i się rozpadną? – spytała Lizzi.

– Tak – odpowiedział Margido.

– Ale **my** możemy w końcu mimo wszystko... – zaczął Erlend, któremu przerwała Jytte: – Nie chcemy przecież mieć domu wypoczynkowego w martwym gospodarstwie, które już nie należy do rodziny!

– Myślę, że teraz musimy się trochę uspokoić – powiedział Margido. – Wiele rzeczy mogło się wydarzyć, może coś w Oslo, coś z matką, i musiała wyjechać w sekundę. Wcale to nie musi oznaczać, że postanowiła...

– Gdyby coś się stało, zawiadomiłaby nas w międzyczasie – zaproponowała Jytte. – A nie tylko odjechała i wyłączyła telefon.

– A rozmawialiście z... nim? – spytał Margido i skinął w kierunku starego.

Erlend dramatycznie potrząsnął głową, na twarzy zastygł mu bolesny grymas. Margido przez moment poczuł ogrom jego rozpacz, przez dwadzieścia lat żył z dala od gospodarstwa i nich wszystkich, a teraz miał wrócić do domu.

– On nie odzywa się ani słowem – szepnął Erlend.

Margido podszedł i kucnął przed plastikowym krzesłem, na którym siedział stary. Zasłon już nie było, siedział na gołym plastiku, w tym upale na pewno wszystko się lepilo. Czuł od niego silny odór, niekoniecznie od niemycia się, ale zapach starości, ten zapach, który wydziela skóra starców, suchą słodkawość.

– To ja – powiedział Margido i lekko dotknął kilku wywiniętych w górę palców. Stary otworzył oczy, pokazał wąski, błękitny cień spojrzenia.

– Powiedziała ci coś, odjeżdżając?

Ponownie zamknął oczy i nic nie odpowiedział.

– Gdzie byłeś, kiedy pojechała? Słyszałeś jej samochód?

Stary skinął głową.

– Gdzie wtedy byłeś? W kuchni?

Ponowne skinięcie.

– Chyba musiała ci coś powiedzieć? O tym, dokąd jedzie? Do Oslo?

– Płakała – powiedział stary.

Margido opuścił głowę na piersi, gapił się na stare kapcie z dziurami na palcach, na skrawki trawy dookoła, cień krzesła na ziemi, trzy-cztery drobne owady, pełzające po cynamonowej, letniej glebie.

– Dłużej już nie wytrzyma... tak powiedziała – szepnął stary.

Margido podniósł głowę, wpatrywał się w gładkie powieki, pokryte drobną siateczką czerwonych żyłek.

– I co jeszcze mówiła?

– Nic więcej. Dłużej nie wytrzyma, powiedziała...

Podniósł się, od razu zakręciło mu się w głowie.

– Wejść do środka i rozejrzeć się trochę – powiedział do siedzących przy stole.

W biurze Tora było dużo skrzynek, pełnych i pustych, biurko zastawione było segregatorami, a półka stała pusta. Widać było na niej grubą warstwę kurzu wzdłuż krawędzi, z paskami po wyciągniętych segregatorach. Wzdłuż listew przypodłogowych rozciągały się grube kłęby kurzu i włosów. Widać, że właśnie sprzątała tutaj, albo raczej wyrzucała. Poprzesuwał trochę segregatory i luźne papiery, beztroski bałagan. W słoiku po miodzie stał wachlarzyk różnej długości ołówków, szerokie pola na drewnienku przy czubku wskazywały, że były ostrzone nożem, a nie temperówką. Wszedł dalej do kuchni, gdzie blat zastawiony był torbami, butelkami i pęczkami warzyw bez opakowania, spora część tego jedzenia powinna była znaleźć się w lodówce, zarejestrował machinalnie, świadczyło to tylko o tym, jak bardzo wytrąceni z równowagi są Duńczycy. Wczorajsze talerze stały na białej suszarce, różowa piankowa mata pod

nią była ciemna od kąpiącej wody. Pod zlewem ciągnęły się rzędy pustych butelek; wąskich po czerwonym winie i pękatych po szampanie.

Spojrzał na kalendarz reklamowy sklepu Coop, czy aby nie zaznaczono nic na sobocie szesnastego lipca, ale nie.

Wszedł po schodach pokrytych farbą, wytartą pośrodku stopni w miękkie półksiężycy, przedostatni stopień jak zawsze mocno zaskrzypiał.

Do tego pokoju nie wchodził od czasów, kiedy był małym chłopcem, do pokoju Erlenda, który przejęła Torunn. Część ściany o rozmiarach plakatu była jaśniejsza niż reszta, ale nie był w stanie przypomnieć sobie, co tam kiedyś wisiało. Okno było otwarte i po panującej tu szczególnej pustce poczuł od razu, że pokoju nie opuszczono tylko na krótki wypad. Łóżko było porządnie zasłane, na parapecie stała szklanka do mleka, podniósł ją i powąchał. Alkohol. Ale nie miał pojęcia jaki. Wyobraził sobie, jak siedziała tu samotnie i piła, to nie było dobre. Był to obraz bolesny i pełen samotności. Zaczął przyglądać się dużemu pudełku w krzykliwych kolorach, które stało na nocnym stoliku. Zestaw kosmetyków do makijażu, wciąż w celofanie. Fotografia na opakowaniu pokazywała paletę barw, odcienie niebieskiego i czerwonego, trochę zieleni i brązów, a także kieszonki na pędzelki i szczoteczki. Pani Gabrielsen byłaby wniebowzięta, mając taki zestaw, zawsze chciała malować zmarłych tak, by jak najbardziej przypominali dawnych siebie. Ciekawe, co by było, gdyby się dowiedziała, że on, siedząc sam w domu, ogląda piąty sezon *Sześciu stóp pod ziemią*.

Sam w domu.

Myślał, że będzie teraz miał coś w rodzaju rodziny. Nie tylko Erlend miał takie właśnie myśli. Że gorzkie korzenie leżące pod Neshov budzą się do żyda, ale na zupełnie innych zasadach. Dobrych i pozytywnych. Dopiero teraz, właśnie w tej sekundzie, zdał sobie sprawę, że tego pragnął, taką miał nadzieję. Nie uświadamiając sobie tej nadziei, nie patrząc, jak lśni mu w dłoniach, nie próbując jej ogrzać, nakarmić własnym działaniem. Nie biorąc odpowiedzialności za własny los, a powierzając ją trzydziestosiedmioletniej dziewczynie z miasta.

Usiadł na łóżku, złożył głowę w dłoniach. Za oknem, na polach ciągnących się do fiordu, szumiało zboże. I co on ma teraz zrobić ze starym, nie może tu sam mieszkać, tak się nie da. No i te świnię. Chlew był pełen żywych zwierząt, którymi ona się opiekowała.

Czuł w ciele ciężar, ogromne wyczerpanie, i ból w krtani, który zmienił się w gorąco w nosie, łązy. Torunn. Mała, dzielna Torunn, szalejąca wokół z odkurzaczem, zdolna Torunn, która nauczyła się obrządzać chlew, cierpliwa Torunn, która gotowała i pielęgnowała dwóch starców, co nie chcieli nawet zacząć nosić okularów. To była jego wina. Poczuł głęboki wstyd, złożył dłonie tak, że zbieleły mu kostki, i próbował wypowiedzieć w myśli modlitwę, ale nie potrafił.



ROZDZIAŁ 12

Tak, uważam, że to jest pewien sygnał, wskazówka. Ani razu nie chciała nawet się ubrać, trochę zadbać o siebie, poprawić urody – powiedział Erlend. – Jedyne, czego pragnęła, to być szarą myszką i zniknąć w tłumie. Skoro nawet nie zabrała swojego zajebiste pięknego zestawu za tysiąc trzysta koron, to tak jakby mówiła „*fuck you!*”! A o tym naprawdę okropnie trudno jest mi myśleć. To oznacza, że w ogóle nie chciała zostać zauważona! To tak, jakby po prostu wolała zupełnie zniknąć!

– Teraz trochę przesadzasz – rzekł Krumme. – Poza tym nie musisz mówić o niej w czasie przeszłym. W zasadzie minęła dopiero doba, odkąd ją ostatnio widzieliśmy.

– Wiem, co mówię! Znam się na takich sprawach!

Margido siedział razem z nimi. Erlend czuł, jak ogarnia go złość tylko od patrzenia na niego.

– A jak ty jej pomogłeś, co, Margido? Słyszałem, że kupiłeś jej coś z gospodarstwa domowego, ale poza tym?

– Przestańcie, proszę... – powiedział ojciec spod ściany drewni.

– A co z nim? Co będzie z nim...? – rzekł Erlend i skinął głową w stronę ojca.

– Daj spokój już – powiedziała Lizzi. – Nikomu to nie pomoże.

– NIE CHCE DAĆ SPOKOJU! Poprzednie dwa razy, kiedy tutaj byłem, wszystko było gówniane, zasrane i do dupy, a teraz, do kurwy nędzy, zanoszą się na to, że po raz trzeci będzie tak samo!

– To przypomniało mi, że muszę wstawić jedzenie do lodówki – rzekł Krumme, podnosząc się.

– Boże święty... – powiedział Erlend, czując, jak łzy znów napływają mu do oczu. Dzięki Bogu, że zawsze miał w kieszeni „Cleareyes”, czerwone oczy były po prostu obrzydliwe, ktoś mógłby go wziąć za prymitywnego palacza haszyszu.

– Masz rację, Erlendzie – rzekł Margido.

– Czyżby...? – zapytał Erlend, pociągając nosem.

– Powinienem być stanowić dla niej lepsze oparcie, ale ja... ja po prostu... Mogłem zabrać tutaj adwokata, nie pytając jej o zgodę, wszyscy szybko nabierają zaufania do adwokata Bergera. Wyjaśniłby jej cierpliwie i w spokoju różne możliwości. A zamiast tego zostawiłem właściwie to wszystko zmiennikowi. Zupełnie jakby on mógł zastąpić nas **we wszystkim**. Wybaczcie mi.

– Wybaczcie mi sam. Gdybym tylko wiedział, że ona tutaj chodzi sama ze swoimi myślami...

– Wiedziałaś o tym dobrze – dobiegł głos Krumme z ganku. – Odkładałaś przyjazd tutaj właśnie dlatego, że nie robiła wrażenia takiej radosnej, jaką chciałbyś ją widzieć.

– KRUMME!

– Taka jest prawda, myszko.

– Nie masz prawa nazywać mnie myszką, kiedy mówisz coś takiego... takiego... okropnego!

– Pomoc i pociecha – rzekła Jytte. – To zaczyna powoli przypominać film Felliniego. Włącznie z szalonym architektem, który upija się przy obiedzie i dostaje ataku dzikiego śmiechu na widok trumien.

Erlend rzucił wzrokiem na Neufeldta, krążącego wokół silosów i robiącego notatki na dużym bloku A-3. Jednocześnie mierzył coś tu i tam za pomocą aparatu wysyłającego promienie podczerwieni i wydającego wysokie piski. Jeśli chodzi o grubość ścian, to Krumme właśnie pomógł mu ją oszacować, wskazując przejście do silosów ze stodoły. Erlend nie chciał im towarzyszyć. Nieprawdopodobne, jak bardzo Krumme potrafił się zmobilizować w potrzebie.

– Dlaczego nie zadzwonimy do jej matki albo ojca – powiedziała Lizzi, wtykając mokry palec wskazujący do cukierniczki, a następnie dokładnie go oblizując. Ciężarne mogą robić takie rzeczy i nikt nawet nie mrugnie okiem, pomyślał Erlend, wszyscy wiedzą, że kierują się wyłącznie instynktami swojego ciała.

– To jest dobry pomysł – rzekł cicho Margido. Wydawał się bledszy, niż kiedy przyszedł, i wyraźnie się pocił.

– Ty też będziesz musiał znowu przenosić swój magazyn trumien, jeśli te budynki tutaj po prostu rozpadną się ze starości – stwierdził Erlend.

Margido nie odpowiedział.

Próbował wymyślić, co jeszcze mógłby powiedzieć, coś złośliwego, ale tylko błędził po omacku. Margido nigdy nie był tak dobrze ubrany jak w tej chwili, nawet jego włochaty kark był świeżo ogolony.

– Masz mnóstwo włosów w uszach, Margido.

– Co?

Margido podniósł na niego twarz pełną takiego smutku, że zachęcał tylko do zadania następnego pchnięcia: – Wszyscy faceci po czterdziestce mają włosy w uszach, taka jest naturalna kolej rzeczy. Pod tym względem sam już okrążyłem Róg Afryki i zacząłem teraz chodzić do Syryjczyka, który jest wprost fantastyczny.

– Syryjczyk...? – zapytał Margido, uciekając spojrzeniem. Ach tak, a więc Kaj Roger uważał, że są do siebie podobni w czymś wokół oczu. Cóż za bzdury. Okolica jego oczu wyglądała zupełnie inaczej.

– Syryjczyk, tak! Z Syrii! – powiedział Erlend. – Chyba słyszałeś o takim kraju!

– Daj wreszcie spokój – rzekła Jytte.

– Wiecie, co on robi?! Kładzie jedną dłoń nad uchem jak kubeczek, a drugą trzyma zapalniczkę, następnie napełnia przewód uszny gazem do zapalniczki i zapala. PUFF, i po wszystkim! I już uszy są bezwłose!

– To brzmi bardzo niebezpiecznie! – powiedziała Lizzi.

– Całkowicie bezbolesne – dodał Erlend. – Robiłem to tylko raz po każdej stronie, ale wszystko poszło zupełnie dobrze. Za to nosem muszę zajmować się sam i robię to specjalną golarką. Elektryczną. To był mój prezent na czterdzieste urodziny od Krumme, który czasami cichaczem też jej używa. O, już idzie. Tylko spójrzcie, jaki ma czysty i ładny nos, a niedługo skończy pięćdziesiąt lat. Pokaż mi swoje włosy w nosie, Margido! A ja nawet mam ze sobą zapalniczkę, mogę załatwić twoje uszy w okamgnieniu!

– Zadzwonię do jej matki – rzekł Margido. – Cissi Breiseth, czy nie tak się nazywa? I rozumiem dobrze, Erlendzie, że jesteś na mnie wściekły. Już przepraszałem.

– Nic podobnego! Prosiłeś o **wybaczenie!** A to zupełnie coś innego!

Margido poszedł do kuchni, mówiąc, że chce znaleźć coś do pisania. Jasne, że to była wina Margida. Jak on i Krumme mogliby siedzieć spokojnie w domu w Kopce i stamtąd próbować

sprościć nadchodzącemu załamaniu egzystencjalnemu w pewnym gospodarstwie koło Trondheim? Chrześcijańskie pieprzenie.

– Może tylko potrzebowała wakacji – rzekł Krumme, siadając ciężko na przykrytej białym materiałem długiej ławie. Wypił malutki łyżeczek kawy, mającej obecnie temperaturę pokojową dwudziestu sześciu stopni.

– To mogła z tym poczekać do jutra, kiedy wyjedziemy. **A** tak to nawet nie spróbuje twojej znakomitej piersi z indyka – powiedział Erlend.

Po upływie kwadransa Margido przyszedł. Telefon komórkowy trzymał w ręce, a nie przy uchu. Wydawał się niezadowolony i siedł z spojrzeniem wbitym w ziemię.

– Rozmawiałem już i z jej matką, i z ojcem, nic nie wiedzą, a w każdym razie tam nie pojechała.

– Jak zachowała się jej matka? – zapytał Erlend.

– Histerycznie – odparł Margido. – Wyzwała mnie.

– A dlaczego? Dlaczego była zła akurat na **ciebie**? – zapytał Erlend.

– Być może z tego samego powodu co **ty** – odrzekł Margido.

Ojciec podniósł się niepewnie, chwytając za plastikową poręcz krzesła, które przewróciło się, musiał więc oprzeć się drugą ręką o ścianę i pozostał w tej pozycji. Erlend przyglądał mu się tak, jak gdyby dzieliła ich duża odległość. Stary człowiek, za którego on i Margido byli teraz odpowiedzialni. Najbardziej Margido. On mieszkał w końcu przy Gråbrødretorv w Kopenhadze. Margido będzie musiał się tym zająć, znaleźć dla starego miejsce w domu opieki albo załatwić mu nową pomoc domową. To Jytte pierwsza podbiegła do staruszka i złapała go za ramię.

– Wszystko w porządku? – zapytała. – Czy to z gorąca?

Skinął głową. – Chcę się położyć.

– Teraz...? Do łóżka?

Ponownie skinął głową. – Jest tak gorąco.

– Chcesz wziąć prysznic? Mam ci pomóc?

– Nie.

– Możemy pojechać na plażę i wykapać się! – zawołał Erlend. – Zabierzemy szampana i będziemy srać na wszystkie zewnętrzne okoliczności! – Nagle poczuł, jak chłodny fiord przyciąga go niczym magnes, ten nieomal erotyczny zapach wodorostów, świergot ptaków, przeczucie piasku i gładkich kamieni w zetknięciu z dłońmi.

– Przecież nie damy rady sprowadzić starego człowieka aż tam – rzekła Jytte, ciągle jeszcze stojąc i trzymając go za ramię.

– Nie, on na to nie ma siły – dodał Margido.

– To w zasadzie bardzo dobry pomysł – powiedział Krumme. – Zejść aż nad fiord.

– Już tam byliśmy – rzekła Lizzi.

– I trochę się migdaliliśmy – powiedział Erlend, czując, jak po raz pierwszy dzisiaj od przyjścia tutaj uśmiecha się.

– Troszkę – odparła Lizzi i mrugnęła do niego. Margido gwałtownie zakaszłał. Ojciec stał, chwiejąc się, obok Lizzi.

– Czy dawno kąpałeś się ostatnio w fiordzie... ojczy? – zapytał Erlend.

– Tak... Ale nie chcę... – zaczął ojciec.

– Jasne, że chcesz. Ale najpierw dostaniesz piwo – rzekł Erlend. – Możesz przecież tylko trochę pobrodzić w wodzie!

Ogarnięty zapałem do projektu, który miał szansę odwrócić uwagę od zagrożenia spowodowanego nagłą nieobecnością Torunn, wbiegł do środka, spakował dwa sześciopaki do

reklamówki, dołożył do tego dwie butelki szampana i kilka szklanek. Znalazł nieotwarty ser szwajcarski, koszyczek pomidorków koktajlowych, nóż, resztki chleba focaccia oraz pojemnik z solą morską, który kupili poprzedniego dnia. Kiedy ponownie wyszedł na dwór, Neufeldt pakował właśnie swoje papiery i przyrządy.

– Jedziemy się wykąpać! – zawołał Erlend.

– Czy nie siedziałeś dopiero co i nie płakałeś? – zapytał Neufeldt.

– To było chwilę temu, a teraz odzyskałem już swoją zwykłą *joie de vivre*¹⁷! Torunn na pewno zrobiła sobie po prostu parę dni wolnego i naprawdę na nie zasłużyła!

– Ale jak my go weźmiemy aż nad wodę? – zapytała Jytte.

– Tutaj biegnie taka mała dróżka, zaraz ci pokażę, Lizzi, ona odchodzi od drogi głównej... Chodź tutaj...

Zaciągnął ją na szczyt alei: – Widzisz te topole tam na dole i tę małą rampę do mleka? Stamtąd odchodzi droga prosto w prawo, ledwo co ją widać, ale ona tam jest. Dosyć kamienista, ale w końcu jedziemy samochodem z wypożyczalni, więc możemy mieć gdzieś, jeśli troszkę zniszczymy opony. Pójdiesz z nim tam.

Odwrócił się do pozostałych i powiedział: – A kąpielówek nie potrzebujemy, tam nigdy nie ma żywego ducha, możemy być w bieliźnie, zabiorę ze sobą mnóstwo ręczników!

Kaj Roger wjechał na podwórko dokładnie w chwili, gdy Lizzi i ojciec weszli do domu. Erlend podszedł do samochodu, Kaj Roger opuścił szybę.

– Idziemy nad fiord wykąpać się!

– A więc Torunn się odezwała? Wszystko z nią dobrze?

– Nie. Ani słowa – rzekł Erlend.

– A wy idziecie... kąpać się?!

– A co mamy robić? Siedzieć tutaj, płakać i zawodzić? Musimy przecież żyć dalej, nawet jeśli świat *as we know it*¹⁸ właśnie zapadł się pod ziemię! Chodź z nami! Bo przecież nosisz chyba bokserki pod dzinsami? Mam ręczniki.

To byłby bonus wynikający z planów kąpeli, pomyślał sobie, zobaczyć półnagiego zmiennika pluskającego się w falach.

– Przyjadę później. Otworzę tylko najpierw drzwi do chlewu.

– My dwaj musimy też najpierw porozmawiać – rzekł Margido do Kaja Rogera, a potem odwrócił się do Erlenda i powiedział: – A później ja pojedę do domu. Będę regularnie próbował dzwonić pod numer Torunn i dam znać, jakbym tylko czegoś się dowiedział. A wy róbcie to samo. Uważajcie na staruszka nad wodą. On nie wytrzyma już wielu wzruszeń.

– Co z nim... zrobisz? – zapytał Erlend. – Kiedy pojedziemy?

– Nie wiem. Da sobie radę sam przez kilka dni. Teraz czekamy na powrót Torunn, a wtedy zobaczymy, co będzie w przyszłym tygodniu. Być może trzeba będzie załatwić nową pomoc domową, tę, która przyjeżdżała tutaj, kiedy Tor... żył.

– Nie wrócisz tutaj? Zjeść z nami wieczorem kolację?

– Nie, dziękuję, nie sędzę, abym dał radę.

– My chyba niezależnie od wszystkiego coś zjemy. To wobec tego nie zobaczymy się już, dzięki więc za ten raz – rzekł Erlend.

– Pozdrów ode mnie pozostałych.

¹⁷ *Joie de vivre* (franc.) – radość życia.

¹⁸ *As we know it* (ang.) – taki, jaki znamy.

Wymanewrowali jakoś ojca z samochodu na szersze kamienie, gdzie przysiadł zadyszany, z pochylonymi plecami i rękami złożonymi na kolanach. Jego flanelowa koszula była ciemnoniebieska i niespecjalnie nadawała się na upał, Erlend podszedł do niego i pochylając się, powiedział:

– Słuchaj... Rozepnę ci teraz koszulę i zdejmę ją, niech ciało zazna trochę słońca.

Ojciec pozwolił mu bez protestu, prawie apatycznie, tak właśnie zrobić, wyciągnął po prostu ręce w bok i pozwolił, aby koszula opadła z jego dała. Pod spodem miał dziurawy, siatkowany podkoszulek. Następnie Erlend ściągnął mu z nóg kapcie, ich widok w zestawieniu z kamieniami, piaskiem oraz resztkami wodorostów był naprawdę **surrealistyczny**. Zdjął mu też skarpety. Spodnie podwinął starannie aż pod kolana, wąsko składając materiał, żeby dobrze się trzymały.

Skóra pod nimi była biała, prawie perłowa, pokryta delikatną warstwą jasnego zarostu.

– Właśnie tak. A zatem jesteś gotów na spotkanie z morzem. Teraz dostaniesz piwo.

Odstawił swoje buty wyżej na górkę, żeby nie zostały zachlapanie wodą. W końcu były to buty marki Ferragamo, ze skóry tak cienkiej i miękkiej, że można by sądzić, iż zostały uszyte z włoskiego napletka. Ojciec pił piwo, mając mocno zaciśnięte oczy, poruszając jednocześnie ostrożnie w sandałach palcami stóp. Plaża nie była typowo piaszczysta, usiana głównie licznymi zbiorowiskami kamieni, z plamami piasku pomiędzy nimi. Będą musieli doprowadzić go jakoś do wody, żeby uniknąć tych kamieni. Sznury błyszczących wodorostów poruszały się wraz z leniwym rytmem fal, na fiordzie nie było ani jednej łodzi, panowała prawie całkowita flauta.

– To zupełnie coś innego niż plaża w Amager – rzekła Lizzi. – Widziałaś, Jytte, jaka woda jest przejrzysta. Moglibyśmy tu przecież uprzątnąć trochę kamieni, prawda, Erlendzie? Zrobić sobie małą, piaszczystą plażę? Nie musi przecież być duża.

Skinął głową. Trudno było myśleć o problemach związanych z dziedziczeniem gospodarstwa, stojąc naprzeciwko fiordu tak błękitnego, że aż bolały oczy. Zdjął spodnie i koszulę, potem wszedł do wody, brodząc po kolana. Boże, jakie to było przyjemne. Nadjechał Kaj Roger. Wymienił spojrzenie z Krumme, teraz mogli sprawić sobie przyjemność, pofantazjować potem wspólnie. Architekt nie sprawiał wrażenia, jakby zamierzał się rozebrać, położył się na skrawku trawy, podkładając sobie dłonie pod kark i zakrywając chusteczką oczy. Fakt, że wolał skrywać ciało pod tkaniną, nie stanowił dla ludzkości wielkiej straty, widok jego brzydkich kolan sprawiał wystarczające wrażenie. Ale zaczepienie oka na krągłym ciele Krumme, ubranego w jedwabne bokserki z nadrukiem postaci Disneya, było prawdziwym szczęściem, na jego miękkich, jędrnych kształtach, przypominających rubensowskiego anioła.

Lizzi wskoczyła obok niego prosto w fale i zaczęła płynąć. Woda chlapnęła na niego, zapiszczała. Ani Jytte, ani Lizzi nie używały staników, najchętniej kąpały się nago, tym razem zachowały na sobie majtki pewnie tylko ze względu na ojca, spojrzał na niego ukradkiem. Ojciec nadal siedział z zamkniętymi oczami, z twarzą wystawioną do słońca, a Jytte kuciała przy nim w samych majtkach i szperała w torbie z piwem.

– Zabrałeś tylko piwo i szampana? – zapytała. – A co z nami, mającymi zadanie przedłużenia rodu?

– Kurczę, zapomniałem. Musicie napić się morskiej wody. Czy mam wrócić i coś przynieść?

– Ależ skąd. Twoja komórka właśnie się odezwała.

To był SMS od Torunn. „Opiekuj się dobrze moim dziadkiem”. Poszedł za szopę na łódzie, ostrożnie stawiając nagie stopy pomiędzy drobnymi kamieniami, korzeniami drzew i całkowicie wysuszonymi wodorostami. Kiedy zniknął za rogiem, Lizzi pomachała mu z fal, uśmiechnął się i odwzajemnił gest. W bezpiecznym schronieniu za szopą odszukał numer telefonu Torunn. Ale

tam już odzywała się poczta głosowa. „Kiedy wracasz?” – napisał. Czy nie dałoby się zlokalizować komórki? Był zdania, że policja na pewno potrafi to zrobić, we współpracy z firmami telekomunikacyjnymi.

Wtedy nagle bezszelestnie wyłonił się przed nim Neufeldt i stał teraz naprzeciwko, twarzą w twarz.

– Jesteś słodki – wyszeptał, obejmując całą dłońią jego krocze, uściśnął je delikatnie, ale zarazem na tyle mocno, że Erlend musiał oprzeć się jedną ręką o gorącą ścianę szopy, plamy od słońca wirowały mu przed oczami, ostro przebijając się przez zamknięte powieki.

– Pragnę cię. Chcę poczuć twój smak. Zadzwoń – powiedział Neufeldt, cofając dłoń, a potem odwrócił się i poszedł z powrotem. Erlend usłyszał, jak głośno mówi: – Nieprawdopodobne, że człowiekowi udaje się wyprodukować jakiś mocz w tym upale, myślałem, że wszystko poszło w pot.

Krumme zaśmiał się i powiedział: – Czy Erlend nadal rozmawia przez telefon?

– Tak – odparł Neufeldt.

Erlend, drżąc na całym ciele, wciągnął oddech, spojrział w dół na siebie, na swoją erekcję. Musi natychmiast wyjść z tej chwili i powrócić do normalnego życia i przytomności, udawać, że nic się nie stało, w końcu pochodził, do cholery, z chłopskiej rodziny, a chłopcy byli specjalistami w udawaniu, że nie ma sprawy.

– Kto to był? – zapytał Krumme, gdy tylko Erlend wyłonił się zza szopy, ugniótłszy wpiern mocno penisa na miejsce ręką zmoczoną w zimnej, morskiej wodzie.

– Klient. Le Klint. *Pardon the pun*¹⁹.

– Ten od lamp? – powiedział Krumme.

– Tak, kochany, oczywiście. Mamy przecież w domu dwie lampy od Le Klinta, chyba nie jesteś na bieżąco.

– To twoja działka, skarbie.

– Są w gruncie rzeczy całkiem ładne – rzekł Neufeldt.

– Wielkie nieba – powiedział Erlend, nie odwracając się w jego kierunku, zarejestrował jednak kątem oka, że Neufeldt ułożył się w tym samym miejscu co poprzednio.

– Mam taką od Poula Christiansena – dodał Neufeldt.

– Tak, są piękne – rzekł Erlend. – Muszę trochę popracować nad waszą salą przy Kirkestræde.

– A co jest w nich takiego szczególnego? – zapytała Jytte, odgryzając kawałek pomidora, czerwony sok trysnął jej na policzek.

– Są ręcznie robione przez kobiety w Odense – odparł Neufeldt.

– Od sześćdziesięciu lat – dodał Erlend.

– Kurczę, a już myślałem, że wszelkie takie prace zleca się w Azji – powiedział Krumme.

– Gdyby te składaczki lamp zniknęły, nastąpiłaby taka sama fala protestów jak wtedy, gdy Szwedzi zaczęli produkować starkę duńską – rzekł Neufeldt. – Powinniście coś o tym napisać, Krumme.

– To nie jest głupia myśl. Może spróbuj znów zadzwonić do Torunn – powiedział Krumme.

Erlend wybrał numer i przyłożył telefon do ucha.

– Ciągłe automatyczna sekretarka – rzekł. – A teraz wszyscy idziemy się kąpać. Ty też, Kaj Roger!

– Nie mam takich eleganckich bokserów jak wy.

¹⁹ *Pardon the pun* (ang.) – Przepraszam za kalambur.

– Oj tam, oj tam. To będziesz chyba zmuszony kąpać się nago – powiedział Erlend z lekkością, która jemu samemu wydała się dziwna. Ale on przecież tylko tam sobie stał.

Erlend i Jytte wzięli ojca między siebie. Stawiał opór, ale się nie poddali. Szczeniak biegał między nimi w dzikim oszołomieniu, zanurzał łeb do wody i grzebał wśród kamieni, a potem otrząsał się gwałtownie.

– Tylko trochę pobrodzimy, żeby skóra poczuła wodę – rzekł Erlend.

„Opiekuj się dobrze moim dziadkiem”. Margido nigdy nie wpadłby na to, żeby zrobić dla niego coś takiego. Powoli wchodzili do wody, ojciec trzymał głowę zwróconą w jego kierunku, starannie odwróconą od widoku małych, nabrzmiąłych piersi Jytte. Ostrożnie stawiał stopy między kamieniami, kiedy woda sięgnęła mu do połowy łydki, wydał z siebie krótkie westchnienie.

– To chyba było przyjemne? – zapytał Erlend, czując, że bez trudu daje radę zachowywać się normalnie. To się nie zdarzyło. Istotne było tu i teraz, stary człowiek, który potrzebował dokładnie tego samego co on: istnieć w chwili bieżącej.

Ojciec skinął głową: – Tak.

– Na pewno wróci, zobaczysz. Wejdziemy trochę głębiej, przynajmniej po kolana, do brzegu spodni. Ależ... ty płaczesz?

– Nie.

– Ależ tak. Ale uporamy się z tym wszystkim. A teraz wypijemy sobie po kieliszku szampana, stojąc tutaj w wodzie. Jytte, trzymam go. Przynieś nam lepiej trochę życiodajnego napoju. I dwie szklanki do mleka. Będziemy sobie tutaj stali po kolana w wodach fiordu Trondheim i stanowili żywy obraz Norwegii. Prawda, ojczu?

– Tak.

– Przyszedł mi właśnie do głowy pomysł. Krumme!

– Nie musisz krzyczeć, myszko, nie zaszłście do wody dalej niż cztery metry.

– Wiesz, co zrobimy? Przelejemy jej pół miliona. Nie sądzisz, że to może ją lepiej usposobić? Sprawić, że zobaczy możliwości tkwiące w fakcie, że chcemy mieć tutaj bazę? Powinniśmy byli to zrobić już dawno temu. Ta kuchenka...

– Może to i nie jest głupie, to prawda – rzekł Krumme, wyjmując szklanki z torby. Jytte walczyła z korkiem od szampana.

– Nie macie chyba do końca dobrze w głowach – powiedział Kaj Roger. – Pół miliona...?

– Trzeba w końcu odnowić gospodarstwo – rzekł Erlend. – A my sądziliśmy przecież, że wystartujemy z tymi planami już w ten weekend. Pół miliona to w zasadzie dopiero początek. Ale teraz wydaje mi się, że to był błąd zjawiać się tutaj tanecznym krokiem i zamierzać zapłacić wszystko po fakcie. Torunn też powinna mieć w całej sprawie swój udział. Mając pół miliona, będzie mogła zająć się wszystkimi sprawami i zapanować nad własnym życiem.

– Jesteś genialny, skarbie – powiedział Krumme.

Jytte z pewnością rozlała pół szklanki szampana, zanim szyjka butelki dosięgła szklanek.

– Niedobrze – rzekł Erlend. – Tego musisz się nauczyć, będziesz przecież matką mojego dziecka. Wyślę do niej zaraz SMS-a.

– Najpierw wypij – powiedział Krumme. – Na zdrowie.

Ojciec kurczowo trzymał się jego przedramienia, gdy drugą ręką podnosił szklankę do ust, stojąc w wodzie, drżący, dziwnie lekki i łatwy do podtrzymania. Mieszkał tutaj od osiemdziesięciu lat. Czy jako młody chłopak kąpał się w fiordzie? Czy biegał wśród kamieni na plaży, żeby szukać skarbów z wraków? Mlasnęła ustami po pierwszym łyku, sztuczna szczeka kliknęła.

– Chcę usiąść – powiedział.

– To idziemy na łąd. Już jesteś po kąpieli – rzekł Erlend.

Krumme oddał mu swoją pustą szklanę, po czym zdecydowanym krokiem wszedł głębiej do wody, zanurkował, wynurzył się i zaczął płynąć.

– Dobrze go niesie woda, no cóż – stwierdził Erlend. – Stąd powiedzenie o korku na pełnym morzu.

Bał się momentu pożegnania z ojcem. Jutrzejsze przedpołudnie planowali spędzić na zwiedzaniu miasta, dlatego należało pożegnać się już dziś po kolacji. Gdyby chociaż miał dostęp do komputera, mógłby przelać te pieniądze od razu. Zamiast tego wysłał SMS-a: „Przelejemy ci pół miliona w niedzielę wieczorem. Nowa kuchenka? Albo cała nowa kuchnia? I łazienka? Dziadek na ciebie czeka. Całusy i uściski od wujków:-))”.

– Teraz wszystko już się jakoś ułoży – powiedział do Krumme, kiedy wspólnie robili jedzenie, a Kaj Roger zajmował się wieczornym obrządkiem w chlewie. – Teraz wróci jej rozum. Takie gadanie, że pieniądze nie uszczęśliwiają człowieka, jest chyba największym kłamstwem tego świata.

– Miejmy nadzieję, że masz rację. Masz, zrób purée. *Butter butter butter.*

On i Krumme zjedli kiedyś obiad w kajuńskiej restauracji w Nowym Jorku, gdzie do befsztyku podano im wspaniałe purée ziemniaczane. Po obiedzie Erlend zapytał kelnera, w czym tkwi tajemnica tego purée, a kelner przekazał im słowa kucharza: *Butter butter butter.*

– Do tego można się przyzwyczać – powiedział Kaj Roger, siadając przy długim stole na podwórku.

– Piwo czy szampan? – zapytał Erlend.

– Mam ze sobą czerwone wino – rzekł Neufeldt, stawiając na stole butelkę. – Z Piemontu. Ginestrino. Powinno co prawda postać w karafce przez kilka godzin, ale jakoś chyba zdołamy je przełknąć i bez tego.

– Krumme znajdzie dla ciebie w domu korkociąg – powiedział Erlend.

Ojciec był w ubikacji, potrzebował dużo czasu, żeby pokonać schody. Lizzi i Jytte siedziały za rogiem tradycyjnego budynku, zwanego *trønderlåna*, podziwiając tam widok i siebie nawzajem. Kiedy Neufeldt wszedł do domu w poszukiwaniu korkociągu, Erlend odwrócił się do Kaja Rogera i powiedział: – *Å propos* pieniędzy, potrzebuję również twojego numeru konta. Żebyś mógł dla niego robić zakupy. Dla ojca znaczy. Będzie tu przecież sam do czasu powrotu Torunn.

– Nie sądzę, aby samo robienie zakupów wystarczyło. On nawet nie umie sobie sam zrobić jeść.

– A więc uważasz, że będzie siedział w salonie i zagłodzi się przy pełnej lodówce?

– Tak.

– Ale przecież my wyjeżdżamy!

– Margido musi coś wymyślić. Może załatwi pomoc domową, na przykład.

– Ale przecież jesteś tutaj rano i wieczorem! Chyba możesz mieć na niego oko? Oczywiście zapłacimy za to! Chyba nie ma sensu załatwianie pomocy domowej, jeśli Torunn jest gdzieś tuż za rogiem.

– Czy masz teraz dużo pracy, czy może...?

– Co masz na myśli? – zapytał Erlend.

– Nie uważasz, że powinieneś zostać tu z nim do czasu, aż Torunn ewentualnie wróci?

– Oczywiście, że ona wróci. A ja mam pracy od cholery.

Tak naprawdę miał wolny prawie cały następny tydzień, ale wtedy nie zamierzał w najmniejszym stopniu być tutaj, tylko leżeć na tarasie dachowym i pracować nad swoją

opalenizną, rozmyślając jednocześnie nad kwestią uformowanych już brwi Eleonory oraz prawdopodobnego koloru jej włosów.

– Ja i tak nie chcę za to pieniędzy. Szkoda mi człowieka.

– Ale na jedzenie dla niego musisz przecież mieć, chyba to rozumiesz! Dawaj swój numer konta. O, tu, napisz mi na serwetce. Długopis pożyczymy od słynnego na cały świat architekta.

– Nie.

Krumme i Neufeldt przynieśli jedzenie.

– Nie chcesz się kąpać i nie chcesz wziąć pieniędzy – rzekł Erlend. – Poddaję się.

Ojciec siedział pochylony nad swoim talerzem obiadowym, z rękami złożonymi na kolanach. Przejrzyste krople skapywały mu z końca nosa na marynowaną indyczą pierś i pieczarki zapiekane z bekonem. Patrząc na niego, Erlend czuł, jak w splot słoneczny uderzają mu drobne ciosy adrenaliny. Margido powinien tu przyjechać i zanocować, dlaczego on sam mu tego nie zaproponował. Ojciec nigdy wcześniej nie został całkiem sam w gospodarstwie, chyba, do diabła, Margido też zdawał sobie z tego sprawę.

– Zjedz teraz – powiedział do niego Erlend.

– Przyjadę przecież jutro wcześniej rano – rzekł Kaj Roger.

Ojciec skinął głową i przykrył sobie twarz serwetką świąteczną, wciągając powietrze w płuca tak mocno, że serwetka wciągnęła mu się do ust.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał Krumme i szybko dotknął ramienia trzymającego serwetkę. Ojciec ponownie skinął głową. Kłamał, żeby ich oszczędzić. Nigdy nie chciał być dla nikogo przeszkodą, pomyślał Erlend. A teraz wiedział, że właśnie tym się stał. Nigdy nie chcę być stary, pomyślał, i stać się ciężarem dla ludzi mających dość własnych kłopotów.

Kiedy wyjechali z podwórka, ojciec siedział w salonie przed telewizorem. Była godzina wpół do jedenastej. Nikt im nie pomachał. Kaj Roger siedział z przodu ze szczeniakiem na kolanach, dzisiaj wieczorem nie musiał iść pieszo do domu.

– Dziękuję za miły weekend – powiedział, kiedy wysadzali go przy Bråliene. Przed nimi rozpościerała się cała zatoka na rzece Gauli, skąpana w świetle letniej nocy, gęsta, ciemnozielona zasłona z krzewów rokitnika gdzieś poprzetykana była lśniąca powierzchnią przybrzeżnych wód. Drobne pstrągi żerowały pod taflą wody, tworząc na jej lustrze liczne kręgi.

Erlend wygramolił się z tylnego siedzenia i usiadł z przodu. W chwili, gdy Lizzi zapaliła samochód i wszyscy pomachali na pożegnanie, usłyszał sygnał SMS-a. To była wiadomość od Torunn. „Nie wróć. Niezależnie od wszystkiego. Więc nie przelewaj żadnych pieniędzy”.

– Czy to od Torunn? – zapytał Krumme.

– Nie – odparł Erlend. – To tylko idiotyczny żart od jakiejś firmy, tak głupi, że nawet nie zamierzam czytać go na głos.



ROZDZIAŁ 13

Usiadła na dolnym łóżku i musiała schylić głowę, żeby nie zahaczyć o górne. Gapiała się prosto na czerwone plastikowe wiadro stojące na stołku, z cynową chochlą zwisającą z brzegu. Na wiadrze wypisana była czarnym flamastrem liczba czternaście, tu i ówdzie cyfry były przetarte.

W dłoni trzymała klucz z szeroką drewnianą przywieszką, na której widniał ten sam numer. Nie został napisany czarnym flamastrem, tylko wypalony w drewnie. Wpatrywała się w napis, przetarła go ręką, pomyślała, że musi teraz szybko wnieść bagaż, w którym znajdowały się butelki z koniakiem. Nie była jednak w stanie poruszyć się, jej ciało było ciężkie jak cały kontynent.

Z sąsiedniego domku usłyszała krzyki dzieci, trochę dalej słychać było odgłosy używanej trampoliny, suche uderzenia o grubą gumę. Grupa młodzieży, którą zauważyła po swoim przyjeździe, a która zatrzymała się w domku naprzeciwko, włączyła właśnie muzykę Cata Stevensa. Na parapecie leżał rząd zdechłych much. W domku, mającym nie więcej niż dziesięć metrów kwadratowych, było tylko jedno okienko, przed nim stał sosnowy stół z czterema krzesłami. Błat stołu świecił pustką. Obok stołka z wiadrem stał stolik z prostą kuchenką elektryczną. Przewód był wyciągnięty, a kabel brudny. Jeżeli chciało się przyjechać późno wieczorem i bez wcześniejszego ustalania terminu, to wzdłuż autostrady E6 wolne miejsce można było znaleźć jedynie na najprostszyc kempingach.

Siedząc, tarła bez przerwy kawałek drewna z liczbą czternaście i gapiała się przy tym na wiadro z wodą. Nie zapamiętała, skąd może przynieść sobie wody, nie dotarła do niej żadna informacja przekazana jej przez właściciela pola kempingowego. Utrwaliło jej się w głowie tylko jedno wyrażenie i było to zakaz palenia. Na pewno czuć było od niej dymem, po tym jak jadąc tu, odpalała w samochodzie jednego papierosa od drugiego. W zupełnej ciszy. Nie włączyła radia, nie włożyła płyty do odtwarzacza. Nadśluchiwała tylko dźwięku gorącego powietrza wpadającego przez otwarte okno i myślała o tym, że będzie musiała oddać Margidowi pieniądze za tę suszarkę do bielizny. Pojechała dłuższą, okrężną drogą przez bardziej górzystą okolicę, bo nie mogła wytrzymać dźwięku innych samochodów poruszających się za nią po drodze. Tam zatrzymała się w najwyższym miejscu i zamierzała pochodzić trochę po mchu, poczuć kamienie pod stopami, wciągnąć w płuca nieco chłodnego powietrza, ale nie zrobiła nic poza wystawieniem nóg na zwirową drogę. Kiedy ruszyła w dalszą trasę, nie była w stanie powiedzieć, jak długo siedziała z głową niewygodnie skrzywioną, opartą o zagłówek fotela.

Czerwone wiadro stanowiło dobry punkt do zaczepienia wzroku. Należało je napełnić czystą zimną wodą. Dobrze było o tym myśleć. Powinna teraz myśleć tylko o tym, o wodzie i o tej suszarce do bielizny. I o koniaku. Młodzież niech sobie wydziera się i skacze, Cat Stevens niech sobie śpiewa, to jej nie dotyczyło. Ale dobrze byłoby, gdyby zdołała się poruszyć, zrobić coś więcej niż tylko przesuwac kciukiem tam i z powrotem po drewnie. Pochyliła głowę jeszcze niżej

i uważnie przyjrzała się swoim obciętym džinsom na tle opalanej na brązowo skóry, poszarpane frędzle wzdłuż linii cięcia zrobiły się nieco wilgotne, na skórze też widać było pojedyncze krople. Czy siedziała tu i płakała? **Koniak. Muszę go przynieść z samochodu. I wody w czerwonym wiadrze.** Zacisnęła pięść wokół kawałka drewna z liczbą czternaście, starając się włożyć w palce całą swoją siłę, rozszerzyć ją na przedramię i dalej do barku, czuła mrowienie aż w karku. **Podnieś się,** pomyślała sobie, **podnieś się z tego obrzydliwego materaca z pianki, na którym spały dziesiątki tysięcy turystów.** Obiema rękoma podparła się o krawędź piętrowego łóżka i popchnęła je, to pchnięcie wydawało jej się silne i energiczne, potem upadła na kolana na podłogę, udało jej się w porę podeprzeć, poczuła na dłoniach drobny piasek oraz ledwo wyczuwalną woń moczu. To na pewno jakieś dziecko posikało się na drewnianą podłogę, w jej głowie natychmiast pojawił się obraz, jak po śmierci ojca musiała wynieść przenośną ubikację, stojącą w schowku na dole w korytarzu, jak wyniosła ją na zewnątrz do wychodka, opróżniła, wylewając wszystko na kolekcję pustych butelek, znajdujących się na dnie, słuchała, jak zawartość rozpryskuje się i chlapie na wszystkie strony. Potem nalała do przenośnej ubikacji wody z amoniakiem, mocnym ruchem zamieszała i ponownie wylała wszystko do dziury. Przenośna ubikacja stała teraz w komórce na drewno, turkusowe wiadro z czarną deską sedesową.

Sposób, w jaki leżał. Jakby odpoczywał. Bez nosa i części jednego policzka. Bez palców prawej ręki. Gwałtownie zwymiotowała na podłogę. Kielbaskę firmy Leiv Vidar w naleśniku, z surową cebulą i ketchupem, popitą wodą mineralną Farris, woń rzygowin zdominowała wkrótce zapach moczu. Bump, bump, bump, odgłos trampoliny. Cat Stevens. *Wild World*, miała w domu tę płytę, nagranie na CD ze śmiesznym rysunkiem na okładce. Trzymając się stołu, na którym stała płytka kuchenna, podciągnęła się z łóżka. Nie miała nawet wody do przepłukania ust. A czuła, jak zasycha, musiała się umyć, zmyć z siebie zapachy, czuła, jak wokół niej i od niej samej śmierdzi. Złapała wiadro, odłożyła chochlę na stół, potem przestąpiła nad kałużą kluskowatych rzygowin i wyszła. Przy samochodzie stała mała dziewczynka.

– Cześć, pani!

– Cześć.

– Jesteś Norweżką!

– Tak.

– Bo ja nauczyłam się rozpoznawać tablice, wiesz! Ale nie masz „N” na aucie!

– Nie. Czy wiesz, gdzie...

– Tutaj je sprzedają. Takie „N”. Tatuś powiedział, że dostanę takie i będę mogła je sobie powiesić na ścianie w moim pokoju. Jak się obudzę w środku nocy i nie będę wiedziała, z jakiego kraju jestem, to spojrzę na „N” i od razu będę wiedziała! Norwegia!

Teraz Stevens śpiewał *Sad Lisa*. Nie miała pojęcia, jak zdoła wysłuchać reszty tej płyty. Chyba było to dość niezwykłe, aby młodzież w obecnych czasach słuchała Stevensa. Zerknęła na nich i kilkakrotnie mocno przełknęła ślinę. Była ich piątka, leżeli na kocach rozłożonych w trawie, z butelkami piwa trzymanymi w beztrojskim uścisku. Muzyka dobiegała z odtwarzacza w samochodzie, drzwi były otwarte, akumulator im padnie, jeśli jeszcze chwilę to potrwa, chyba mieli jakiegoś rocka albo rap, albo coś innego, co mogliby sobie włączyć. Dziewczynka mówiła do niej bez przerwy.

– Wiesz, skąd się bierze wodę?

– Wodę...? – powiedziała dziewczynka. – No coś ty, nie ucieszyłaś się?

– Nie ucieszyłam...?

– Przecież powiedziałam, że poproszę tatusia, żeby kupił dwie! Więc ty też dostaniesz „N”!

- Ach, tak. Ale naprawdę to niekonieczne. Poza tym muszę najpierw znaleźć wodę.
- Przecież tam jest!

Dziewczynka wskazała palcem kran z wodą zamontowany na słupku, pod spodem ułożony był mały pomost z desek. Z kranu kapąło, deski były mokre.

- Jesteś zła?
- Zła? Nie, skądże. Po prostu potrzebuję wody.
- To ja pójdę z tobą!

Dziewczynka podskakiwała przed nią tanecznym krokiem, dwa podskoki na każdej nodze, chude, brązowe nogi wystawały jej z jaskraworóżowych szortów, na górze miała coś w podobnym kolorze. Długi, sztuczny kosmyk wpleciony w jej ciemne włosy również był różowy. Torunn potrzebowała też czegoś do jedzenia, obok recepcji na kempingu znajdował się mały sklepik z liczbami 7-24 nad drzwiami. Na szczęście miała dość przytomności umysłu, żeby zatrzymać się w Otta i kupić sobie lekki, letni śpiwór. Trzeba było skupić się na praktycznej stronie żyda, zajmować się sprawami ważnymi w danej chwili. Nie myśleć. I nie wymagać zbyt wiele od siebie samej. Na przykład, żeby dojechać do Oslo w jeden dzień. Tylko czy ona chwała do Oslo, czy naprawdę zamierzała tam dotrzeć. Margrete w mieszkaniu tuż obok, matka w Sandvika, klinika o rzut kamieniem od domu. Dobrze byłoby spotkać znowu Gunnara. Który miał zostać ojcem. Wreszcie tak naprawdę. Bo ona chyba się już nie liczyła. Dla niego też nie.

- To tutaj! Odkręć d wodę!

Drobne, brązowe rączki mocujące się z kranem, twarz pełna głębokiej koncentracji jak przed ogromną próbą sił. Woda tryskała z końcówki beładnie, na wszystkie strony, ktoś musiał odkręcić uszczelkę kranu. Postawiła wiadro na ziemi i włożyła dłonie pod wodę, zamknęła oczy i trwała tak w zimnie, potem mocno przetarła ręce, napełniła je wodą i piła, piła, następnie przetarła całą twarz i przejechała dłońmi przez włosy.

– Tobie po prostu chciało się pić! Naprawdę chciało d się pić! Tak jak mnie, kiedy **baaaaaaaardzo długo** skakaliśmy na trampce!

Dziewczynka, ach tak. Przez te sekundy kontaktu z wodą na chwilę o niej zapomniała. Podstawiła wiadro pod kran, woda trafiająca w dno opryskała jej całe ręce aż po pachy. To było przyjemne. Spróbowała uśmiechnąć się do dziewczynki.

- Czy tobie jest przykro? Skoro nie jesteś zła?
- Może trochę.

– Mamie też jest przykro, kiedy są dla niej niedobrzy w pracy. A są. Czasami. Ona jest **polecjantką**, wiesz.

- Ach tak.

– Ale wtedy ona włącza bardzo głośno muzykę i każe nam pobawić się na dworze, a sama tańczy sobie w taki dziwny sposób. Podglądałam. A potem znowu jest w dobrym humorze.

- Aha.

Rzuciła szybkie spojrzenie na sąsiedni domek, skąd najwyraźniej przyszła dziewczynka, bo tam stała również trampolina. Domek był co najmniej trzy razy większy od jej własnego, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa miał ten sam okropny standard, było w nim tylko więcej piętrowych łóżek i pomieszczeń. Przed domkiem na rozkładanym krześle siedziała kobieta, obok miała sztapel gazet oraz butelkę czerwonego wina, ręką trzymającą kieliszek cały czas poprawiała sobie okulary na nosie. Mężczyzna obok niej napełniał plastikową torbę pustymi butelkami po napojach, butelki już wystawały z przepelnionego worka.

- Ależ weź sobie do tego nowy worek! – usłyszała głos kobiety.
- A ile ty masz rodzeństwa? – zapytała.

– W ogóle nie mam – odparła dziewczynka. – Tylko bawię się z tymi, co tu też są. I co chcą przyjść do mnie na trampkę. Ale trochę jest mi przykro, wiesz. Oni przecież w ogóle nie chcą ze mną rozmawiać, chcą tylko **poskakać!** Rozumiesz?

– Chyba tak. Ile... ty masz lat?

– Pięć i pół!

– To pewnie niedługo pójdziesz do szkoły, co?

– Taa. Na jesień.

– I możesz chodzić spać tak późno?

– Przecież są wakacje! A tatuś mówi, że jutro może padać, więc trzeba być na dworze, ile się da, kiedy jest ładnie!

– Chyba pójde zanieść do domu moje wiadro. I przyniosę swoje rzeczy z samochodu.

– Do domu? Przecież tutaj nie **mieszkasz?**

– Ależ skąd. Ja tylko...

– Tylko żartowałam. Na pewno zapłaciłaś i takie tam!

Postawiła pełne wiadro przed domem, poszła do sklepiku i kupiła paczkę papieru toaletowego, pięć plastikowych worków, bagietkę, sześciopak, dwie paczki chusteczek jednorazowych, tubkę pasty do zębów. Swoją pastę w irracjonalnym odruchu zostawiła w gospodarstwie. Ale on przecież używał sztucznej szczęki i nie potrzebował pasty do zębów.

Przyniosła swoją torbę i rozłożyła nowy śpiwór na dolnym łóżku. Błyszczący niebieski materiał przykrył brzydkie, pasiaste prześcieradło, w jaki obleczoney został materac z pianki. Przykrył też plamy. Nadal musiała przechodzić nad kałużą na podłodze. Nalała sobie koniaku do szklanki, nie była specjalnie czysta, ale postanowiła to olać. Wypiła trzy solidne hausty, a następnie popiła je wodą, korzystając z metalowej chochli i nie zastanawiając się nad tym, kto przed nią mógł wpaść na to samo. Usiadła na śpiworze. Pachniał plastikiem. Z zewnątrz dobiegał wyraźnie głos dziewczynki, w towarzystwie innego głosu dziecięcego. Koniak trafił do żołądka. Czują, jak ciało zwija się w twardą kluskę sztucznego spokoju. Rozdarła opakowanie z papierem toaletowym, wyciągnęła długi pasek z rolki i rzuciła papier na wymiociny, papier nasiąknął szybko i powstały na nim ciemne plamy, coś na kształt plastycznej mapy, pełnej wzgórz i dolin. Przyglądając się z każdą chwilą coraz wyraźniejszej topografii, wzięła kolejny łyk koniaku. Nie myśleć o świniach, zamkniętych w gorącym chlewie, nie myśleć o spojrzeniach i oczekiwaniu, o dotyku sztywnej szczeciny na dłoni, o miękkich brzuskach prosiąt, jasnych rzęsach nad błękitnym spojrzeniem, usłyszała własne łkanie, suche i krótkie, wyobraziła sobie rampę ciężarówki z rzeźni, mozolne kroczki stawiane przez ciężkie ciała, które nigdy wcześniej nie poruszały się po pochyłej powierzchni, niepewne spojrzenia rzucane na niebo, którego nigdy wcześniej nie widziały, szerokie ruchy krótkowzrocznych oczek skierowanych na zielone pastwiska, o których nic nie wiedziały, nie zdawały sobie nawet sprawy z istnienia zielonego koloru. Błękitne niebo i pastwiska zielone, że też da się poruszać pod tą całą niebieskością, zanurzyć się w zieleni, leżeć w niej, odpoczywać, czując dobrostan i przynależność. To wszystko miały zobaczyć dopiero tuż przed śmiercią, szklanka upadła jej na podłogę, objęła rękoma głowę i zagryzła zęby tak mocno, że coś trzasnęło jej w jednej ze szczęk. Musiała napić się jeszcze, uciec od tego, jeszcze dalej. Przyciągnęła do siebie szklankę, która potoczyła się aż do kałuży wymiocin, wytarła ją dokładnie kawałkiem papieru. Gdyby dodała do tego piwo, może udałoby jej się pić szybciej, napoje gazowane skutecznie zapobiegały wymiotom. Przeszła ponad górą papieru na podłodze i oderwała z sześciopaku butelkę, w małym plastikowym koszyczku ze sztuczkami zaczęła szukać otwieracza, ale nie znalazła. W końcu przyłożyła po prostu butelkę do

brzegu stołu i uderzyła. Kapsel odskoczył aż na górne łóżko, a na krawędzi stołu powstała jaśniejsza wyrwa.

Piła. Piła i oddychała, naprzemiennie pociągając z butelki i ze szklanki, wyglądając jednocześnie przez okno upstrzone muszymi kupami. Trójka dzieci skakała na trampolinie, robiły salto mortale, upadały, śmiały się, wyciągały ramiona na boki, przypominając małe, latające krzyżyki, popychały się, były dziećmi i miały wakacje, na pewno nie wiedziały nawet, jaki jest dzień tygodnia. No chyba że dostawały dodatkowe słodczyce w sobotni wieczór, Gunnar kupował jej zawsze pakę telewizyjną, z pudełkiem pastylek, czekoladą i małą figurką do złożenia.

Alkohol spowodował w końcu coś na kształt wymuszonej integracji całego ciała. Głęboko wciągnęła powietrze. „Pół miliona”. Co też oni sobie wyobrażali. „Dziadek na ciebie czeka. Całusy i uściski od wujków:-))”.

Znalazła jeden z pustych worków na śmieci i zaczęła zbierać do niego mokry papier toaletowy. Rozlała chochlą trochę wody po podłodze i przykryła ją świeżą warstwą papieru, wytarła, aż zrobiły się z niego kulki. Kiedy pochylała się, bolał ją brzuch, ale czuła, że nie będzie więcej wymiotować. Alkohol siedział teraz już solidnie w żołądku, był na swoim miejscu, a Cat Stevens nadal jeszcze nie skończył śpiewać. Zużyła cztery chusteczki jednorazowe, żeby się umyć, pachniały intensywnie cytryną. On na pewno już dawno położył się spać, położył się tam sam, o ile nikt z nich nie wpadł na to, że ktoś powinien z nim przemocować. „Nie odchodź”, powiedział, kiedy wychodziła. „Nie odchodź”. Czy była zła? Zupełnie, na wskroś zła? Tak. To było jedyne możliwe wyjaśnienie. Zła i egoistyczna. Nie miała poduszki, właśnie o tym pomyślała, będzie musiała użyć złożonych ubrań, wciśnie je do poszewki po śpiworze.

W tej samej sekundzie, gdy stanęła w drzwiach z mocno zawiązanym plastikowym workiem w ręce, podbiegła do niej dziewczynka.

– Tatusz już nam kupił! – powiedziała, uśmiechając się całą buzią i ciałem, wręczając jej czarne „N” na białym, owalnym tle, zapakowane w plastikową torebkę, oznaczoną w rogu małą flagą Norwegii. W tym samym momencie minął je samochód z przyczepą kempingową, za szybą pojazdu widać było zmęczone i zgrzane twarze.

– Nie potrzebuję tego — powiedziała.

– Ależ tak! Żeby inni widzieli, że ty i twój samochód jesteście z Norwegii!

Matka dziewczynki nadal siedziała na tym samym rozkładanym krześle, butelka z czerwonym winem stała również w tym samym miejscu, ale nie było widać, ile w niej jeszcze zostało. Ojciec siedział na krawędzi tarasu, trzymając w dłoni dużą szklankę pełną złocistego płynu. Nie rozmawiali, patrzyli na nią i na swoją córkę, przyjęła „N” z wyciągniętej dłoni dziewczynki i skinęła z uśmiechem głową w kierunku ojca. Odpowiedział również lekkim uśmiechem, z nutą wyższości dla zasygnalizowania, że czasem gdy dzieci uprą się przy jakimś pomysle, nie pozostaje nic innego, jak go wykonać.

Minęła grupę młodzieży, jakaś para właśnie oddawała się wstępnym macankom, w trawie stała skrzynka piwa.

– Idę teraz spać – powiedziała do dziewczynki, wtykając worek do już bardzo śmierdzącego kontenera.

– A my się kładziemy dopiero, jak mama zaśnie. To znaczy, kiedy jest ładna pogoda.

Policjantka, która musiała odreagowywać stresy, tańcząc samotnie przy głośnej muzyce i pijąc czerwone wino, żeby zasnąć. Czy była dobrą matką? Czy to miało jakieś znaczenie? Czy była dobrą matką, czy nie, nigdy nie zdoła ochronić tej dziewczynki przed wszystkim, co może się jej przydarzyć przez resztę jej życia. Też może skończyć w wieku prawie trzydziestu ośmiu lat, rzygając na podłogę w małym, brudnym domku kempingowym, bez celu i sensu w życiu.

– Jak się nazywasz?

– Therese. A ty?

– Torunn.

– Torunn? Tak nazywają się tylko dorosłe panie.

Wracając do swojego domku, zatrzymała się na chwilę przy grupie młodzieży.

– Moglibyście odrobinę ściszyć muzykę?

Ta sama płyta Stevensa została ponownie włączona w samochodzie.

– *What?*

– *Excuse me, but the music is a bit loud.*

– *You think? Really, it's not loud at all²⁰.*

Zanim zastanowiła się, co robi, podeszła do otwartych drzwi samochodu i z całej siły je zatrzasnęła, Stevens przerwał w samym środku utworu *Where do the children play?*

– *But hello lady! Give us a break here²¹!*

– Dobranoc, Therese.

– Dobranocka, Torunn. Zobaczę, jaka litera jest na ich samochodzie.

Najchętniej otworzyłaby znowu drzwi, ale zamiast tego zamknęła je i otworzyła okno, wychodziło na inną stronę niż domek młodzieży. Zaciągnęła zasłonki w kolorze musztardowym w wąskie, brązowe paski, zawieszona na ohydny, białym pręcie. Pospiesznie otworzyła kolejne piwo, nałała sobie nową porcję koniaku, wiedziała, że od tego wszystkiego zaśnie, ale obudzi się już po kilku godzinach, a wtedy koszmarem będzie, jeśli nie będzie mogła się napić. W takiej sytuacji nie będzie w stanie jechać jutro, mogła przecież zostać tutaj do poniedziałku, przeczekać najgorsze. Ugryzła malutki kawałek bagietki, w środku była słodka szynka i ciepły ser oraz mały liść sałaty cały nasiąknięty masłem. *You may still be here tomorrow but your dreams may not²²...* Kurwa. Dźwięk dochodził aż na tę stronę domku, otworzyli znów drzwi i jeszcze bardziej podkręcili dźwięk. Skóra. Musi nabrać grubszej skóry, mieć solidniejszy pancerz. Ale jak to zrobić i gdzie się podziała jej dawniejsza warstwa ochronna? Kiedy ostatnio ją miała? Pierwszą rzeczą, jaką zrobi po powrocie do domu, będzie wyrzucenie tej płyty do śmietnika.

Usiadła przy stole, gapiąc się na „N”, wyciągnęła znak z torebki, powąchała go, pachniał ładnie, jak zupełnie nowe spodnie ochronne albo kalosze. Zerknęła przez szparę w zasłonkach. Dziewczynka i jej rodzice zniknęli już z trampoliny, rozkładanego krzesła i tarasu, zasłonki u nich również zostały zaciągnięte. Zapaliła papierosa, wydmuchując dym przez okno, zamiast popielniczki użyła jednej z pustych butelek po piwie.

O godzinie czwartej zbudziło ją własne łkanie. Była całkowicie mokra od potu i czuła, że dostała okres. Leżała z policzkiem przyciśniętym bezpośrednio do piankowego materaca, zrobił się w tym miejscu mokry, pachniał ciałami, starym tłuszczem z włosów i jej własnym oddechem. Otworzyła oczy i gapiła się w szare światło nocy, marząc o tym, aby móc teraz spojrzeć prosto na „N”, ale litera nadal leżała na stole. Miała sen. Przetarła oczy, nawet we śnie nie była w stanie od tego uciec.

Poczuła to, kiedy stała, nalewając wody do zlewu, żeby umyć tam ziemniaki.

– *Coś tutaj dziwnie pachnie – rzekła.*

Bez odpowiedzi.

²⁰ – Co?/– Przepraszam, ale ta muzyka jest trochę za głośna./– Naprawdę? W ogóle nie jest głośna.

²¹ Kobieto! Odczep się!

²² Jutro nadal tu będziesz, ale twoje marzenia mogą już zniknąć.

Pochyliła twarz nad zlewem, powąchała dokładnie.

– Tu śmierdzi moczem! – powiedziała i spojrzała na ojca, który nie podniósł wzroku znad gazety.

– Powiedz mi, szczech do zlewu?

– Tak – odparł dziadek z salonu.

– ZAMKNIJ DZIÓB! – wrzasnął ojciec.

– Ależ, Boże jedyny, przecież to jest kuchnia! – rzekła. – Nie stoisz przecież i nie...

– Codziennie – powiedział dziadek.

– To jest po prostu nie do wytrzymania! – zawołała, ciskając garnkiem w blat. Ojciec kilkakrotnie oblizał usta, a potem podniósł na nią wzrok. – Nie dość, że od ciebie zazwyczaj śmierdzi, nie dość, że nie myjesz się porządnie, to jeszcze do tego stoisz na środku kuchni i szczech do zlewu? Ja też w zasadzie tu teraz mieszkam, przynajmniej przez chwilę. I nie zamierzam się na to zgadzać! Ty Świnio!

– Mniej musisz wylewać. Mam na myśli przenośną.

– A nie możesz wobec tego wyjść na dwór i wyszczać się tam? Dajesz sobie doskonale radę z wyjściem za dom z chodzikiem, a nie ma już ani lodu, ani śniegu!

– To mój dom. I mój zlew.

– O, teraz to twój? Zdaje mi się, że nie minęło wiele dni od czasu, gdy utrzymywałeś, że to również moje gospodarstwo! Którego nie chcę wziąć.

– Nie chcesz go wziąć? – powiedział.

Szybko dodała: – Akurat dziś niekoniecznie. Teraz zrobię obiad, a ty przestanieś szczech do zlewu. I koniec z tym tematem.

– A więc nie chcesz gospodarstwa. A wtedy... wtedy to wszystko nie ma sensu. Nie ma po co. Wtedy wysłę wszystkich w cholerę do rzeźni i zamknę ten interes. Zaraz zadzwonię do Eidsmo.

Zaczął podnosić się, szukać ręką chodzika.

– Przestań opowiadać głupstwa! Siadaj! – powiedziała.

Obierała ziemniaki, odwrócona do niego plecami, kątem oka widziała dziadka w salonie, siedział zwrócony twarzą do drzwi, jego nowiutkie okulary odbijały światło.

– Trzeba to robić po coś. A jeśli ty nie chcesz tego przejąć, to...

– Ale ja nie mogę przecież tak po prostu zdecydować się w tej chwili na coś takiego – rzekła.

– Masz trzydzieści siedem lat. W tym kraju zdarzają się pięciolatki rozumiejące to, że będą musiały przejąć gospodarstwo.

– Ależ, mój Boże. A jak było wcześniej? Kiedy twoja matka żyła, a ty prowadziłaś to sam? Wtedy ja byłam w Oslo i o niczym nie miałam pojęcia. Po co robiłaś to wtedy? Dla kogo? Nie mów, że to było dla mnie.

– Wtedy żyła matka. Mieszkała tutaj. Wtedy to było po coś.

– Była twoją matką! Starą!

– Nie uważam tak.

Skaleczyła się obierakiem do ziemniaków, ale machnęła na to ręką, woda zmywała krew, obierała dalej.

– Gdyby ta historia z nogą się nie zdarzyła... Wtedy nigdy w życiu nie żądałbyś ode mnie, abym...

– Sądziłem, że chcesz. Już od świąt, od śmierci matki.

– Przecież mówię, że nie wiem! A na pewno jeszcze nie teraz. Może kiedyś.

—Muszę wiedzieć, że chcesz, że to wszystko czemuś służy. Inaczej nic nie ma sensu. Tutaj nic się nie kręci. Musisz o tym pomyśleć. Jesteś dziedziczką.

– *Dziedziczka. Ha! I co mam niby z tym faktem zrobić, co? Sprzedać moje mieszkanie w Oslo i zainwestować wszystko tutaj, czy jak to sobie wyobrażasz? Teraz?*

– *Tak.*

– *Czy ty zupełnie oszalałeś? — zapytała, odwracając się do niego. — Snujesz się tutaj, wiecznie zły, szczasz do zlewu, a ja mam niby... Zapomnij o tym.*

– *Zapomnieć?*

– *Tak. Zapomnij.*

– *Ach tak. To zapomnę.*

Usiadła i przyglądała się plamom na nowym śpiworze, potem zaczęła wycierać się, używając do tego papieru i chusteczek jednorazowych, znalazła w kosmetyczce tampon oraz stary T-shirt, którym przykryła krew na śpiworze, do rana wszystko wyschnie. W ciele poczuła narastające drżenie, zaczęło się w skroniach, potem objęło szczęki i zęby, zaczęła nimi szczękać. Szybko nalała sobie alkoholu do szklanki, wypła jednym haustem, popiła letnią wodą z wiadra, a następnie położyła się z powrotem do łóżka i mocno zacisnęła powieki. On pewnie też leżał teraz bezsennie, w gorącym nieruchomym powietrzu wypełniającym pokój, i rozmyślał o swoim życiu, był ponad dwa razy starszy od niej, może to powodowało podwójną porcję takich myśli.

Niedaleko płakało niemowlę, spocony i zdezorientowany głosik w obcym miejscu, nie można było słuchać spokojnie tego płaczu, zatkała sobie uszy dłońmi, przyciskając je mocno, poczuła na rękach zapach krwi, ale nie chciało jej się zapalać światła, żeby się umyć, światło było ostatnią rzeczą, na jaką miałaby teraz ochotę, gdyby tylko teraz była zima, lodowata i głęboka ciemność, a nie to martwe, zatracone światło wokół niej, nie ta cisza wypełniona śpiącymi, obcymi ludźmi, wrzuconymi na ten kemping razem ze swoim prowizorycznym życiem, które zwali wakacjami. Ponownie wstała i usiadła przy stole, zapaliła papierosa i napiła się jeszcze odrobinę wody, odsunęła zasłonki, żeby wpuścić nieco powietrza. Niemowlę przestało płakać. Włączyła telefon. Nie dostała już więcej SMS-ów od Erlenda, na sekretarce nagrane były tylko trzy wiadomości od matki, których nie zamierzała odsłuchiwać. Oraz SMS od Kaja Rogera.

„Proszę. Jesteś dla mnie tak bardzo ważna”.

Wyłączyła komórkę i wyjęła baterię, położyła ją obok telefonu, gapiąc się na „N”. Jedynie wspomnienie radości, z jaką dziewczynka przekazała jej znaczek, powstrzymywało ją od gwałtownego zmięcia go w kulkę albo próby podarcia na drobne kawałki, może nawet zębami. I nagle wiedziała, że jest tylko jedno miejsce, do którego mogłaby teraz pojechać, jeden jedyny człowiek, przy którym wszystko byłoby na swoim miejscu, gdzie ta osoba, jaką teraz się stała, mogłaby stopić się z tłem.



ROZDZIAŁ 14

Chociaż spieszył się w myślach do Neshov, żeby dopilnować spraw starego, to jednak to, co mówili osieroceni krewni, zafascynowało go. Siedział w Ladę, u trzyosobowej rodziny, która jeszcze pół doby temu liczyła cztery osoby. Ojciec rodziny, Tommy Fromm, tuż przed sześćdziesiątką, wypuścił ze zniszczonych rakiem płuc ostatnią porcję powietrza, pozostawiając żonę, dorosłego syna i córkę. Wokół nich unosiło się jakby światło, radość, którą powoli zaczynał rozumieć. Bo Tommy miał dużo czasu, żeby przygotować własną śmierć, a wszystko, co zaplanował, opierało się na głębokiej miłości.

Wdowa siedziała ze stosem papierów na kolanach, ręcznie zapisane arkusze.

– A więc zapisał pan pieśni, jakie chciał mieć w kościele, no i to solo na saksofonie – powiedziała.

– Tak jest – potwierdził Margido.

– A kiedy ludzie będą wychodzić z kościoła, każdy dostanie czerwoną różę. Tommy zakładał, że wszyscy, którym będzie się chciało przyjść i go pożegnać, lubili go, chciał więc to docenić i dać temu wyraz, rozdając czerwone róże.

– Załatwimy to.

– Róż musi wystarczyć, sądzę, że kościół pewnie będzie pełen. Lepiej za dużo, żeby nikt nie został bez róży, oczywiście za wszystkie zapłacimy – powiedział syn.

– Proszę się nie niepokoić – rzekł Margido. – Współpracujemy z kwiaciarniami i zadbamy o właściwą liczbę z nawiązką.

Szczególnym punktem programu miała być stypa.

– Pana też serdecznie zapraszamy – powiedziała wdowa. – Księdza to także dotyczy, już mu o tym mówiłam.

Wszystkie potrawy Tommy Fromm już zrobił sam. Za tydzień miał skończyć sześćdziesiąt lat i miał nadzieję, że stypa przypadnie w dniu jego urodzin. Od dawna piekł, prażył, smażył i zamrażał, a na ostatniej przepustce w domu postawił krzyżyki przy tych winach z katalogu sklepu monopolowego, które pasowały do potraw. Zakupiono też fajerwerki.

– Będziecie potem odpalać fajerwerki? – spytał Margido.

– Tak – odpowiedziała córka. – Mimo że mamy jasne, letnie niebo. Tata zawsze miał na urodziny fajerwerki, urządzaliśmy je w letnim domku na Stokkoya, no ale tym razem odpalamy w mieście. Powiadał, że skoro Amerykanie mogą to robić czwartego lipca, to on równie dobrze może pod koniec czerwca.

– Możliwe, że to nie jest...

– Legalne? To zapłacimy mandat – dokończyła wdowa. – Będziemy mieć porządne przyjęcie, dokładnie tak jak chciał.

– Dziękuję państwu za to, ale musi to znaleźć się w umowie – powiedział i posłał im uśmiech. Taka afirmacja życia była ostatnią rzeczą, której teraz potrzebował. To nie był czas na niebieski

T-shirt, wrócił do starych nylonowych koszul, nawet tych, co lekko już pożółkły od prania. Brać udział w takim przyjęciu pogrzebowym byłoby tym samym co głośne wychwalanie cudu życia.

– Czy opowiadaliśmy, jak poznał księdza? Ligårda? – spytała wdowa.

– Nie... – odrzekł Margido.

– Tommy przypadkiem przejeżdżał obok jego podjazdu i zauważył faceta stojącego przy wielkiej kupie żwiru, wyglądającego na zrozpaczonego. Tommy zatrzymał się od razu i zapytał, co się dzieje.

– Taki właśnie był – powiedział syn ze śmiechem. – Nikt inny by nie stanął.

– No i o co chodziło? – dopytywał się Margido, który wolał trzymać się wątku. Broszura z trumnami wciąż leżała między nimi na stole, nieotwarta.

– Ktoś wywalił wywrotkę żwiru pod niewłaściwym adresem, a Ligård nawet nie widział ciężarówki, więc nie miał pojęcia, gdzie zadzwonić – kończył syn. – I wie pan, co tata zrobił? Zaraz pojechał, wynajął wielką przyczepę, pomógł pastorowi załadować cały żwir, potem zawieźli to do klubu futbolowego, który chętnie przyjął taki prezent. Zajęło mu to prawie cały dzień! No i tak się poznali.

Margido chętnie zapytałby wprost, czy rodzina jest wierząca, jakoś lepiej by to grało z jego pojmowaniem rzeczywistości, ale nie zdecydował się zadać takiego pytania. Sądząc po wyborze pieśni, nie byli wierzący. Tommy Fromm musiał być po prostu wyjątkowym człowiekiem.

Pojawił się domowy pies i wcisnął się między kolana a kant stołu, kiedy przeszedł, Margido otrzepał sobie spodnie na kolanach.

– Nie rozmawialiśmy jeszcze o trumnie – powiedział.

Na szczęście kiedy wszedł do samochodu, zaczęło padać. Delikatny, letni deszczyk, który wyparowywał jeszcze przed zetknięciem z ziemią, ale to jednak dobry początek. Miasto powoli pokrywało się pyłem od upału, ruchu turystów i zaniedbania mycia ulic. Tu w Lade w co drugim ogródku stał zraszacz, a na Byneset pracowały wielkie deszczownie, przesuwane z miejsca na miejsce po polach truskawek i ziemniaków. Przydałaby się porządna burza, taka co oczyści miasto, nasączy trawniki wilgocią i przyniesie chłopom z Byneset chwilę wytchnienia od nawadniania.

Prysnął płynem na przednią szybę i włączył wycieraczkę. Zaparkował przy żywopłocie z żółtymi kwiatami, cała szyba pokryta była cienką warstwą żółtego pyłku. Był na wskroś przepocony w kroku i na plecach, wysiadł znów z samochodu, żeby zdjąć piaskową marynarkę, którą porządnie złożył i umieścił na tylnym siedzeniu.

Ruszając, wybrał ponownie numer, który wystukał tuż przed zaparkowaniem przed domem rodziny Fromm.

– Tu Margido Neshov. Dzwoniłem wcześniej, żeby porozmawiać z Elisabeth Stavsjø, ale była na spotkaniu. Czy jest już wolna? Dziękuję.

Wrzucił kierunkowskaz i wjeżdżając na główną drogę przy NGU²³, usłyszał głos Stavsjø.

– Tak, tu Margido Neshov. Chodzi o to tymczasowe miejsce dla mojego ojca. Przedwczoraj mówiła pani, że dzisiaj być może będzie wiedzieć coś więcej.

Słuchał, co mówiła, i czuł, jak w żołądku coś skręca mu się boleśnie, była tam tylko kanapka z serem i z boczkiem oraz filiżanka słabej kawy, miał wrażenie, że cała ta zawartość wróci na świat, kiedy Elisabeth Stavsjø wyjaśniała, że wszędzie jest komplet i nie ma szans nawet na miejsce tymczasowe. Tormod Neshov nie był chory, a to, że ktoś mieszka sam i nie podoba mu się to, nie wystarczy, by korzystać z publicznej opieki.

²³ NGU – Norges Godtemplar Ungdomsforbund; organizacja młodzieżowa w Norwegii.

– Ale on jest w ciężkiej depresji. Nie jest przyzwyczajony do samotnego mieszkania i zupełnie nie jest w stanie o siebie zadbać. Mówiłem już o tym przy poprzedniej rozmowie.

Ale przecież Margido mieszka w Trondheim? A to niedaleko od Byneset?

– No tak, ale ja prowadzę firmę. I mam bardzo dużo zajęć.

Nie chciał powiedzieć, czym się zajmuje, bał się, że zażartuje z tego, coś na przykład o tym, że musi wiedzieć, kiedy zwalniają się łóżka w domach opieki, skoro sam je opróżnia. Brzmiała jak właśnie ktoś taki, co mówi wszystko wprost. Jej praca na pewno nie była łatwa, musiała mieć dosyć owijania w bawełnę.

Zaproponowała pomoc domową lub pielęgniarkę, ale od razu dodała, że teraz, kiedy zaczął się okres urlopowy, znalezienie kogoś może być jeszcze trudniejsze.

– Wiem. Sprawdziałem. Ale na to on też nie jest dostatecznie chory.

Dzwonił też wcześniej do Marit Bonseth, pomocy domowej, która kiedyś zajmowała się Torem, ale połączył się tylko z automatyczną sekretarką, która radosnym, męskim głosem oświadczyła, że rodzina wyjechała na wakacje z przyczepą kempingową do Szwecji, ale jeśli to dzwoni włamywacz, to pragnie poinformować, że dom jest wyposażony w alarm, podłączony do firmy ochroniarskiej „Vaktservice”. Męski głos nie podał daty powrotu.

Margido musi dalej sam zajmować się ojcem, póki coś się nie zmieni, wspólnie z innymi członkami rodziny, powiedziała Elisabeth Stavsjø.

– W mieście jestem tylko ja.

Mógł porozmawiać z lekarzem rodzinnym Tormoda Neshova, dostać coś uspokajającego, coś na depresję.

– Pigułki szczęścia? Dla człowieka po osiemdziesiątce?

Tak, na przykład to.

– Kiedy on potrzebuje tylko zwykłej opieki, jedzenia i rozmowy? I dopilnowania przy myciu się?

Wcale nie był pewien, czy ojcu akurat tak strasznie zależy na rozmowach, ale coś przecież musiał powiedzieć.

Przeprosiła głosem wypranym z przeprasającego tonu, ale tak wygląda sytuacja. To politycy wciąż domagają się cięć budżetowych, to nie jej wina.

– Niczego takiego nie insynuowałem – powiedział Margido.

Niech spróbuje zadzwonić za jakiś tydzień.

Od Torunn nie mieli ani słowa, żadnej wiadomości. Od jej wyjazdu minęły już prawie dwa tygodnie. Co wieczór dzwonił do Erlenda spytać, czy czegoś nie wie. Ten wydawał się całkiem spokojny i uważał, że wszystko się ułoży, ale pewnego wieczoru jego telefon odebrał Krumme. Dowiedział się, że byli z Jytte i Lizzi na Bornholmie, Erlend leżał na plaży i spał, a Krumme robił obiad. Pogoda była piękna i cały dzień jeździli na rowerach. Margido jakoś nie mógł sobie wyobrazić Erlenda albo Krumme okrakiem na rowerze, ale tylko przytakiwał, zanim przeszedł do rzeczy.

Nie, nie mieli żadnych wiadomości od Torunn. Ale pieniądze, które jej przelali, wróciły na konto.

– Pieniądze...?

Dali jej okrągłą sumkę, żeby sama mogła zająć się częścią remontu gospodarstwa, na przykład kuchni i łazienki.

– To musiało być sporo?

Pół miliona.

– Pół MILIONA? – zapytał Margido. Wiedział, że są bogaci, ale przelać pół miliona z jednego kraju do drugiego, czy to w ogóle **legalne**?

On i Erlend od początku byli zainteresowani zainwestowaniem w gospodarstwo znacznie większej sumy. Same silosy będą kosztować kilka milionów, a przecież chcieli też porządnie wyremontować stary, tradycyjny dom, *trønderlåna*.

Dziwnie było słuchać, jak Krumme wymawia słowo *trønderlåna*, źle akcentując.

– Ale, jak widać, nie chciała tych pieniędzy. To musi oznaczać, że nie wróci. A co na to Erlend?

No cóż, Margido znał przecież Erlenda. Odsuwał to od siebie i uważał, że Torunn wróci rozsądek, wystarczy jej dać trochę czasu. Neufeldt pełną parą rysował projekt, a Erlend miał tysiąc pomysłów na wnętrza. Erlend nie należał do tych, którzy długo poddają się niekorzystnym okolicznościom życiowym. Poza tym jego zdaniem dając Torunn czas i nie zwracając jej głowy, wysyłają zarazem sygnał, że szanują jej zniknięcie i to, że go potrzebowała. I że właśnie tego teraz jej trzeba.

– No tak, jest w tym pewna logika – odpowiedział Margido.

Kiedy minął Trolla, padało już trochę mocniej, ale tylko na tyle, żeby wycieraczki włączały się co jakiś czas. Jednak nad ujściem fiordu kłębiły się niebieskoszare, obiecujące chmury, może jednak pojawi się dobroczynny deszcz, za którym wszyscy tęsknili.

Drzwi do chlewu były otwarte, dźwięk jego samochodu sprowokował odległe pochrząkiwanie i pofukiwanie. Jakiś prosiak zaczął głośno kwiczeć, zachęcił inne do chóralnego hałasu, który stopniowo ucichł. Prześcieradła Erlenda wciąż leżały na ławach, a wazony stały na stołach, tylko teraz już puste, Margido sam wyrzucił zwiędłe bukiety na skraj pola. W środku wazonów powstały żółte szlaczki od zaschniętej wody po kwiatach. Teraz mogą tu stać i napełnić się świeżą deszczówką, oczyścić się. Zebrał prześcieradła i zasłony i wniósł je na ganek.

– Halo? To tylko ja.

Nikt nie odpowiedział.

Poprzedniego dnia ugotował garnek rosołu z puszki z dodatkową porcją soli i dopilnował, żeby stary zjadł w jego obecności pełen talerz, zanim w pośpiechu odjechał do drukarni.

Kiedy wszedł do kuchni, talerz nadal stał na stole, razem z łyżką. Stary siedział w salonie, z pustymi dłońmi opartymi na kolanach. Nie włączył ani radia, ani telewizora. A Margido poczuł nagłą, gwałtowną irytację, kiedy zauważył filiżankę z kawą i słoik z kawą rozpuszczalną stojący obok, od którego pokrywka leżała na podłodze.

– Kawa rozpuszczalna traci smak, jeśli się jej nie zakręca – powiedział i podniósł pokrywkę. Zwrócił uwagę, że z kranu nad zlewem kapie gorąca woda z małego bojlera, zamocowanego powyżej. Nie wyobrażał sobie, żeby stary miał myć ręce, kiedy nikogo innego nie było w domu.

– Powiedz, lejesz wodę do kawy z **kranu**?

Nie odpowiedział.

– Przecież Torunn kupiła czajnik! To chyba nie takie trudne nalać wody i nacisnąć guzik?!

– Strata czasu.

– Strata **czasu**? Taki jesteś zajęty?

– Nie chcę więcej.

Margido zaczął składać zasłony i prześcieradła, biorąc kilka głębokich oddechów, od brzucha w górę, guziki nylonowej koszuli napinały się na wałku na jego brzuchu.

– Kaj Roger chyba zajrzał do ciebie dziś rano?

– A co to da?

– Co to da? Chodzi o to, żebyś nie był sam. Zawsze ktoś tutaj zagląda.

– Nie.

– Wolałbyś, żeby było tak jak przedtem? – usłyszał własny głos. – Z matką? Która cię tyranizowała? Tak jak Tor?

– Nie.

– To nie narzekaj. Pomyśl, że masz święty spokój i ciszę. I co, teraz już książki, telewizja, radio i tak dalej nie są takie ciekawe?

– Nie.

– Jak masz mówić „nie” na wszystko, to już lepiej siedź cicho.

Położył stos zasłon i prześcieradeł na krześle ze stalowych rur, którego nikt już nie używał, stało wciśnięte w kąt za kuchennym blatem. Włączył radio w środku reportażu o parach, które rozstawały się po stracie dziecka, bo matka i ojciec przeżywali żałobę w odmienny sposób. Nie chciał być w tej całej sytuacji, bolesnej i trudnej.

– Brałeś prysznic?

Stary odwrócił głowę. Podbródek mu drgał, tak jakby zacisnął szczęki.

– Mam dla ciebie gazety.

– Ach tak.

– Zrobię porządną kawę, pewnie masz na nią ochotę?

Skoro już i tak beczynnie tu siedział, zadzwonił do biura i ustawił sprawy do końca dnia, następny pogrzeb mieli dopiero w czwartek, ale za to od razu dwa, i dodatkowo jeden w piątek. Zarówno pani Gabrielsen, jak i pani Marstad wiedziały, w jakiej jest sytuacji, i odciążały go, jak tylko mogły. Pani Marstad zaofiarowała się nawet, że będzie brać domowe wizyty powiązane z obrządzaniem zwłok. Syn Larsa Bovina miał zacząć u nich pracę na okres próbny, ale chciał najpierw pojechać na wakacje. Chociaż dobrze wiedział, że latem jest masa pracy. Akurat to była negatywna cecha, na którą Margido od razu zwrócił uwagę – chłopak zaczynał potencjalną karierę w Zakładzie Pogrzebowym Neshov od trzytygodniowego urlopu. A ojciec musiał mu przecież uświadomić, do diabła, że lato i fala upałów to w branży gorący sezon.

Sztuczna szczęka staro klekotała, kiedy z drżącymi rękami i wargami dmuchał do filiżanki z kawą, Margido poczuł w piersi jakiś milczący płacz i przełknął z trudem ślinę, wpatrzył się we wzorek na laminacie, który przesuwiał się szarymi falami pod startą powierzchnią.

– Myślę, że Torunn nie wróci – powiedział. – Będziemy musieli oddać świnie do rzeźni.

– My...?

– Kaj Roger.

– Może wtedy Torunn wróci – powiedział stary.

– To znaczy?

– Kiedy świnie znikną.

Margido próbował uchwycić jego spojrzenie, ale stary gapił się w filiżankę, którą wciąż trzymał przed ustami. Na każdym stawie palców miał kępki siwych włosów, sam też takie na pewno będzie miał, kiedy się już dostatecznie zestarzeje.

– Kostkę cukru – powiedział.

Margido wstał i wziął cukiernicę z kuchennego blatu.

– Mówiła coś o tym? Że świnie Tora przerosły jej możliwości?

Z radia dobiegała piosenka grana na akordeonie. Z okna kapąły krople deszczu. Stary zanurzył czubek kostki w kawie i włożył ją do ust. Czy to mogło być aż tak proste? Że to praca przy świniami spowodowała, że miarka się przebrała?

– Mówiła? ODPOWIEDZ MI, proszę! A poza tym ten cały cukier ci szkodzi.

– Nie...

– Przepraszam. Nie chciałem...

Wyciągnął rękę i dotknął ramienia starego, ale ten się odsunął.

– Przepraszam – powiedział Margido.

Nagle zapragnął cofnąć się w czasie do tego okresu, w którym nigdy tu nie przyjeżdżał, bo pokłócił się z matką, do tych siedmiu lat, gdy trzymał się z dala od gospodarstwa. Wtedy wszystko było o tyle prostsze, chociaż ciągle prześladowała go myśl o tym, jak Tor i matka pomiatali starym.

Tak by chciał siedzieć teraz w domu w swoim wygodnym fotelu, z nogami na podnóżku i talerzem z kanapką z serem na kolanach, szklanką lodowatego mleka na stole obok i nowym odcinkiem w odtwarzaczu DVD. Zima. Zimno na dworze, sauna w środku. Przewidywalność, śmierć i pogrzeby, przy których można ustawić trumnę w nawie kościelnej już poprzedniego wieczoru.

– No to dzwoń – powiedział stary.

– Co?

– Do Kaja Rogera. Zarznijcie je.

– Może niektóre można sprzedać. To chyba głupio zabijać świnie, które jeszcze nie dorosły do pełnej wagi. Jest środek sezonu grillowania.

– Tak.

– Torunn nie dzwoniła tutaj? Do ciebie? – spytał Margido.

– Nie — odpowiedział i postawił filiżankę krzywo na stole, prawie się przewróciła.

– Próbowałem znaleźć dla ciebie tymczasowe miejsce w domu opieki, ale wszędzie mają pełno.

– Tak.

– Nie jesteś wystarczająco chory. Ale umówię cię na wizytę u lekarza rodzinnego, zawiozę cię tam, możesz dostać jakieś tabletki.

– Tabletki...?

Stary spojrzał mu przez sekundę w oczy z pytającym wyrazem zaskoczenia.

– Nie takie jak Tor? – spytał.

– Nie – odpowiedział Margido. – Pewien rodzaj tabletek, po których przestaniesz być ciągle taki niezadowolony.

Zanim zadzwonił do Kaja Rogera, skontaktował się z matką Torunn. Ona też obiecała zawiadomić, gdyby się czegoś dowiedziała. Odebrała po pierwszym dzwonku i udawała, że nie pamięta, kim jest.

– Margido Neshov. Wuj Torunn. Rozmawialiśmy wiele razy.

Ach tak. Teraz pamięta. Oczywiście, że miała kontakt z Torunn.

– Kiedy? – zapytał Margido.

Tydzień temu.

– Ale dlaczego pani nie...

Zupełnie zapomniała do niego zadzwonić. Poczuł, jak puls mu przyspiesza, poczuł, że nienawidzi tej kobiety, którą spotkał tylko raz, prawie czterdzieści lat temu, nienawidzi jej z żarem nie do pogodzenia z jego wiarą w Boga.

– I co mówiła? – zapytał tylko.

Nic, odpowiedziała Cissi Breiseth, nie rozmawiała z nią, dostała tylko krótkiego SMS-a o tym, że Torunn chce przez jakiś czas mieć święty spokój i przemyśleć wszystko, i że na nic nie ma siły.

– Ach tak. Dziękuję.

Przerwał rozmowę bez dalszych grzeczności, pomyślał, że dawno nie był tak nieuprzejmy, nawet się nie pożegnał. A właściwie... może to był nawet **pierwszy** raz.

– Chciała, żeby ją zostawić w spokoju – powiedział do starego, wstał i odkręcił kran, nabrał w dłonie zimnej wody i natarł nią twarz. Uderzenie zimna dało mu tak potrzebne poczucie kontroli, mimo wszystko. Chciała pomyśleć, podjąć decyzję. Na pewno chciała podjąć właściwą decyzję, to była jednak dobra wiadomość. Wyrżał na dwór na deszcz, drzewo na podwórzu drżało pod uderzeniami kropel. Na zazdrostce przecinającej okno, z prawej strony, zauważył dużą, czerwoną plamę, pewnie od dżemu. Stary kroił sobie kromki chleba i kładł na nie dżem, bez masła, aż trudno uwierzyć, że nie umiał używać nożyka do smarowania, a może tylko udawał, robił z siebie bezradną ofiarę w depresji, żeby skłonić Margida do zamieszkania u niego i dotrzymywania mu towarzystwa.

Plama na zazdrostce nie była jedyną rzeczą, która przyciągała wzrok. W całej kuchni i salonie telewizyjnym widać było ślady ruchów starego. Plamy, resztki jedzenia, zaschnięta kawa na linoleum, ścieżka okruszków z chleba przed blatem, na którym leżała deska do krojenia. Wokół uchwytu drzwi lodówki pełno było odcisków palców, w zlewie brudne szklanki i talerze. Rósł stos gazet. Kosz na śmieci pod blatem otaczały resztki jedzenia, pozostałe po tym, jak kilka razy przepełnił się, zanim Margido wyniósł worek. Tak się to zaczynało, ludzie pozostawieni w samotności umierali we własnym brudzie, nie byli w stanie sprzątać ani prac, już im się nie chciało. Była to surrealistyczna i koszmarna myśl, że firma sprzątająca Freshy miałyby przyjść **tutaj**. Usiadł ciężko na krześle z rur.

– Zarzńcijcie je – powiedział stary.

– Przestań.

– Drą się. Nie mogę tego słuchać. W dzień i w nocy otwarte drzwi.

– Torunn musi o tym zadecydować. Musimy przeczekać.

– Nie. To ja zadzwonię.

– Ty...?

– Tak.

– Znaczy, zadzwonisz i zgłosisz świniobicie? Ty, który nie jesteś w stanie nawet wziąć prysznic?

– Już nie wytrzymam. Niedługo.

– Prawdę mówiąc ja też – powiedział Margido i ukrył twarz w dłoniach, łokcie oparł na stole. Kiedy był małym chłopcem, biegał tu i myślał, że jest szczęśliwy, że wszystko jest trwałe i niezmiennie, że czas stoi w miejscu, że lato nigdy się nie skończy, że w kuchni zawsze jest świeżo upieczony chleb, że dziadek Tallak zawsze będzie tu chodził z szerokimi biodrami w spodniach z grubej wełny, wiszącymi na szelkach jak wielki wór. Gdyby tylko mógł położyć się na zielonych pastwiskach i pozwolić, by dobry Bóg doprowadził go nad wody, gdzie może odpocząć, odzyskać siły. Skąd miałyby brać siłę, jeśli nie od Boga, a przecież siedział tu i był niemiły dla starego, czuł, jak ogromny dystans ich dzieli. **Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.**

Odjął ręce od twarzy i powiedział: – Chcesz pomieszkać ze mną kilka dni? Może tak będzie lepiej. Co prawda nie ma mnie cały dzień, ale mam telewizor. Kabłówkę i masę kanałów, zawsze jest co obejrzeć, cały dzień.

– Że co?

– U mnie.

Stary sięgnął po filiżankę, chwycił uszko, nie podnosząc jej, gapił się na własne palce.

– Nie mam pokoju gościnnego, tylko sofę w salonie. Mogę tam spać, a ty dostaniesz moje łóżko.

– Nie.

– Nie?

– Nie mogę stąd odejść. Może Torunn...

– Myślisz, że niby tak nagle się pojawi?

– Tak.

Przed dłuższą chwilę siedzieli bez słowa. Stary zaczął płakać. Margido poczuł, jak kuchnia zaciska się wokół niego, odbiera mu oddech, zmusza serce do tego, żeby biło wolno i boleśnie, miał pięćdziesiąt dwa lata i w każdej chwili mógł mieć zawał, statystyki to potwierdzały, nadwagę też miał.

– Proszę – szepnął. – Obaj musimy sobie z tym poradzić. Jesteś... moim starszym bratem. Powinieneś...

– Nie.

– Przestań ciągle mówić „nie”! Zwariuję od tego. Przepraszam.

– Nie mam już siły.

Łzy zbierały się wokół worków i zmarszczek pod oczami, środkowy guzik jego flanelowej koszuli był rozpięty, widać było poplamiony podkoszulek.

– Nie musisz nosić podkoszulka w taki upał.

Do kuchni wdarł się dźwięk odległego grzmotu.

– Będzie burza, to dobrze. Byle zboże się nie położyło.

– Jeszcze nie wylegnie – powiedział stary i mocno pociągnął nosem.

– Może... pomodlimy się razem.

Tym razem nie powiedział „nie”, ale potrząsnął głową. Margido złożył dłonie i oparł na nich podbródek.

– Panie nasz, w Tobie jest źródło życia. W Twojej światłości oglądamy światłość. W Tobie żyjemy, poruszamy się i jesteśmy. Pozwól nam żyć i umierać w Twojej miłości, przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

– Pieprzenie.

– Jadę – powiedział i podniósł się. – A do czajnika wlewaj zimną wodę. Od wody z bojlera możesz zatruć się miedzią.

Przemókł do suchej nitki tylko na krótkim odcinku od ganku do samochodu, było to przyjemne. Gardło go bolało, ściśnięte wokół tysiąca rzeczy, które chciał powiedzieć. Staremu. Torunn. Kiedy odpalił samochód, wyszukał jej numer w pamięci telefonu i kierując się impulsem, wcisnął guzik. Odebrała od razu. Dojechał ledwie do połowy alei, zahamował gwałtownie, nie wciskając sprzęgła, silnik zakrztusił się i samochód wykonał króliczy skok do przodu.

– Torunn...?

Tak, o co chodzi. Jej głos brzmiał płasko jak tafla wody, jakoś pusto.

– Ależ Torunn...

Zaczął płakać i przeklął własny brak samokontroli. Kilkakrotnie przełknął szybko ślinę.

– Nie rozłączaj się. Proszę.

Nie miała takiego zamiaru. Spytała, czy płacze.

– Tak. Bo wszystko jest takie beznadziejne. Bo wyjechałaś. Bo tak strasznie mi z tym źle. Wrócisz?

Raczej nie.

– Raczej? Czy na pewno?

Chciała wiedzieć, jak się ma dziadek, i akurat w tym momencie usłyszał w jej głosie uczucie, coś głęboko w niej zamkniętego, czego ona też nie potrafiła uwolnić.

– Źle z nim. Próbuje znaleźć dla niego miejsce w domu opieki, ale jest na to za mało chory. Mam nadzieję zdobyć miejsce tymczasowe.

Nie odpowiedziała, ale wydawało mu się, że słyszy coś w rodzaju słabego załkania.

– Jesteś u siebie w mieszkaniu? Czy to nie w Stovner...

Nie, mieszka u przyjaciela. W lesie.

– Ale te świnię, Torunn. Co mamy... Zastanawiamy się z Kajem Rogerem, co mamy... A stary myśli, że wrócisz, jeśli je zarżniemy.

Powinni to zrobić. Prosiaki pewnie można sprzedać, ale maciory...

Teraz zupełnie wyraźnie słyszał, że ona płacze.

– Torunn, kochanie. Tak mi przykro, że cię nie wspierałem jak należy. Gdybyś wiedziała, jak ja...

Z suszarki nie korzystała. Może ją zwrócić do sklepu i dostać z powrotem pieniądze.

– Suszarka...? – Chyba nie zamierza o tym myśleć?

Tak, to jest ważne.

– Mogę ją wziąć dla siebie, nie mam suszarki. Daj już temu spokój. No więc... zlikwidujemy chlew.

Tak. A ona teraz musi iść, ma sukę, która będzie się szczenić.

– Ach tak? Nie wiedziałem, że ty...

To nie jej. Tego, u którego mieszka.

– Wróciłaś do swojej pracy?

Nie, sprzedaje swoją część kliniki, chce z tym skończyć.

– A co będziesz w takim razie robić?

Nie wiedziała.

– Tu w Neshov możesz przecież robić, co chcesz, Torunn? Staruszek i tak może zamieszkać w domu opieki, żebyś nie musiała się nim zajmować? A Erlend i Krumme pomogą ci finansowo i porządnie wyremontują gospodarstwo.

Nie wróci do Neshov, a teraz musi kończyć. Głos miała znów płaski, bez płaczu, pod kontrolą.

– Dbaj wobec tego o siebie, Torunn. Przepraszam.

Długą chwilę siedział z telefonem na kolanach, patrzył na wyświetlacz, na którym włączył się wygaszacz. Odwrócił się i spojrział na dom, dostrzegł starego stojącego w oknie salonu, za kroplami deszczu, bez ruchu, z rękami luźno zwieszonymi wzdłuż ciała. Włączył silnik i ruszył powoli na główną drogę, nie machając i nie dając poznać, że widział, jak tam stoi.



ROZDZIAŁ 15

Kaj Roger stał w deszczu i przemawiał uspokajająco do macior, które potykając się, wchodziły na rampę i dalej do ciężarówki z rzeźni. Kierowca pomagał mu naprowadzać je na właściwy kierunek. Świnie węszyły ryjami, poruszały uszami na wszystkie strony, próbując zrozumieć, co się tutaj dzieje. Pierwszy raz w całym swoim życiu były na dworze. Margido stał i patrzył, a twarz Tormoda widać było nad zazdrostką w kuchennym oknie. Borat leżał i spał na przednim siedzeniu samochodu terenowego.

– To będzie dla nich długa jazda – powiedział Margido. – Nie wiedziałem, że w Eidsmo nie prowadzą już uboju świń.

Kaj Roger nie odpowiedział, myślami był gdzie indziej, przy Torunn, przy nich dwojgu w chlewie, wokół tych zwierząt, rano i wieczorem, zgranych w rutynowej pracy. Teraz już się zaczęło – pierwszy etap końca wszystkiego. Nie zobaczy jej już więcej, nie odpowiedziała nawet na jednego SMS-a ani na pozostawione wiadomości. To, że nie chciała tu być, to jedno, ale mogłaby przynajmniej porozmawiać z nim, przecież nie zrobił jej niczego złego, zawsze tylko pomagał. Chciał jej powiedzieć, że sam rozważał kupienie gospodarstwa, ale po to, żeby zajmować się czymś innym niż świniami, zacząć ekologiczną uprawę, przebudować chlew na budynki produkcyjne, wytwarzać gotowe wiejskie produkty spożywcze, to była dobra nisza, z dużym popytem.

To kierowca odpowiedział Margidowi: – Do Verdal nie będzie problemu, tam prawie cały czas jest autostrada. Dla żywych zwierząt sama odległość nie ma większego znaczenia, gorzej, kiedy trzeba stawać na światłach, w korkach i tak dalej. Zaskakująco szybko uspokajają się, kiedy już są w przyczepie.

– Pójdą na mielone i salami – powiedział Margido.

– Tak – potwierdził Kaj Roger.

Do tego dnia prawie opróżnili chlew. Zostały dwie maciory, które nie dałyby rady wejść na rampę, i cztery mioty jeszcze nieodstawione od matki.

– I co z tymi dwiema, co zostały? – spytał Margido. Całą odpowiedzialność za sprawne opróżnienie chlewu pozostawił Kajowi Rogerowi.

– Zamówiłem na rano ubój awaryjny na miejscu – odpowiedział.

– Aha. A jak to się odbywa?

Świnie były już w samochodzie, trącały się lekko, wachały podłogę, dwie już usiadły, zamierzając się położyć. Wcześniej porządnie je umył, szczególnie szynki, nawet kierowca zwrócił uwagę, jakie są czyste. Razem zamknęli pakę, a Margido przed odjazdem podpisał papiery kierowcy.

– Możemy o tym pogadać w środku, skoro tak pada.

– I wypić kawę ze starym – zgodził się Margido.

– Zarzą je tu w zagrodzie – wyjaśnił. Margido zrobił im po filiżance kawy rozpuszczalnej, Tormod chciał swoją wypić w salonie z telewizorem. Nie wypowiedział się wiele o odjeździe macior, ale w sumie nigdy za dużo nie mówił.

– Przyjedzie specjalny samochód z rzeźni i weterynarz, który wystawi zaświadczenie o uboju. Najlepiej wyprowadzić je z chlewu. Inne zwierzęta nie powinny patrzeć, są na to odpowiednie przepisy.

– Jak...

– Urządzeniem udarowym. Potem zwierzę wciąga się specjalną windą na samochód.

– Brzmi drogo – powiedział Margido.

– Tak, przy takim uboju wychodzi się mniej więcej na zero. Cena też jest niższa, przystawiają kwadratowy stempel. To znaczy, że całe mięso trzeba poddać obróbce cieplnej. Trzeba z niego robić gotowaną szynkę, salami i tak dalej. Te, co właśnie odjechały, pójda na świeże mięso.

– Sprzedadzą je na surowo?

– Tak.

– A prosiaki sprzedamy – powiedział Margido.

– Dobrze, że Torunn nie bierze w tym udziału.

– Albo Tor – rzekł Margido.

– Gdyby Tor tu był, to wszystko by się przecież nie stało. Tak, małe pójda na wychów do Ranheim. Odstawione prosiaki zabiorą jeszcze dziś, a resztę za trzy tygodnie, do tego czasu muszą tu przychodzić jak zwykle. No, ale będzie przecież mniej pracy.

– A potem ostatnie maciory – powiedział Margido.

– Tak. I będzie pusto.

Obaj w ten sam sposób patrzyli przez okno. Zastanawiał się, o czym myślał Margido, może o tym samym co on. Spojrzał na niego. Jego twarz, zwykle tak zamknięta, teraz była w nieznanym sposobie szeroko otwarta, dziwnie było na to patrzeć. Węzeł jego krawata był minimalnie przekrzywiony, na szwie marynarki na ramieniu leżał włos.

– To było koszmarnie – szepnął nagle Margido.

– Co...?

– Patrzeć tak na nie. Na dworze, w świetle dziennym. Przedtem widziałem je tylko raz, i to było w chlewie. A teraz szły jakby...

– Ale sprawnie dały się załadować – powiedział Kaj Roger i usłyszał, jak bezradnie zabrzmiały te słowa.

– Tak jakbym znów widział, jak Tor znika – powiedział Margido i przeciągnął szybko dłonią po oczach, a potem znów skierował wzrok na podwórze. Kaj Roger zmienił pozycję na krześle ze stalowych rur, przez to plastikowe obicie człowiek zawsze się do niego kleił. Tormod zakasłał w salonie.

– Ja myślałem przede wszystkim o Torunn – powiedział cicho.

Margido obrócił się do niego, jego twarz w sekundę wróciła do normy.

– Oczywiście. Przepraszam, Kaj Roger, ja tylko... Przepraszam.

– Nie musisz. Przepraszając, znaczy. Przecież był twoim bratem. Ale ja myślałem, że ona mnie zechce – powiedział. – Długo tak myślałem. Cieszę się, że byłeś ze mną szczerzy.

– Oj tam, zaraz szczerzy, proszę pana – rzekł Margido. – Przekazałem tylko to, co ona mi powiedziała. Resztę sam sobie wymyśliłeś. Chociaż mieszka u jakiegoś faceta, to równie dobrze może być przyjaciel. Nie musi to zaraz oznaczać, że...

– Oznacza. Czuję to. Opowiadała kiedyś o facecie od psów zaprzęgowych, jak super się jeździ. Założę się, że to on. I że byli kochankami.

– Niekoniecznie jest tak znowu.

– Musisz zrobić wycenę gospodarstwa.

– Najpierw musi się znaleźć wolne miejsce w domu opieki. Wszystko musi iść we właściwej kolejności. Prawda? – powiedział i obrócił się w stronę drzwi do salonu z telewizorem. Tormod zakasłał, usłyszeli kapcie, ostrożnie suwane w tę i z powrotem.

– Wtedy rozważę kwestię kupna.

Margido spojrział mu prosto w oczy, zaskoczony, z uśmiechem, jakiego Kaj Roger chyba wcześniej nie widział.

– Ty...?

– Czy to takie dziwne? Od dawna tu przychodzę. Polubiłem to gospodarstwo. Rwałem się do tego, żeby je postawić na nogi. Torunn cały czas wszystko odrzucała. Ale oczywiście wszystko zależy od ceny.

– Ale... Nie robisz tego po to, żeby...

– Nie. Nie myślę, że z tego powodu Torunn tu wróci. W takim wypadku wróciłaby do cudzego gospodarstwa.

– Niezależnie od wszystkiego będzie musiała przecież załatwić kwestie prawne, papiery i takie tam. Mam wielką nadzieję, że ona rozumie, że musi zaangażować się w formalności, niezależnie od tego, kto to kupi. Na szczęście mamy dobrego prawnika. Może będzie jej łatwiej załatwiać wszystko z nim, a nie z nami, z kimś neutralnym. Tak czy owak wolałbym, żebyś to ty kupił i żeby cena była w granicach rozsądku – powiedział Margido.

– No tak, gdybym teraz zaczął naprawiać budynki, wyświadczyłbym sobie niedźwiedzią przysługę – powiedział Kaj Roger i uśmiechnął się. Zaczynał lubić Margida, trochę jakoś się do niego zbliżył.

– Zostanę tu i poczekam na tych, co przyjadą po pierwszą partię prosiaków – powiedział.

– Ja za dwie godziny mam pogrzeb, muszę jechać. Zgadamy się. Wielkie dzięki, Kaj Roger.

Został w kuchni, siedząc nad pustą filiżanką po kawie, patrzył na drzewo na podwórzu i długi stół z pustymi ławami. Wazony nadal tam stały, teraz po brzegi pełne wody. To w ten piątkowy wieczór, kiedy tak dobrze się bawili, tego wieczoru musiała postanowić, że wyjedzie. Nie rozumiał tego. To chyba właśnie w taki wieczór człowiek myśli inaczej – że tu da się żyć? Tak dobrze mogłoby im tu być. Musiał zamknąć oczy i wyobrazić ją sobie, zobaczyć jej uśmiech, jakże dawno to było. I dzieci, pomyślał. Marzył i fantazjował. Ależ był z niego idiota.



ROZDZIAŁ 16

Naprawdę nie mam już siły się o to kłócić – powiedział Krumme, – a w każdym razie nie dzisiaj. Taka jest rzeczywistość. Spójrz prawdzie w oczy.

– Nie mów tak do mnie. Jestem dorosły.

– To zachowuj się jak dorosły.

Siedzieli w hallu w rozchylonych szlafrokach na krzesłach w stylu empire, po kąpieli w letnim jacuzzi, żeby ochłodzić się w tym upale. Krumme już znowu błyszczał się od potu. Erlend bytował się, bo było tak gorąco, że nie dało się opalać na dachowym tarasie. Skończy jako albinos. A wizyty w solarium w środku lata wydawały się zupełnie bezsensowne.

– Po prostu nic z tego nie będzie, musisz się z tym pogodzić – dodał Krumme.

– No ale nie ma pewności, że ten, kto kupi gospodarstwo, będzie potrzebował silosów. Jeśli będzie tak, jak myśli Margido, że Kaj Roger może dać radę!

– Przecież nie będzie nam się chciało jeździć z wizytą do Kaja Rogera! On znajdzie sobie żonę, będzie miał dzieci i...

– Mogłaby to być Torunn. Kiedy pomyślę, jak ona nas wszystkich zawiodła...

– Zawiodła? Takie myślenie to straszny egoizm, Erlendzie! Ona musi żyć własnym życiem i jak się okazało, nie będzie to życie chłopki.

– Gdybym tylko mógł z nią porozmawiać. Wy tłumaczyć jej, że...

– Masz na myśli: przekonać ją. Bo jej plany są niezgodne z twoimi.

– Tak.

– To właśnie jest egoizm – powiedział Krumme.

– Ale przecież byłoby tak świetnie! Już przecież mam tę tapetę z książkami, i tę do pokoju dziecięcego, i...

– *À propos* dzieci – wtrącił Krumme.

– Tak, Boże święty...

Ucichli. Krumme wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze.

– Tak szalenie cieszyłem się na to USG – powiedział Erlend. – A teraz umieram z niepokoju. Chyba zemdleję.

– Ja podobnie. Czuję już, jak mdleję od samego siedzenia tutaj i myślenia o tym.

Erlend wyciągnął do niego rękę nad marmurowym stolikiem, który stał między krzesłami, Krumme chwycił ją i mocno ścisnął.

– Zajęcza wargą, rozszczep kręgosłupa, trzy nogi – powiedział Erlend. – Może tam w ogóle nie ma w środku ludzi, tylko sama woda.

– To chyba psy miewają ciężę urojone – rzekł Krumme.

– Ludzie też! Zwłaszcza kobiety, oczywiście.

– Boże, na co my się porwaliśmy?

– Teraz już za późno, żeby się wycofać – powiedział Erlend, puścił jego dłoń i wstał.

- **Zdecydowanie** nie powinieneś dziś pić.
- Nie...?
- Później.
- Jeśli będzie **za co** pić. Dlatego myślałem, że może mógłbym na wszelki wypadek...
- Nie – powiedział Krumme. – I znajdziemy gdzieś nieczynny młyn. Będziesz miał co zrobić ze swoimi tapetami.
- Nie mam siły o tym myśleć. Ile jeszcze godzin?
- Trzy. Do wezwania taksówki.
- Myślisz, że Jytte i Lizzi też się tak samo boją jak my?
- Nie, one się cieszą. Uspokój się teraz, myszko.
- I nawzajem.

Dwie i pół godziny później siedzieli w taksówce, zmierzając do prywatnej kliniki na Frederikundsvej numer osiemdziesiąt, bo żaden z nich nie mógł już dłużej wytrzymać. Krumme siedział, trzymając Erlenda za rękę.

Nie znośli być trzeźwy, a szczególnie właśnie dziś. Potrzebował tej małej bariery, którą dawał alkohol, żeby nie dać się ponieść histerii. Czytał w Internecie **stanowczo** za dużo o wadach płodów i wszelkich możliwych komplikacjach. Ostatnio zaczął czytać o samym porodzie i spanikował od tego wcale nie mniej. Rozmawiali o tym też dużo na Bornholmie, o różnych metodach rodzenia, ale wtedy ani myślał o tym, żeby mówić o tym na trzeźwo, sznapsa wychylał już do śniadania, przed leniwym odjazdem w plener na rowerach, z koszami pełnymi łakoci. Od lat nie siedział na rowerze, ale teraz rozważał kupienie po jednym dla siebie i Krumme. Może z fotelikiem dla dziecka z tyłu... W windzie było dość miejsca, żeby wjeżdżać z rowerem na samą górę.

- O czym myślisz? – zapytał Krumme.
- O rowerach.
- Oczywiście. Trzykołowych.
- Nie, tak daleko nie dotarłem w planach. Dzięki za pomysł.
- Jesteśmy na miejscu.

Znaleźli ławkę i usiedli, żeby poczekać.

- Boże, jak gorąco – powiedział Erlend.
- Ciesz się, że nie ważysz tyle co ja.
- Patrz! Powąchaj moją rękę. Czujesz w pocie zapach strachu? Jak jakieś zwierzę!
- No, daj już spokój.

Jytte i Lizzi miały wizyty wyznaczone jedna po drugiej, więc wszyscy mogli wejść razem. Jytte była pierwsza. Erlend trzymał się kurczowo Krumme, kiedy wprowadzili ich do jasnego, dużego pokoju z leżanką, monitorami i innym zaawansowanym sprzętem na jednej ze ścian. Jytte uśmiechała się, spokojna i pełna poczucia bezpieczeństwa, rozmawiając swobodnie z położną, która miała przeprowadzić badanie.

Położyła się na leżance i odsłoniła brzuch. Był opalony, z wyraźnym wybruszeniem, Erlend mnóstwo razy go dotykał, kiedy byli na Bornholmie, czuł, że należy do niego, ale nie pisnął ani słowa o tym, że to wybruszenie ochrzcił już imieniem Eleonora.

Wskazano im krzesła, na których mieli usiąść, a położna wyjaśniała, na który ekran mają patrzeć.

– Dostaniecie dwuwymiarowe zdjęcia. Możecie też dostać trójwymiarowe, jeśli chcecie – powiedziała.

– Chcemy – odparł Erlend.

– Dodatkowo mogę je wam wysłać e-mailem, jeśli chcecie przesłać je innym. Ale najpierw zobaczymy, co tu mamy... Sprawdzimy teraz, czy wszystko wygląda normalnie, czy łożysko jest dobrze ułożone, i potwierdzimy termin porodu.

– I płęć – powiedział Erlend.

– Możemy. Jest pan ojcem?

– Właściwie obaj jesteśmy ojcami – powiedział Krumme. – To sprawa nas czworga.

Położna nałożyła niebieski żel na brzuch Jytte i zaczęła jeździć czymś, o czym Erlend wiedział dzięki dokładnym internetowym studiom, że nazywa się **sonda**, po napiętej skórze, jednocześnie lewą ręką kręcąc różnymi gałkami aparatu.

– Licząc od pierwszego dnia ostatniej miesiączki płód ma dziś osiemnaście tygodni i dwadzieścia centymetrów długości. Popatrzmy... Tak, mamy tu małą osobę...

– Gdzie!? Gdzie!? – dopytywał się Erlend.

– Tutaj. To jest głowa. Z profilu. Piękny profil – powiedziała położna i uśmiechnęła się szybko do niego.

Erlend gapił się na małą buzię o zamkniętych oczach i czuł, jak z jego własnych zaczynają spływać łzy.

– To człowiek – szepnął. – Dziecko. Prawdziwe, żywe dziecko. Czy to możliwe?

– Absolutnie tak – potwierdziła.

Lizzi też płakała, a Jytte śmiała się głośno.

– Przypomina moją matkę! – zawołała.

– Tak, chwała Bogu nie jest podobna do mojej – powiedział Erlend i pocałował Jytte w czoło.

– Ona? – spytała położna i przesunęła czujnik. – To raczej chłopczyk.

– Chłopczyk? CHŁOPCZYK? – krzyknął Erlend. – Ale... ale...

– Fantastycznie – powiedziała Jytte.

– Ale ja już miałem gotowe imię! – zawołał Erlend i zobaczył oczyma duszy wypchane po brzegi szafki w biurze. Dziewczęce ubranka zdecydowanie nie będą pasować synowi pary pedałów i pary lesbijek.

– Eleonora – powiedział.

– Ładne imię – pochwalił Krumme – nic o tym nie wspominałeś.

– No to będzie Leon – stwierdziła Jytte.

– Leon? – spytał Erlend.

– Tak, to litery ze środka – powiedziała Jytte.

Leon. Pozwolił, żeby to imię poobijało się w jego głowie, podczas gdy położna dalej pokazywała i objaśniała, ale on całkiem się już odłączył, czuł palące pragnienie lania w gardło szampana, będzie miał syna. Małego Leona, który będzie siedział z tyłu na rowerze, a później dostanie własny.

– Termin czwartego grudnia – oświadczyła położna.

W Wigilię będzie miał trzy tygodnie. Pierwsze Boże Narodzenie Leona, niepojęte. I takie rzeczy działy się stale na całej kuli ziemskiej? Poczęte dzieci rosły i dostawały imiona, zanim jeszcze opuściły brzuch matki!

– Jestem taki szczęśliwy – powiedział. – Nigdy w życiu nie czułem większego szczęścia, i to na trzeźwo!

Roześmiał się głośno.

– Czas na drugi brzuch rodzinki – powiedziała położna.

Krumme zaczął się tak trząść, że wpił się mocno w ramię Erlenda, kiedy brzuch Lizzi został pokryty niebieską galaretką, a położna znowu zaczęła kręcić swoimi gałkami. W pokoju było cicho jak makiem zasiał, póki położna nie powiedziała: – No proszę... Tutaj mamy dwójkę.

– Dwójkę czego? – spytał Krumme.

– Dzieci – odpowiedziała.

– Mdleję – jęknął Krumme. – Trzymaj mnie mocno, Erlend.

Ten dobrze chwycił jego miękkie ramiona.

– Mówiłam przecież, że jestem większa od ciebie, Jytte! – zawołała Lizzi.

Minęło nieco czasu, kiedy żadne z nich nie potrafiło się odezwać, dopiero położna powiedziała: – Wszystko wygląda normalnie, ale bliźniaki trzeba bardzo dokładnie kontrolować. Zwykła ciąża trwa czterdzieści tygodni, ale w przypadku bliźniąt liczymy mniej więcej trzydzieści siedem, a więc o trzy-cztery tygodnie krócej. Sprawdźmy...

Wklepała coś do komputera i oznajmiła: – Trzynasty listopada.

– Panie, zmiłuj się nad nami – powiedział Krumme. – Więcej nie ma? Może trójka? Skoro już zaczęliśmy.

– A płęć? – spytał Erlend. – To znaczy... płcie!

– Muszę zobaczyć, jak leżą – powiedziała położna. – Nie zawsze tak łatwo to zauważyć, mogą być blisko siebie i mieć złożone nogi.

– Złożone nogi? Niemożliwe, skoro to Krumme jest ojcem – rzekł Erlend.

– Zamknij się, to poważne sprawy – zbeształ go Krumme.

– Faktycznie, nie – zaśmiała się położna. – Momencik...

Poprawiła gałki i przesuwiała pomalutku sondę.

– Tu jest dziewczynka, a... chwilka... tu jeszcze jedna.

– Dwie dziewczynki? – wyszeptał Krumme.

– Dwie dziewczynki – potwierdziła.

– To jedna może mieć na imię... – zaczął Erlend.

– Daj spokój z tymi imionami – przerwała mu Jytte.

– Ellen i Nora – dokończył Erlend.

– Może – zgodziła się Lizzi. – Ellen, Nora i Leon.

– Pogadamy o tym później. Musimy iść świętować – powiedział Krumme. – Będziemy mieli troje dzieci!

– Mam w biurze mnóstwo ubranek dla dziewczynek – przyznał się Erlend. – Na szczęście się przydadzą.

– Masz? – spytał Krumme.

– Kupowałem jak szalony dla Eleonory w necie.

– A ja muszę wymienić jeden wózek na taki dla bliźniąt – powiedział Krumme.

– Kupiłeś wózki?! – krzyknął Erlend.

– Tak, mam je w biurze, przecież prawie nigdy tam nie przychodzisz.

– Ale nie takie brzydkie jak te, z którymi można biegać po lesie?

– W życiu. Włoskie, tej samej marki, co pcha rodzina Beckhamów.

– Kocham cię – powiedział Erlend i pocałował go mocno w usta. – A teraz idziemy to uczcić. Ze zdjęciami. Jutro powiększę je do rozmiaru plakatów.

– No to musicie pić za czworo – powiedziała Lizzi.

– Na pewno damy sobie radę. Dla was, które nosicie w brzuchach prawdziwych ludzi, będą tylko grzeczne napoje gazowane – rzekł Erlend.

– Będziemy siedmioosobową rodziną – powiedział Krumme. – Kto by pomyślał.

– Umiemy liczyć – odrzekła Lizzi. – Chyba potrzebujesz kielicha.

– I wózka inwalidzkiego, popatrzcie, jak mi drżą nogi.

– Jedziemy do „Skilpadden” – powiedział Erlend. – Stamtąd do domu wystarczy wjechać windą, dzisiaj tego właśnie nam trzeba.

Podczas gdy reszta czekała, znalazł toaletę, wszedł, zamknął się w środku i w wielkim pędzie wystukał SMS-a do Neufeldta: „Nie kontaktuj się ze mną już nigdy, będę ojcem syna o imieniu Leon”.



ROZDZIAŁ 17

Pokroiła w kostkę kawałek kaszanki, wbiła do tego surowe jajko i polała odrobiną oleju rzepakowego. Olej na surowym jajku tworzył błyszczące pęcherze.

– Rozpieszczasz ją – powiedział Christer, który nagle wyłonił się tuż za nią.

– Szybciej dojdzie do siebie dzięki temu. Poza tym będzie miała lepsze mleko dla szczeniąt – odparła szybko.

Objął ją od tyłu, pocałował w kark, jego ramiona były twarde, przyciskały ją mocno, skóra do skóry, w upale chodził z nagim torsem.

– Masz świeże ugryzienie od komara – powiedział – za uchem, tuż pod włosami.

Polizał ją w miejscu ukąszenia, swędzenie natychmiast ustało.

– Będę zmuszona zadzwonić dziś do mojej matki – rzekła, podnosząc metalową miskę.

– Nie musisz do nikogo dzwonić – odparł.

– Zwariuję od tego, że ona bez przerwy do mnie wydzwania. Najbardziej nie lubię włączać codziennie na nowo komórki. A ona tam siedzi, pije koniak i dzwoni, żeby mnie wychowywać.

– Wiem o tym. Nie dzwoń do niej. Jest dorosłą osobą, powinna być w stanie sama się sobą zająć.

– Muszę pójść do Luny z jedzeniem – powiedziała, wykręcając się z jego objęć. Nie zwoleń uścisku, spojrzała mu w twarz, na usta, jak na komendę pocałował ją, delikatnie i ostrożnie, zamknęła oczy i nie mogła się powstrzymać, żeby na chwilę nie zanurzyć się w ten moment. Postawiła po omacku metalową miskę za sobą na blacie, gdzie ta wylądowała z głośnym brzęknięciem, objęła rękoma jego kark, złapała mocno za włosy, potrafił ją rozpalić w ciągu kilku sekund, trzeba było tylko przestać myśleć. Szybkim ruchem ściągnął z niej koszulkę, a ona jedną ręką opuściła spodenki i wyplątała się z nich, depcząc je na podłodze. Podniósł ją na kuchenny blat, coś za nią przewróciło się, spuścił dzinsy poniżej kolan i wszedł w nią, nadal całując, objęła go nogami w pasie, a on mocno schwycił ją za oba pośladki, w powolnym rytmie przyciągał do siebie, wychodząc z niej do końca przed każdym pchnięciem. Zwiększył tempo, odwrócił twarz, napotykał jej spojrzenie. Jego oczy płonęły jakby miodowym światłem, wytrzymała to, mocno zacisnęła powieki, kończąc z przeciągłym jękiem.

Stał i dyszał z czołem opartym o jej ramię.

– Dobrze, że przyjechałaś – szepnęła.

– Przyjechałam?

– Tak. Tutaj. Za tobą na blacie wszędzie jest rozsypana kawa.

– Byleby to nie była kaszanka z olejem – powiedziała.

Pocałował ją, jego wargi były słone, tak jak jej własne, kiedy płakała. Jego pocałunek był twarde, prawie obcy. I tak było dobrze, wszystko się zgadzało. Nie szukała uczuć. Uczucia były ostatnią rzeczą, jakiej obecnie pragnęła.

Stojąc przy psich kojcach, zadzwoniła do matki. Lima jadła tak szybko, że wciągnęła prawie wszystko w locie. Szczeniaki spały jak duże puchowe kłębki.

– To ja. Czy wszystko w porządku?

Oczywiście, że wszystko było dobrze, przecież to nie z nią coś było nie w porządku. Ale powinna zrozumieć, że to nie było normalne zachowanie. Mogła chyba podać przynajmniej jakiś adres, powiedzieć, gdzie przebywa?

– Gdzieś w Maridalen.

Gdzieś?!

– Naprawdę nie musisz się o mnie martwić. Sprzedaję swoje mieszkanie, wystawię je na sprzedaż po urlopie i pozbywam się też udziałów w klinice. Chcę robić coś zupełnie innego.

Co na przykład?

– Jeszcze tego nie wiem. Może zacznę spekulować akcjami.

Matka nie miała siły dłużej słuchać tych chorych planów. A Margido dzwonił do niej, żeby powiedzieć, że zaczęli już likwidację chlewu. Pewnie miał na myśli rzeź, dodała.

– Ach tak.

Rzuciła okiem na szczeniaki, próbując z całych sił nie pozwolić, żeby słowa matki weszły w nią głębiej, miały przejść przez nią na wylot, nie tworząc żadnych obrazów. Jedno ze szceniąt poruszało szybko we śnie małymi łapkami, patrzyła na to z ulgą.

A gospodarstwo zostanie sprzedane, to też miała przekazać od Margida. Będzie zmuszona w odpowiedniej chwili podpisać różne papiery. Czy mieszkała razem z mężczyzną?

– Tak.

Ale nie z tym typem, za którym latała, zanim pojechała na północ?

– Z nim.

Ach tak. To pewnie był jakiś biedak, który teraz zmuszał ją do sprzedaży mieszkania i udziałów w klinice. Ktoś, kto chciał ją tylko dla pieniędzy. Poza tym odziedziczył również coś z gospodarstwa, z tego na pewno też zdawał sobie sprawę.

– On jest w zasadzie milionerem. Właśnie z akcji.

I mieszka w Maridalen?!

– Wiesz, muszę już teraz lecieć. Do zgadania.

Miała też pamiętać o wszystkich tych rzeczach, które stały w piwnicy w Sandvika, czas, przez który matka mogła jeszcze korzystać z tej piwnicy jako przechowalni, nie był przecież nieograniczony.

– Pewnie nie. Na razie.

Christer był zajęty robieniem odwodnienia dla jednej z przybudówek. Stała, przyglądając się mu. Brunatne plecy, mięśnie pracujące pod złocistą, orzechową skórą. Jego ciało wydawało jej się obce, chociaż pieprzyli się co dzień, a czasami nawet kilka razy dziennie. Kopał łopatą w ciemnej, wilgotnej ziemi, od czasu do czasu uderzając się w kark. Obejście pełne psów przyciągało mnóstwo insektów. W tym momencie oparł łopatę o biodro i wyciągnął z kieszeni telefon. Nie słyszała żadnego sygnału, zazwyczaj miał ustawione jedynie wibracje, a telefon nosił zawsze w kieszeni spodni albo koszuli i nigdy nie spuszczał go z oka. Przeczytał, a potem wstukał odpowiedź. Kiedy skończył, zapytała:

– Kto to był?

– A więc tu jesteś? Nie, to tylko... kolega.

– Ach tak.

– Tak! Kolega, powiedziałem! A co sobie myślisz?

Odwrócił się i popatrzył na nią twardo.

– No cóż, nie wiem. Oni nigdy nie mają przecież żadnych imion, ci twoi koledzy. Chcesz może z domu coś do picia? – zapytała.

– Wody. Mnóstwo wody. Pełny dzbanek.

– Co będziemy jeść na obiad? Na co masz ochotę?

– Na ciebie. A na pewno nie na kaszanke z surowym jajkiem.

– Zdaje się, że w zamrażarce leży udko jagnięce – powiedziała.

– Też mam takie wrażenie. Wygląda na to, że wraca d rozsądek. Myślę, że po prostu jesteś zazdrosna.

– A 6 kogo niby mam być zazdrosna?

– No właśnie tego jestem ciekaw – powiedział, wbijając łopatę w ziemię.

– To idę wyciągnąć to udko. Tylko że prawie nie mamy już wina.

– Wystarczy nam na dziś. A jutro pojedę do monopolowego. Muszę też załatwić parę innych spraw. Zajmie mi to pewnie cały dzień.

– To ja pójdę po wodę.

Powoli poszła w stronę drewnianego domku, rozejrzała się w środku, oślepiające światło słoneczne wpadało przez okna. Tak strasznie dosyć miała słońca. Poprzednim razem kiedy tu była, panowała zima i mogli palić w kominku. Nagle zatęskniła za tym właśnie, za patrzeniem w ogień, za wyzwoleniem od myśli.

Trzymała dłoń tak długo pod strumieniem wody, aż zrobiła się całkiem lodowata. Pozwoliła jej się obmywać wysoko ponad dłonie, czuła, jak chłodzi w jej żyłach rozgrzaną krew. Spojrzała na niego przez okno. Znów stał i wystukiwał coś na telefonie, uśmiechając się do wyświetlacza. Kawa rozsypana na blacie nadal przykrywała brązową zasłoną sosnowy fornir, przewrócona puszka leżała obok, ale nie miała siły tego pozamiatać. Głęboko w brzuchu czuła gorącą falę płączu, będzie ją dławić i nie znajdzie ujścia aż do chwili, kiedy on zaśnie wieczorem, a ona będzie mogła przez godzinę poleżeć sama i wypłakać się aż do stanu pustki i zmęczenia. Stało się to już czymś w rodzaju rytuału. Zасыpanie we łzach, które ściekały jej do uszu, łaskocząc, z wizją przed oczami tego wszystkiego, od czego uciekła, z przeczuciem zapachów tak intensywnych, że była pewna, iż zbudzi się od nich.

Napełniła półlitrowy dzbanek wodą, szkło natychmiast pokryło się na zewnątrz wilgocią. Wyszła do niego z dzbankiem, a on wypił jego zawartość jednym haustem, bez przerwy na zaczerpnięcie powietrza, jego krtań poruszała się z dołu do góry. Wręczył jej puste naczynie, dysząc jak pies.

– Dobrze, że tutaj jesteś – powiedział.

– Tak uważasz? – zapytała, czując ogromne zmęczenie.

– Moja ty wiejska dziedziczko.

– Nie nazywaj mnie tak – rzekła.



ROZDZIAŁ 18

Próg oddzielający pomieszczenie gospodarcze od chlewu był zbyt niski, by na nim siedzieć, ale Margido mimo to nań przycupnął. Chlew był pusty. Tak jak zawsze kiedyś latem, gdy zajmowali się krowami i produkcją mleka. Ale teraz żadne krowy nie chodziły po łące i nie powrócą tutaj na wieczorne dojenie.

W środku i na zewnątrz panowała pustka.

Dobrze je pamiętał. Szerokie szczęki, różowe i wilgotne dziurki od nosa, odgłos przeżuwanej paszy, smak świeżo przecedzonego, letniego mleka na kolację.

Siedział, usiłując spojrzeć na chlew jak na pomieszczenie, a nie jak na miejsce hodowli, żyda i przyszłości. Był zużyty i brudny. Ale to, co w nim żyło i oddychało, to właśnie przyciągało tu Tora rano i wieczorem, a przed nim dziadka Tallaka, a przed nim Terjego Neshov, a jeszcze przed nim Tormoda Neshov, po którym stary dostał swoje imię.

Muchy brzęczały, poszukując zwierząt, na których zwykły się przechadzać, buszować w ich szczecinie, pić wilgoć z ich ryjów. Nadsluchiwał własnego oddechu. Trumny były teraz wszystkim, co pozostało w gospodarstwie. I on sam, w tych chwilach, gdy tu zajeżdżał. Będzie musiał dowiedzieć się, czy może dostać z powrotem swój dawny magazyn w Fossegrenda.

Stary w końcu dostał swoje miejsce, tak jak marzył, w domu opieki w Bråmyra koło Byneset. Margido dawno nie widział u człowieka takiej przemiany. Staruszek promieniał. Świeżo ogolony i zadbany, z czystą sztuczną szczęką, siedział w swoim pokoju otoczony książkami, telewizorem i radiem. Wszystkie posiłki jadał wspólnie z innymi i okazało się, że wielu z nich zna.

Czuł się bezpieczny, zadbany. A więc najjaśniejszym punktem całej tej historii miał być stary. Od czasu, kiedy dziesięć dni temu przeniósł się do domu opieki, Margido odwiedził go trzy razy i za każdym razem wychodził z dobrymi uczuciami w sercu. Nie rozmawiali o Torunn, unikał poruszania tego tematu, wolał raczej zapytać, co mieli na obiad, jak nazywają się osoby z personelu i jakie one są.

Stary zaczął się również uśmiechać w zupełnie nowy sposób, uśmiechem, który sięgał do samych oczu i powodował, że policzki mu delikatnie drżały, prawie jak u małego dziecka.

Podniósł się z trudem i mocno jęknął, kiedy poczuł nagły ból kolan po siedzeniu w tej niewygodnej pozycji. Powoli wyszedł, zamykając za sobą drzwi do chlewu, powinien zacząć ćwiczyć, zrobić coś z tym brzuchem, przestać jeść chleb z serem i przejść na sałatki. I nie siedzieć tyle w domu w swoim wygodnym fotelu. Zamiast drzemki poobiedniej chodzić na spacer.

Poszedł do magazynu z trumnami i znalazł tam chustę do przykrycia twarzy, podkładkę, poduszkę oraz koszulę i wepchnął to razem z dębową trumną na rampę. To była kosztowna trumna, przeznaczona dla jednego z miejscowych biznesmenów, który zginął w wypadku na

łodzi. Była bardzo ciężka i z wielkim trudem wstawił ją na tył swojego caprice. Zostawił na chwilę otwarty bagażnik, żeby wpuścić do środka nieco powietrza.

Przeszedł przez podwórko. Po drodze wylał deszczówkę z wazonów i zabrał je ze sobą do kuchni. Tam dokładnie wymył je szczotką i płynem do naczyń Zalo, następnie ustawił odwrócone na błacie. Rzeczami w domu nie zamierzał się zajmować wcześniej niż po jego sprzedaży, panie w pracy obiecały mu w tym pomóc. Peder Bovin kupił sobie niedawno letni domek w Oppdal i chciał zobaczyć, czy może któreś z mebli mu się przydadzą. Resztę trzeba będzie wyrzucić, zamówić kontener na śmieci. Dom i tak wymagał gruntownego remontu, więc żadne wielkie sprzątanie nie będzie konieczne.

W salonie z telewizorem zadzwonił telefon. **Torunn**, pomyślał szybko.

Dzwonili z pracowni badań społecznych Norsk Gallup, przeprowadzali ankietę na temat zwyczajów związanych z podróżowaniem.

– Przepraszam, ale nie mam czasu – powiedział, czując w piersi ucisk rozczarowania. – Poza tym może pan skreślić ten numer ze swojej listy, nikt już tutaj nie mieszka.

Odkładając słuchawkę, pomyślał: Muszę pamiętać, żeby zadzwonić do Telenor i zlikwidować abonament telefoniczny.

Kiedy powoli zjeżdżał w dół alei, miał uczucie, że ktoś stoi w oknie i patrzy w ślad za nim. Zwolnił i obejrzał się, przyglądając się badawczo pustym oknom, a potem dodał gazu i wyjechał na główną drogę prowadzącą do Spondal.

